ZAMIEŃ ROWER W E-BIKE'A **DRUGI ODDECH**

LIPIEC 2026

T3

OBIEKTY POŻĄDANIA

KOLOR TO NOWA SPECYFIKACJA

Wyraź siebie na nowo



DALI VEGA

Hi-fi bez świątyni

BASEUS INSPIRE XH1

Sprzęt, który chce być widziany

LEXUS NX 450H+

Cisza klasy premium

SAMSUNG MICRO RGB R95H

Ten, który maluje przyszłość

LAPTOP BEZ JABŁKA

Nie tylko Apple ma smak

14,90 zł w tym 8% VAT
INDEKS: 256714 NR 7/2026
ISSN 2080-7198

ADAPTERY PODRÓŻNE

Najmniejszy bohater walizki

W ZBLIŻENIU

TP-LINK ARCHER BE805
LEICA CINE COMPACT 1
MOVA SURETRACK PRO
LENOVO THINKTAB X11 GEN 1

eprasa.pl 7056093147





Px8 S2. Usłysz prawdę.

Doświadcz porywającego brzmienia i niezrównanego komfortu dzięki najbardziej luksusowej konstrukcji, jaką kiedykolwiek zaprojektowaliśmy.

Bowers & Wilkins

Salony firmowe Bowers & Wilkins: www.tophifi.pl

eprasa.pl 7056b98f47



OD REDAKCJI

Po raz pierwszy w historii *Magazynu T3* nie chowamy się za numerem wakacyjnym. Nie ma wielkiego „lipiec-sierpień", redakcyjnego leżaka i uprzejmego komunikatu, że widzimy się po urlopie. Jest wydanie pełne technologii, która najwyraźniej nie uznała, że lato to dobry moment, żeby zwolnić.

I to bardzo pasuje do tego numeru. Bo wszystko jest tu w ruchu. Podróżne adaptery przypominają, że przed wyjazdem warto pomyśleć nie tylko o kremie z filtrem, ale też o tym, czy nasz laptop przeżyje kontakt z gniazdkiem po drugiej stronie świata. Rower można podłączyć do prądu i dać mu drugie życie. BMW iX3 pokazuje, że elektryczna radość z jazdy nie musi mieć miny wykładu o przyszłości, a Lexus NX 450h+ udowadnia, że cisza też może mieć bardzo drogie maniery.

W środku jest również kolor – dosłownie i w przenośni. Samsung MicroRGB R95H zagląda na drugą stronę lustra, Leica Cine Compact 1 próbuje przenieść kino tam, gdzie nie potrzeba ekranu, a *Gothic 1 Remake* przypomina, że cierpliwość bywa trudniejsza niż niejeden boss.

Bez przerwy wakacyjnej, bez taryfy ulgowej. Po prostu spotykamy się znowu.

Marcin Kubicki
redaktor naczelny
@kubicki.w.odbiciu marcin.kubicki@magazynt3.pl

Z ŻYCIA REDAKCJI



Michał Lis
sekretarz redakcji / grafik

Drugi po naczelnym, dobry duch i woda na młyn naszej redakcji. Pilnuje terminów, buduje treść magazynu i tworzy jego layout. Czasami też znajduje czas na filiżankę kawy, bez której nie wyobraża sobie życia.



Czego słuchaliśmy podczas tworzenia tego numeru?

Boards of Canada
Inferno
Koniecznie posłuchaj:
You Retreat in Time and Space, Naraka

eprasa.pl 7056b98f47

SPIS TREŚCI

HORYZONT



009
PULS
Najciekawsze zdobycze świata technologii

019
BEZPIECZNY DOM Z YALE
Letnie bezpieczeństwo zaczyna się od prostych gestów



020
BASEUS INSPIRE XH1
Pomaluj mój świat dźwiękiem

022
TEMPERATURĄ PRZESTAJE RZĄDZIĆ
Płyta indukcyjna według Samsunga

026
IROBOT ROOMBA 115 COMBO
Sprzątanie podłóg bez wysiłku

028
LAPTOP BEZ JABŁKA
Yoga Slim 7i 9. generacji i IdeaPad Slim 3i 10. generacji.

030
GRA ZESPOŁOWA
Co się dzieje, gdy sprzęty zaczynają ze sobą współpracować?

034
SAMSUNG THE FRAME
10 lat minęło!

035
FITNESS
Aktywny tryb życia pod okiem specjalisty

036
STYL
Różne oblicza mody

ANTRAKT

008
BUGATTI FACTOR ONE

038
DAVIDHUGH AIORA



eprasa.pl 7056b98f47

ESENCJA BRZMIENIA W JAKOŚCI HI-RES!

ODETNIJ SIĘ OD HAŁASU W PRACY, PODRÓŻY I CZASIE WOLNYM.

LIVE 780NC

LIVE 680NC



- CHAMPAGNE
- ORANGE
- BLACK
- GREEN
- LAVENDER
- BLUE
- WHITE

ZESKANUJ KOD ABY UZYSKAĆ **WIĘCEJ INFORMACJI**

DOPASUJ KONSTRUKCJĘ DO SWOICH POTRZEB

Inteligentna redukcja hałasu i krystaliczne rozmowy wspierane przez AI.
Dwa modele, jeden standard doskonałości, który dotrzyma Ci kroku przez całą dobę.

eprasa.pl 7056b98f47

AUTOPSJA



039
RECENZJA
Samsung R95H Micro RGB, TP-Link Archer BE805, Lenovo ThinkTab X11 Gen 1, gofrownica GreenPan Elite, KitchenAid 5KFP0921, Thermomix TM7, Leica Cine Compact 1, MOVA SureTrack Pro, Huawei Watch Fit 5 Pro, MOVA N1, SwitchBot Standing Circulator Fan oraz MOVA LiDAX Ultra 800

062
MOTORYZACJA
Najciekawsze samochody w salonach

074
ROZRYWKA
Multimedialna dawka rozrywki dla każdego

084
ADAPTERY PODRÓŻNE
Zanim ruszysz na urlop, spakuj jednego z tych małych pomocników

089
PODKREŚĆ KOLOR
Wybieramy najlepszą technologię zanurzoną w kolorze

096
ROWER POD NAPIĘCIEM
Chcesz zafundować swojemu rowerowi elektryczną metamorfozę?



CRÈME DE LA CRÈME



105
LISTA ZAKUPÓW
Jeśli szukasz najlepszych, najbardziej wydajnych i atrakcyjnych gadżetów na rynku – dobrze trafiłeś







PRENUMERATA
Zaprenumeruj i oszczędzaj!

Więcej szczegółów dotyczących prenumeraty „T3” znajdziesz na 104 stronie magazynu lub bezpośrednio na stronie www.ulubionykiosk.pl/prenumerata.

eprasa.pl 7056b98f47

tp-link

Twój własny internet na każdym kontynencie!

Włóż lokalną kartę SIM i zapomnij o kosztach roamingu poza UE



Plug & Play.
Udostępnij sieć WiFi natychmiast po włożeniu karty SIM.

Bateria na cały dzień
Hotspoty mobilne wytrzymują nawet do 15 godzin na jednym ładowaniu.

Internet dla całej grupy
Każdy hotspot TP-Link pozwala na jednoczesne podłączenie aż 32 urządzeń bezprzewodowych.

Proste zarządzanie przez aplikację
Wszystkie modele można konfigurować i zarządzać nimi z poziomu dedykowanej aplikacji na smartfony z systemem iOS i Android.

Kompaktowe rozmiary
Dzięki niewielkim rozmiarom, hotspot staje się niemal niezauważalnym kompanem w podróży.

Przenośny hotspot 5G
M8550

Wejdź na **www.tp-link.com.pl**
i wybierz mobilny hotspot dopasowany do Twoich potrzeb!

eprasa.pl 70560981

T3

ANTRAKT

TECHNOLOGIA WARTA UWAGI



BUGATTI FACTOR ONE

Bugatti może kojarzyć się przede wszystkim z supersamochodami, ale francuska marka z imperium Volkswagena połączyła teraz siły z producentem rowerów Factor, by przenieść swoje doświadczenie do świata kolarstwa. Efektem tej współpracy jest Bugatti Factor One. Teoretycznie dałoby się pewnie przekroczyć na nim 400 km na godzinę, ale całą robotę musiałyby wykonać nogi i czysta siła woli. Jak wszystko, co zaprojektowano z myślą o nierozsądnie dużej prędkości, niemal każdy element Bugatti Factor One podporządkowano aerodynamice. Koła, widelec, rama i cała reszta zostały dopracowane do granic możliwości. Właściwie tak dużo uwagi poświęcono tu inżynierii prędkości, że rower nie spełnia przepisów UCI, czyli kolarskiej federacji zarządzającej wyścigami. Innymi słowy: jest tak szybki, że jeśli przywieziesz go na start, ktoś uprzejmie poprosi cię o odprowadzenie go do boksu ze sprzętem. Nie chodzi jednak wyłącznie o liczby. Bugatti i Factor ubrali One w eleganckie, dwukolorowe malowanie, które przyciąga wzrok – o ile zdążysz mrugnąć, zanim zniknie za horyzontem.

Od 85 629 PLN, www.factorbikes.com

eprasa.pl/7656b98f47

HORYZONT

NAJCIEKAWSZE ZDOBYCZE ŚWIATA TECHNOLOGII ZMIERZAJĄCE W TWOIM KIERUNKU

Prowadzący | **Michał Lis**

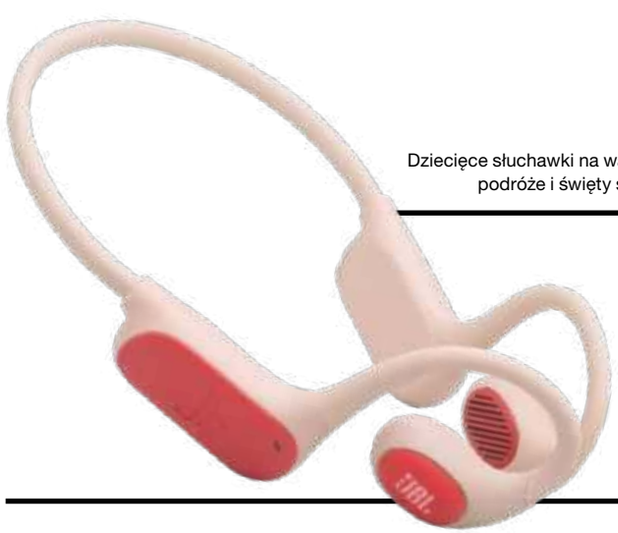
NA TAPECIE



BOWERS & WILKINS 800 SERIES DIAMOND D5

MOPHIE AIRPODS MAX CHARGING STAND





Dziecięce słuchawki na wakacje, podróże i święty spokój.

ASTELL&KERN PD20



eprasa.pl 7056b98f47





Michał Lis
REDAKTOR

DALI VEGA wygląda jak próba pogodzenia dwóch światów: wygody współczesnego streamingu i dźwięku, który nie traktuje muzyki jak tła



eprasa.pl 7056b98f47

■ www.salonydenon.pl

DALI VEGA

Hi-fi bez wieży, rytuału i kabla przez pół pokoju

DALI pokazało VEGA, czyli system audio dla tych, którzy chcieliby mieć w domu dźwięk z ambicjami hi-fi, ale niekoniecznie chcą układać życie wokół wzmacniacza, kolumn, kabli, podstawek i wiecznego pytania, dlaczego jeden przewód kosztuje tyle, co weekend w Pradze. To bezprzewodowe urządzenie all-in-one, zaprojektowane tak, by stało w salonie, grało codziennie i nie wymagało od użytkownika doktoratu z konfiguracji systemów stereo.

VEGA jest efektem pięciu lat prac badawczo-rozwojowych DALI i wyrasta z bardzo współczesnej potrzeby: chcemy słuchać muzyki łatwo, często i dobrze. Nie od święta, nie po odkurzeniu pilota do wzmacniacza, tylko przy śniadaniu, pracy, kolacji, sprzątaniu albo w tym krótkim momencie wieczorem, kiedy człowiek mówi sobie, że posłucha jednej płyty, a potem trzy godziny później odkrywa, że wciąż siedzi przy lampce i porównuje wersje live.

W środku znalazł się układ oparty na dziesięciu autorskich przetwornikach, w tym czterech 25-milimetrowych tweeterach z miękką kopułką, czterech 4,5-calowych przetwornikach średnio-niskotonowych z membranami z papieru i włókien drzewnych oraz dwóch prostokątnych radiatorach pasywnych. Całość napędza wzmacniacz o mocy 400 W, rozdzielonej na osiem kanałów po 50 W. Pasmo przenoszenia wynosi 32 - 22 700 Hz, a maksymalny poziom SPL przy 1 m sięga 110 dB. W praktyce oznacza to sprzęt, który nie tylko ma ładnie wyglądać na komodzie, ale też powinien bez kompleksów nagłośnić normalny salon.

Jednym z ciekawszych rozwiązań jest DALI Adaptive Stereo Enhancement, czyli autorska technologia tworzenia szerokiej sceny dźwiękowej z pojedynczego urządzenia. To zawsze jest moment, w którym warto zachować zdrowy sceptycyzm, bo fizyki nie da się całkiem oszukać, nawet jeśli bardzo ładnie poprosi ją dział marketingu. DALI deklaruje jednak, że system działa w czasie rzeczywistym i dostosowuje się do sygnału, budując efekt przestrzeni bez sztucznego rozmywania brzmienia. Brzmi rozsądnie, zwłaszcza że VEGA nie udaje klasycznego zestawu dwóch kolumn, tylko próbuje zaproponować wygodniejszą alternatywę dla ludzi, którzy nie chcą zamieniać salonu w małe studio odsłuchowe.



Urządzenie można ustawić wolnostojąco albo zamontować na ścianie, pionowo lub poziomo. Wbudowany system Adaptive Orientation Adjustment automatycznie dopasowuje sposób pracy do orientacji głośnika, a dodatkowe ustawienia pozwalają skorygować brzmienie zależnie od tego, czy VEGA stoi w wolnej przestrzeni, przy ścianie, czy bliżej narożnika. To ważne, bo większość sprzętu audio w prawdziwych domach nie trafia do idealnie przygotowanych pokojów odsłuchowych, tylko między roślinę, regał, telewizor i rzeczy, które „na chwilę" leżą tam od listopada.

Od strony funkcji VEGA korzysta z platformy BluOS, więc obsługuje streaming multiroom i muzykę w wysokiej rozdzielczości. Jest też Spotify Connect, Tidal Connect, Apple AirPlay 2, Bluetooth z kodekami AAC, aptX i aptX HD, wejście HDMI ARC, optyczne Toslink, analogowe RCA oraz USB audio. Producent pomyślał także o wyjściu na subwoofer. To szczególnie rozsądne, bo nawet jeśli VEGA schodzi według specyfikacji do 32 Hz, część użytkowników i tak będzie chciała dołożyć osobny bas.

Całość zamknięto w obudowie o wymiarach 143 x 683 x 243 mm i masie 8,7 kg. Nie jest to więc głośnik do przestawiania z pokoju do pokoju, tylko pełnoprawny element wnętrza. DALI zadbało o naturalny, drewniany fornir, detale z anodowanego aluminium, tkane materiały i dotykowe pokrętło głośności z mechanizmem łożysk kulkowych. Jest też wyświetlacz OLED, który obraca się wraz z orientacją urządzenia. VEGA będzie dostępna w dwóch wykończeniach: Dark Oak i Natural Oak.

Sprzedaż modelu VEGA ma ruszyć we wrześniu nie jako zamiennik prawdziwego systemu hi-fi dla purystów, ale jako elegancki sposób na to, żeby muzyka była w domu obecna częściej, a nie tylko wtedy, gdy człowiek ma siłę uruchomić cały rytuał.

eprasa.pl 7056b98f47

■ www.sonypictures.com

RESIDENT EVIL ZACHA CREGGERA

Horror, a nie park rozrywki dla fanów gry



Ekranizacje gier przez lata były kinematograficznym odpowiednikiem czerwonej lampki na panelu kontrolnym: niby można jechać dalej, ale rozsądek podpowiadał, żeby przygotować się na awarię. Ostatnie lata trochę to zmieniły – *The Last of Us* i *Fallout* pokazały, że da się potraktować gry nie jak worek cytatów, tylko jak świat z własnym rytmem. Nowy *Resident Evil* wygląda, jakby właśnie chciał iść w tym kierunku.

Sony pokazało pierwszy zwiastun filmu reżyserowanego przez Zacha Creggera, twórcę *Barbarian* i *Weapons*. W głównej roli pojawia się Austin Abrams, który trafia do miejsca zdecydowanie niewskazanego dla ludzi szukających pomocy po wypadku. Jest pusty dom, niepokojąca cisza, coraz mniej sensownych dróg ucieczki i zadania, które fani serii rozpoznają natychmiast: znaleźć klucze, zdobyć apteczkę, przeżyć jeszcze kilka minut.

Najciekawsze jest jednak to, że film nie wygląda na prostą adaptację jednej części gry. Zamiast Leona, Jill czy kolejnego odtwarzania znanej fabuły, Cregger stawia na osobną historię osadzoną w świecie Resident Evil. Jeśli się uda, może to być dowód, że gry najlepiej przenosić na ekran nie przez wierne kopiowanie questów, ale przez uchwycenie tego uczucia jak to, kiedy słyszysz coś za drzwiami i nagle bardzo żałujesz, że masz tylko jeden magazynek.

Premiera została zaplanowana na 18 września 2026 roku.

■ 169 PLN, www.jbl.com.pl

JBL ENDURANCE RUN 3 WIRELESS

Sportowe słuchawki za 169 PLN



Sezon biegowy ma ten urok, że prędzej czy później oddziela ludzi naprawdę trenujących od tych, którzy tylko kupili nowe buty. JBL dorzuca do tego krajobrazu Endurance Run 3 Wireless – bezprzewodowe słuchawki sportowe stworzone z myślą o bieganiu, siłowni i różnorodnych aktywnościach, przy których sprzęt powinien przede wszystkim nie wypadać z ucha.

Model korzysta z konstrukcji FlipHook i TwistLock. Pierwsza pozwala nosić słuchawki klasycznie lub z przewodem poprowadzonym za uchem, druga odpowiada za pewniejsze dopasowanie podczas ruchu. Jest też odporność IP65, więc pot, kurz i deszcz nie powinny być problemem podczas codziennego treningu.

Za dźwięk odpowiada dynamiczny przetwornik 8 mm z brzmieniem JBL Pure Bass, a ustawienia można dopasować w aplikacji *JBL Headphones*. Bateria ma wystarczyć na maksymalnie 25 godzin słuchania, a 10 minut ładowania daje do 3 godzin odtwarzania. Słuchawki ważą 21 g, obsługują Bluetooth 5.4, mają mikrofon, pilot, aktywację asystenta głosowego i magnetyczne wkładki, które można spiąć wokół szyi.

Nie obiecują rewolucji, ale w tej cenie brzmią jak rozsądny kompan do treningów, które naprawdę się odbywają.

eprasa.pl 7056b98f47

■ www.tp-link.com

TP-LINK ARCHER 8

Wi-Fi 8 ma po prostu działać i nie ścigać się na cyferki



Marcin Kubicki
NACZELNY

Po latach gonienia za rekordowymi prędkościami, Wi-Fi ma wreszcie bardziej interesować się tym, czy internet działa stabilnie

Domowe Wi-Fi od dawna żyje w świecie pięknych obietnic i mniej pięknych wtorków. Na pudełkach rosną liczby, standardy i skróty, a potem przychodzi zwykłe życie: wideorozmowa przycina się w gabinecie, konsola łapie zadyszkę, kamera przy drzwiach traci podgląd, a ktoś pyta, czy „internet znowu nie działa". Problem coraz rzadziej polega na samej prędkości. Częściej na tym, że mieszkanie stało się małą siecią urządzeń, tylko bez działu IT na etacie.

TP-Link zapowiada Archer 8, pierwszy router Wi-Fi 8 w swojej ofercie. Urządzenie ma zadebiutować w październiku i bazuje na specyfikacji IEEE 802.11bn. Najważniejsza zmiana dotyczy jednak akcentów: Wi-Fi 8 ma mniej skupiać się na rekordach teoretycznej przepustowości, a bardziej na stabilnym połączeniu, niższych opóźnieniach i lepszym działaniu tam, gdzie sieć obsługuje jednocześnie telefony, laptopy, telewizory, kamery, konsole, sprzęty smart home i całą resztę elektroniki, która koniecznie chce rozmawiać z chmurą.

TP-Link przeprowadził wewnętrzne testy laboratoryjne, porównując wczesne rozwiązania Wi-Fi 8 z Wi-Fi 7 w warunkach symulujących domowe środowisko. Producent mówi m.in. o do 33% wyższej przepustowości dzięki ulepszonej modulacji i kodowaniu oraz do 24% poprawy dzięki technologii UEQM, czyli nierównej modulacji, pomagającej utrzymać stabilność, gdy jakość sygnału nie rozkłada się równo między strumieniami. W testach odnotowano też około 15% poprawy przepustowości między wieloma punktami dostępowymi w środowisku z zakłóceniami, do 30% lepszą wydajność sygnału w domach wielokondygnacyjnych dla pojedynczego urządzenia i od 10 do 20% poprawy przy wielu urządzeniach. Czułość odbioru w pasmach 5 GHz i 6 GHz ma wzrosnąć o 1-3 dB.





Brzmi technicznie, ale sens jest prosty: sieć ma mniej kaprysić, gdy między routerem a użytkownikiem stoją ściany, stropy, sąsiednie Wi-Fi i codzienny chaos. Archer 8 ma też otrzymać nową architekturę anten, optymalizację fal radiowych, rozwiązania termiczne i mechanizmy wspierane przez algorytmy AI. Sam router ma mieć minimalistyczną, bardziej „domową" formę, bez wyglądu sprzętu, który uciekł z turnieju e-sportowego.

Archer 8 otworzy szerszą linię urządzeń TP-Link z Wi-Fi 8. W pierwszym kwartale 2027 roku firma planuje system mesh Deco 8, a w drugim kwartale 2027 roku podróżny router Roam 8 oraz wzmacniacze sygnału i adaptery Wi-Fi 8.

Na razie to zapowiedź kierunku, nie gotowe rozwiązanie domowych kłótni o lagi. Ale cel wydaje się sensowny: po latach gonienia za rekordami na papierze Wi-Fi ma wreszcie bardziej interesować się tym, czy internet działa stabilnie tam, gdzie akurat siedzimy.

eprasa.pl 7056b98f47

■ 319 PLN, www.jbl.com.pl

JBL JUNIOR FREE

Dziecięce słuchawki na wakacje, podróże i święty spokój

Wakacje to ten moment, gdy dzieci myślą o błogiej zabawie, a rodzice o tym, jak przetrwać pierwszą dłuższą podróż samochodem bez pięćdziesięciu pytań o czas dojazdu. JBL Junior Free mają pomóc w tej delikatnej, rodzinnej dyplomacji. To bezprzewodowe słuchawki zaprojektowane dla młodszych użytkowników, z naciskiem nie tylko na rozrywkę, ale też bezpieczeństwo.

Najważniejsza jest tu otwarta konstrukcja JBL OpenSound. Dziecko może słuchać muzyki, audiobooka albo lekcji w aplikacji językowej, ale nie jest całkowicie odcięte od świata – nadal usłyszy rodzica, komunikat na dworcu, czy to jedno zdanie, którego podobno „w ogóle nie słyszało". JBL Safe Sound ogranicza głośność do 85 dB, a aplikacja *JBL Headphones* pozwala rodzicom kontrolować czas słuchania i ustawienia głośności.

Słuchawki ważą 24 g, mają silikonowy pałąk na szyję, duże przyciski i odporność IPX4, więc powinny znieść pot, zachlapania i wakacyjny chaos. Wbudowany mikrofon przyda się do rozmów, lekcji online czy ćwiczeń wymowy. Bateria wystarcza do 10 godzin słuchania, a 10 minut ładowania daje kolejne 3 godziny pracy.



■ 369 PLN, www.mp3store.pl

QUESTYLE QCC DONGLE PRO

Mały adapter, który daje iPhone'owi Bluetooth z wyższej półki



Questyle QCC Dongle Pro to niewielki transmiter Bluetooth dla osób, które lubią wygodę słuchawek bezprzewodowych, ale niekoniecznie chcą godzić się na podstawową jakość transmisji. Urządzenie ma certyfikację Apple MFi, działa plug and play z iPhone'ami, iPadami i Macami, a przy tym obsługuje kodeki niedostępne standardowo w ekosystemie Apple, w tym LDAC do 990 kb/s. To ważne, bo sprzęty Apple przez Bluetooth korzystają głównie z AAC i SBC, co dla wielu słuchawek hi-res jest trochę jak tankowanie sportowego auta z kanistra przeznaczonego do kosiarki.

Dongle Pro wspiera Bluetooth 5.4, Snapdragon Sound, aptX, aptX HD, aptX Adaptive, aptX Lossless i LDAC. Działa także z Androidem, Windowsem, macOS, Linuxem i HarmonyOS, a na Windows 10 oraz macOS nie wymaga sterowników. Questyle pozycjonuje go nie tylko dla muzyki, ale też dla graczy: aptX Adaptive ma zmniejszać opóźnienia i poprawiać synchronizację audio-wideo na PS5 czy Nintendo Switch. W zestawie znajduje się adapter USB-A na USB-C.

eprasa.pl 7056b98f47

■ 8 499 PLN, www.mp3store.pl

ASTELL&KERN PD20

Odtwarzacz dla tych, którym telefon już nie wystarcza

W czasach, gdy większość ludzi słucha muzyki z telefonu i uważa, że sprawa jest załatwiona, Astell&Kern uparcie przypomina, że przenośne audio może być osobną kategorią przyjemności. Nie wygodnym dodatkiem do powiadomień, bankowości i zdjęć obiadu, ale urządzeniem zbudowanym tylko po to, żeby muzyka miała lepsze warunki do życia.

Astell&Kern PD20 jest właśnie takim sprzętem. To przenośny odtwarzacz hi-res i streamer, który kosztuje 8 499 PLN. Nie jest to więc gadżet kupowany między ładowarką a etui do telefonu. To propozycja dla osób, które mają słuchawki lepsze, niż podpowiada rozsądek.

Najciekawszym elementem PD20 jest system personalizacji brzmienia przygotowany we współpracy z Audiodo. Urządzenie pozwala przeprowadzić test słuchu osobno dla lewego i prawego ucha, a następnie tworzy profil dopasowany do indywidualnej charakterystyki słyszenia.

Do tego dochodzi Sound Master Wheel, czyli fizyczne pokrętło do regulacji basu, średnicy i góry w zakresie od -8 do +8 dB. Regulacja ma 160 stopni i działa bez przerywania odtwarzania.

W środku pracuje układ ESS ES9027PRO w konfiguracji Quad DAC, a sekcja Triple AMP pozwala przełączać się między klasą A, AB oraz trybem hybrydowym. W klasie A i hybrydowej można dodatkowo regulować prąd wzmacniacza w trzech poziomach, zależnie od używanych słuchawek. PD20 obsługuje PCM do 32 bitów/768 kHz oraz natywne DSD512, ma 256 GB pamięci wewnętrznej, slot microSD do 2 TB, 6-calowy ekran FHD+, Wi-Fi 2,4/5 GHz, Bluetooth 5.3 z aptX HD, LDAC i LHDC, a także funkcję USB DAC dla komputerów Mac i Windows.



Nie zabrakło też wyjść 3,5 mm i zbalansowanego 4,4 mm, funkcji Bluetooth Sink, ReplayGain, AK File Drop, crossfeedu oraz obsługi Roon Ready, która jest w trakcie certyfikacji. Bateria 5 770 mAh ma zapewnić około 14 godzin odtwarzania plików FLAC 16 bit/44,1 kHz przy wyłączonym ekranie i pracy w klasie AB. Całość waży około 313 g, więc nadal mówimy o sprzęcie przenośnym, ale nie totalnie minimalistycznym.

Astell&Kern PD20 nie próbuje udawać urządzenia dla każdego. To sprzęt dla ludzi, którzy nadal wierzą, że słuchanie muzyki może być osobnym rytuałem, a nie tylko tłem do scrollowania. I może właśnie dlatego, mimo ceny, ma w sobie coś pociągającego. Nie obiecuje, że odkryje muzykę na nowo. Raczej daje narzędzia tym, którzy wiedzą, że chcą słuchać dużo uważniej.





Michał Lis
REDAKTOR

PD20 jest jak sprzęt z czasów, gdy słuchanie muzyki było jeszcze świadomym wyborem, a nie tylko kolejną zakładką między powiadomieniem z banku a filmikiem z kotem

eprasa.pl 7056b98f47





Marcin Kubicki
NACZELNY

To nie jest premiera dla każdego salonu ani każdego portfela, ale w świecie hi-fi takie jubileusze obchodzi się właśnie tak



eprasa.pl 7056b98f47

■ www.tophifi.pl

BOWERS & WILKINS 800 SERIES DIAMOND D5

Flagowe kolumny wracają na 60-lecie marki

Bowers & Wilkins kończy 60 lat i świętuje w sposób, który trudno uznać za przypadkowy. Brytyjska marka pokazała nową generację swojej najważniejszej linii głośnikowej – 800 Series Diamond D5. To piąta odsłona serii wykorzystującej charakterystyczny głośnik wysokotonowy z diamentową kopułką, czyli rozwiązanie, które od lat jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych elementów high-endowego świata B&W.

To sprzęt z tej półki, na której słowo „kolumna" zaczyna brzmieć trochę zbyt skromnie, a rozmowa szybko schodzi na obudowy, rezonanse, tolerancje produkcyjne i to, czy realizator naprawdę chciał, żeby werbel zabrzmiał właśnie tak. Bowers & Wilkins mówi tu o idei „True Sound", czyli możliwie wiernym odtworzeniu nagrania zgodnie z intencją twórców. W języku mniej folderowym chodzi o to, żeby kolumny jak najrzadziej przypominały o sobie, a jak najczęściej o muzyce.

Rodzina 800 Series Diamond D5 składa się z siedmiu modeli. Podstawę oferty stanowi monitor podstawkowy 805 D5, a wyżej wchodzą cztery konstrukcje podłogowe: 804 D5, 803 D5, 802 D5 oraz flagowy model 801 D5. Do tego dochodzą dwa głośniki centralne, HTM81 D5 i HTM82 D5, przeznaczone do rozbudowanych systemów kina domowego. B&W wyraźnie nie zamyka więc tej serii w świecie klasycznego stereo. Jeśli ktoś chce zbudować salonową świątynię dźwięku, w której film akcji brzmi jak kontrolowana katastrofa budowlana, również znajdzie tu coś dla siebie.

W porównaniu z generacją D4 zmiany objęły wiele elementów konstrukcji. Producent poprawił m.in. górną część obudowy, tylny panel, cokół, obudowy przetworników, korpus głośnika wysokotonowego oraz detale wykończeniowe.



Wszystkie modele powstają w zakładzie B&W w Worthing w Wielkiej Brytanii, a przy okazji D5 zaostrzono normy produkcyjne. W praktyce ma to oznaczać mniej widocznych łączeń, szczelin i elementów montażowych oraz dokładniejsze lakierowanie. To detale, ale w high-endzie detale są trochę jak interpunkcja w dobrym zdaniu – niby małe, a bez nich wszystko zaczyna się chwiać.

Najważniejsze zmiany dotyczą jednak akustyki. Nowa seria korzysta z wybranych rozwiązań opracowanych wcześniej dla modeli 800 Series Signature. Bowers & Wilkins zapowiada większą przejrzystość, lepszą rozdzielczość i niższy poziom zniekształceń. Inżynierowie wykorzystali też pomiary i symulacje prowadzone w centrum badawczo-rozwojowym Southwater Research Establishment, żeby jeszcze bardziej ograniczyć wpływ samej obudowy na pracę przetworników. Nowe aluminiowe wzmocnienia Space Frame Bracing mają sprawiać, że obudowa jest najcichsza mechanicznie w historii serii 800 Diamond. A w świecie kolumn głośnikowych cisza obudowy bywa równie ważna jak dźwięk, który z niej wychodzi.

Przy okazji odświeżono także paletę wykończeń. Z oferty znika Satin Rosenut, a w jego miejsce pojawia się Dark Walnut, inspirowany limitowaną edycją 801 Abbey Road Limited Edition. Dochodzi też Stealth Black, czyli wariant dla tych, którzy lubią, gdy sprzęt wygląda, jakby mógł grać *The Dark Side of the Moon* nawet po odłączeniu przewodów. Jasne wersje również przeszły zmianę. Warm White ma być cieplejszą interpretacją bieli znanej z poprzedniej generacji, a Light Walnut łączy naturalny fornir z jasnymi, metalowymi akcentami. Dopasowane warianty Stealth Black i Warm White trafią również do subwooferów z serii DB.

Modele Bowers & Wilkins 800 Series Diamond D5 mają pojawić się u partnerów handlowych marki pod koniec trzeciego kwartału tego roku. Ceny nie zostały jeszcze podane w przekazanych materiałach, ale trudno spodziewać się tu okazji z gazetki promocyjnej. To flagowa seria B&W, skierowana do osób, które traktują dźwięk nie jako dodatek do życia, lecz jeden z jego bardziej kosztownych, pięknych i niebezpiecznie uzależniających rytuałów.

eprasa.pl 7056b98f47

■ 599 PLN, www.eu.zagg.com

MOPHIE AIRPODS MAX CHARGING STAND

Stacja, która porządkuje przechowywanie i ładowanie



Marcin Kubicki
NACZELNY

Tanio nie jest, ale przynajmniej nie wygląda jak kolejny plastikowy kompromis z internetu

AirPods Max od początku były sprzętem trochę osobnym. Świetnie wykonane, ciężkie w dłoni, efektowne na głowie, a jednocześnie obdarzone jednym z najbardziej osobliwych „etui" w historii elektroniki użytkowej. Apple nazwało je Smart Case, internet dość szybko znalazł dla niego mniej eleganckie porównania, a użytkownicy zostali z praktycznym pytaniem: gdzie właściwie odkładać te słuchawki, by jednocześnie mogły się ładować?

Mophie, marka należąca do ZAGG, ma na to swoją odpowiedź. AirPods Max Charging Stand to stacja ładująca i stojak w jednym, zaprojektowana specjalnie z myślą o AirPods Max, ale z dodatkowym miejscem na AirPodsy TWS lub inne urządzenie zgodne z ładowaniem Qi. Kosztuje 600 PLN, więc nie jest to drobiazg kupowany przy okazji kabla do ładowania.

Zasada działania jest prosta. Do AirPods Max wpina się dołączony magnetyczny dongle USB-C, a następnie odkłada słuchawki na silikonowe misy stojaka. Dongle ma automatycznie ustawić się względem pinów ładujących, dzięki czemu słuchawki zaczynają ładowanie po odłożeniu. Dioda informuje, że proces ruszył, a same AirPods Max po umieszczeniu na stojaku przechodzą w tryb uśpienia. To ważne, bo w przypadku tych słuchawek zarządzanie energią zawsze miało w sobie coś z rytuału – niby wszystko dzieje się samo, ale człowiek i tak przez chwilę zastanawia się, czy na pewno.

Drugą częścią urządzenia jest zintegrowana powierzchnia do ładowania bezprzewodowego. Można na niej położyć AirPods, AirPods Pro albo inne urządzenie zgodne ze standardem Qi. W praktyce oznacza to, że jeden stojak ogarnia dwa sprzęty naraz – duże słuchawki na górze i mniejsze etui albo telefon na podstawie. Nie jest to rewolucja, ale w codziennym użyciu takie drobiazgi często decydują o tym, czy biurko wygląda jak miejsce pracy, czy jak strefa zrzutu wszystkiego, co miało kiedyś kabel.

Mophie podkreśla też materiały: aluminiową podstawę, miękkie, silikonowe elementy, które mają chronić słuchawki przed zarysowaniami, oraz silikonowy przewód USB-C. Całość waży 1 kg, więc powinna stać stabilnie, a nie przesuwać się po blacie przy każdym odłożeniu słuchawek. Wizualnie to klasyczna szkoła „ma być minimalistycznie i nie przeszkadzać", co w świecie akcesoriów do Apple jest zwykle najlepszą możliwą strategią.

Warto tylko pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, stojak jest kompatybilny z AirPods Max oraz AirPods Max 2, przy czym w przypadku nowszego modelu producent wspomina o konieczności aktualizacji firmware'u. Po drugie, cena ustawia go bliżej kategorii dopieszczonych dodatków niż rozsądnych zakupów pierwszej potrzeby. To nie jest akcesorium, które nagle zmieni sposób słuchania muzyki. Ale może zmienić sposób, w jaki te słuchawki funkcjonują w domu.





eprasa.pl 7056b98f47

BEZPIECZNY DOM Z YALE



Urlop ma w sobie coś pięknie absurdalnego. Przez cały rok marzymy o tym, żeby na chwilę zniknąć, a potem tuż przed wyjazdem zaczynamy się zastanawiać, czy przypadkiem nie zniknęliśmy za bardzo. Czy okna są domknięte? Czy drzwi na pewno zamknięte? Czy ten laptop, który został na biurku, naprawdę musiał wyglądać przez okno jak eksponat w sklepie z elektroniką?

Letnie bezpieczeństwo zaczyna się jednak nie od wielkich systemów i dramatycznych scenariuszy, ale od prostych gestów. Dom nie powinien wyglądać tak, jakby wszyscy jego mieszkańcy właśnie wyemigrowali na trzy tygodnie i zostawili po sobie wyłącznie skrzynkę pełną ulotek. Warto poprosić kogoś zaufanego o wyjęcie poczty, przestawienie zasłon, podlewanie kwiatów. Nie chodzi o teatr, tylko o drobny ruch w kadrze. O sygnał, że życie nadal się tu toczy.

Światło też potrafi opowiedzieć historię. Lampka zapalona wieczorem w salonie, światło w korytarzu, delikatna zmiana rytmu – to drobiazgi, które z zewnątrz wyglądają jak obecność. Zwłaszcza wtedy, gdy można nimi sterować zdalnie albo ustawić harmonogram. Dom nie musi udawać rodzinnej imprezy, wystarczy, że nie wygląda jak zamrożona scenografia.

Trzecia zasada jest banalna, więc tym łatwiej ją zignorować: nie zostawiajmy wartościowych rzeczy na widoku. Komputer przy oknie, aparat na komodzie – to nie są dowody dobrego gustu, tylko bezpłatna prezentacja oferty. Wakacje nie są najlepszym momentem na aranżację wnętrza w stylu „proszę, wybierz sobie".

Dobrze działa także to, co widać od razu. Kamery Yale, Smart Alarm czy wideodomofon przy drzwiach nie są już gadżetami dla ludzi, którzy oglądają za dużo kryminałów. Są raczej współczesnym odpowiednikiem sąsiada, który zawsze wie, kto kręcił się pod klatką – tylko mniej plotkują i wysyłają powiadomienia na telefon. Sama obecność takich urządzeń potrafi studzić zapał tych, którzy wolą łatwiejsze cele.

Warto też powstrzymać wakacyjny odruch publikowania wszystkiego na bieżąco. Zdjęcie z lotniska, relacja z plaży, kolacja z widokiem na morze – piękne, jasne. Ale dla obcych to również informacja, że mieszkanie stoi puste. Instagram poczeka. Znajomi przeżyją. Algorytm, choć będzie udawał obrażonego, też da radę.

A jeśli mimo tych wszystkich gestów w głowie dalej pojawia się myśl: „czy na pewno wszystko jest okej?", wtedy technologia zaczyna mieć sens. Smart security nie jest po to, żeby zamienić dom w centrum dowodzenia NASA. Jest po to, żeby w kolejce po lody sprawdzić podgląd z kamery, dostać alert z alarmu, albo upewnić się, że drzwi są zamknięte. Yale Linus L2 daje zdalną kontrolę nad wejściem, Inteligentne kamery pozwalają zajrzeć do domu z poziomu smartfona, a inteligentny alarm składa te elementy w spokojniejszą całość.

eprasa.pl 7056b98f47



Pomaluj MÓJ ŚWIAT DŹWIĘKIEM

Baseus Inspire XH1 pokazują, że słuchawki nie muszą wyglądać jak sprzęt wyjęty z szuflady z napisem „bezpieczny wybór". Mogą być częścią stylu, nastroju i tego małego, codziennego rytuału, w którym muzyka mówi o nas więcej niż starannie dobrany opis w bio.

Niektóre przedmioty, po które sięgamy, niby mają tylko działać, a jednak bardzo szybko zaczynają coś o nas mówić. Buty, które wybieramy nie dlatego, że „mają podeszwę", tylko dlatego, że dobrze niosą nasz charakter. Okulary, które potrafią zmienić twarz bardziej niż nowa fryzura. Torba, zegarek, kolor bluzy, zapach perfum, nawet obudowa telefonu. Wszystko to są małe sygnały wysyłane w świat. Czasem świadome, czasem zupełnie odruchowe.

Słuchawki przez długi czas były z tej rozmowy trochę wyłączone. Miały być czarne albo białe, ewentualnie szare, jeśli ktoś bardzo chciał zaszaleć, ale nie do tego stopnia, żeby ktoś w windzie poczuł się zaniepokojony. Sprzęt audio udawał neutralność, jakby muzyka była sprawą księgowości, a nie emocji. Tymczasem przecież słuchamy nie tylko uszami. Słuchamy sobą.



Ktoś odpala rano synth-pop, bo musi przekonać organizm, że poniedziałek jednak nie jest osobistą zniewagą. Ktoś inny jedzie tramwajem z metalem w słuchawkach i miną człowieka, który właśnie mentalnie podpala korporacyjny open space. Jeszcze ktoś wybiera jazz, bo potrzebuje przez chwilę udawać, że jego życie ma więcej klasy niż skrzynka mailowa o 9:17. Muzyka bywa tarczą, deklaracją, prywatnym pokojem, protezą energii albo sposobem na to, żeby miasto choć przez chwilę grało w naszym tempie.

Dlatego słuchawki też nie powinny być przypadkowe. Skoro są z nami w pracy, w podróży, na spacerze, na rowerze, na hulajnodze, na plaży, w kolejce po kawę i w tym dziwnym momencie między jednym spotkaniem a drugim, kiedy człowiek stoi pod biurem i przez trzy minuty próbuje odzyskać duszę, to trudno traktować je wyłącznie jak akcesorium techniczne. One są widoczne. Wiszą na głowie, leżą na szyi, wystają z torby, czasem stają się pierwszą rzeczą, którą ktoś zauważa.

Baseus Inspire XH1 dobrze rozumieją ten moment, w którym audio spotyka się z modą. Nie krzyczą, ale mają charakter. Nie próbują udawać

eprasa.pl 7056b98f47

studyjnego sprzętu dla realizatora dźwięku, który od 1987 roku nie zauważył, że istnieją kolory. Są zaprojektowane jak coś, co ma pasować do życia, nie tylko do półki z elektroniką.

Najciekawsza jest tu oczywiście możliwość wyjścia poza klasyczne „wezmę czarne, bo do wszystkiego pasują". Czarne i białe słuchawki nadal mają swój sens, tak jak biała koszula i czarne jeansy nigdy nie znikną z ludzkiej cywilizacji. Błękit Zorzy to z kolei coś delikatniejszego. Ma w sobie trochę porannego nieba, trochę światła przebijającego się przez chmury i niewymuszoną elegancję. Nie próbuje dominować stylizacji, ale potrafi nadać jej lekkości i charakteru. Energetyczny Gwiezdny Żar robi coś zupełnie innego. Wnosi słońce tam, gdzie zazwyczaj króluje plastikowa powaga. Ma w sobie trochę lata, trochę zachodu słońca, trochę miejskiej energii po 18:00, kiedy dzień powinien się już kończyć, ale nagle okazuje się, że jeszcze można gdzieś pójść.

To kolor, który nie boi się stylizacji. Z prostym T-shirtem działa jak akcent. Z lnianą koszulą łapie wakacyjny luz. Przy sportowej bluzie wygląda naturalnie, jakby od początku był częścią ruchu. Na festiwalu nie znika w tłumie. Na plaży nie udaje sprzętu z biura. W podróży potrafi być tym jednym elementem, który przypomina, że walizka, opóźniony pociąg i kanapka za 29 złotych nie muszą odebrać człowiekowi godności.

To drobiazg, ale ważny: kolor zmienia relację z przedmiotem. Pomarańczowe słuchawki nie są tylko narzędziem do odtwarzania playlisty. Są gestem. Trochę jak założenie kurtki, w której idzie się szybciej. Albo wybór piosenki, która w słuchawkach robi z chodnika wybieg, nawet jeśli obiektywnie idziemy tylko po mleko owsiane.

Na szczęście za stylem nie stoi tu pusty rekwizyt. Baseus Inspire XH1 mają w sobie ten rodzaj technologii, który nie domaga się osobnego wykładu, tylko po prostu przydaje się w normalnym dniu. Aktywna redukcja hałasu jest jedną z tych funkcji, które najłatwiej docenić nie w katalogu, lecz w autobusie. W tym konkretnym autobusie, w którym ktoś ogląda filmiki bez słuchawek, ktoś prowadzi rozmowę przez głośnik, a silnik brzmi jakby przeżywał wewnętrzny kryzys. ANC nie sprawia, że świat znika, ale potrafi odsunąć go na bezpieczną odległość. Zrobić miejsce na muzykę, podcast albo zwykłą ciszę, która bywa luksusem większym niż wiele funkcji z długich prezentacji produktowych.

Z drugiej strony jest tryb transparentny, czyli rzecz dla tych momentów, kiedy nie chcemy odcinać się od otoczenia jak bohater filmu sci-fi zamknięty w kapsule regeneracyjnej. Park, przejście dla pieszych, rower, hulajnoga, szybkie „dzień dobry" do kogoś znajomego, zamówienie kawy bez zdejmowania słuchawek i bez tej niezręcznej pantomimy człowieka, który nie wie, czy mówi za głośno. Transparentność ma sens właśnie wtedy, gdy muzyka ma towarzyszyć życiu, a nie je zastępować.



Największym codziennym luksusem może być jednak czas pracy. Do 100 godzin działania oznacza, że Baseus Inspire XH1 nie wymagają tej nerwowej relacji, którą znamy z części współczesnych gadżetów: pamiętaj o mnie, naładuj mnie, sprawdź procenty, zabierz kabel, znajdź gniazdko, panikuj przy 12%. Tutaj ładowanie przestaje być codziennym obowiązkiem. Słuchawki po prostu są. Wychodzą z nami rano, wracają wieczorem, jadą w podróż, przeżywają kilka dni intensywnego używania i nie robią z tego dramatu.

To zmienia sposób korzystania. Gdy sprzęt rzadko ląduje w etui z powodu rozładowania, zaczyna naturalnie wchodzić w rytm dnia. Rano playlista do przebudzenia. Potem coś spokojniejszego do pracy. W drodze powrotnej album, który wymaga trochę więcej uwagi. Wieczorem podcast, kiedy człowiek gotuje, sprząta albo udaje, że sprząta, a tak naprawdę tylko przesuwa rzeczy z jednego miejsca w drugie z poczuciem organizacyjnego sukcesu.

Brzmienie w takich słuchawkach nie jest abstrakcyjną kategorią dla ludzi, którzy opisują bas jak wino. Ma dawać przyjemność. Ma nie męczyć. Ma mieć energię wtedy, gdy potrzebujemy energii, i miękkość wtedy, gdy dzień był już wystarczająco kanciasty. Baseus Inspire XH1 wpisują się w ten model słuchania: codziennego, częstego, bardzo osobistego. Nie takiego, w którym raz na tydzień siadamy w fotelu i testujemy separację instrumentów z miną sędziego konkursu pianistycznego. Raczej takiego, w którym muzyka przechodzi z nami przez miasto, pracę, podróż i odpoczynek.

Właśnie dlatego ich kolorowa odsłona ma sens. Bo współczesne słuchawki nie są już dodatkiem do telefonu. Są dodatkiem do nas. Do tego, jak się ubieramy, jak przemieszczamy, jak chcemy wyglądać i jak chcemy się czuć. Czasem pomagają się odciąć. Czasem przeciwnie – zostać w kontakcie ze światem, ale na własnych warunkach. Czasem są pretekstem, żeby jeszcze raz włączyć utwór, który poprawia chód, humor i wiarę w ludzką cywilizację.

Baseus Inspire XH1 nie próbują wmówić, że odmienią życie. I bardzo dobrze, bo przedmioty, które za dużo obiecują, zwykle kończą w szufladzie obok kabli niewiadomego pochodzenia. One robią coś bardziej wiarygodnego – dobrze wyglądają, długo grają, pomagają odsunąć hałas, pozwalają usłyszeć otoczenie wtedy, kiedy trzeba, i nie zmuszają do wyboru między technologią a stylem.

A jeśli przy okazji można wybrać kolor, który wygląda jak lato zamknięte w parze słuchawek, to trudno udawać, że to nie ma znaczenia. W końcu świat i tak jest wystarczająco często czarno-biały. Muzyka zasługuje na trochę więcej koloru.

eprasa.pl 7056b98f47

KUCHNIA, W KTÓREJ TEMPERATURA PRZESTAJE RZĄDZIĆ



Dobra płyta indukcyjna to dziś nie tylko szybkie zagotowanie wody na makaron, ale przede wszystkim odzyskanie kontroli nad tym, co dzieje się między garnkami.

Gotowanie rzadko bywa tak spokojne, jak wygląda na zdjęciach. W teorii wszystko ma swój rytm: sos powoli się redukuje, makaron dochodzi al dente, warzywa są chrupiące, a patelnia utrzymuje idealną temperaturę. W praktyce ktoś dzwoni do drzwi, dziecko pyta o coś dokładnie w momencie odcedzania, woda zaczyna kipieć, a cebula z etapu „złocista" przechodzi od razu do kategorii „trzeba smażyć od nowa".

Kuchnia jest jednym z tych miejsc w domu, gdzie chaos pojawia się bardzo szybko. Wystarczy kilka naczyń, różne czasy przygotowania i jedno pole grzewcze mniej, niż akurat potrzeba. Dlatego jakość płyty indukcyjnej nie sprowadza się wyłącznie do mocy. Liczy się to, czy pozwala gotować bez nieustannego przesuwania garnków, zgadywania temperatury i pilnowania, czy okap zdąży zareagować na to, co właśnie dzieje się na patelni.

Dlatego w tym miejscu pojawia się sens płyt Samsung zintegrowanych z wyciągiem, takich jak CC90H84JADUR i CC90H84PADUR. To urządzenia, które łączą płytę indukcyjną i okap w jednej powierzchni roboczej. Nie chodzi tylko o efektowny wygląd ani o zwolnienie miejsca nad blatem. Chodzi o zmianę logiki gotowania: para, zapachy i dym są usuwane tam, gdzie powstają, a użytkownik nie musi traktować wentylacji jako osobnego etapu kuchennego zarządzania kryzysowego.

GOTOWANIE JAKO UKŁAD NACZYŃ, NIE PÓL

Największą frustracją przy tradycyjnych płytach bywa to, że naczynia muszą podporządkować się wyznaczonym okręgom. Mały garnek

eprasa.pl 7056b98f47



DOBRA PŁYTA INDUKCYJNA NIE TYLKO SZYBKO GRZEJE. DOBRA PŁYTA SPRAWIA, ŻE GOTOWANIE PRZESTAJE BYĆ NEGOCJACJĄ Z TEMPERATURĄ, PRZESTRZENIĄ I PARĄ

tutaj, większa patelnia tam, podłużne naczynie raczej nigdzie, chyba że ktoś lubi kompromisy i nierównomierne grzanie. Tymczasem prawdziwe gotowanie rzadko składa się z idealnie dobranych średnic.

W modelu CC90H84JADUR Samsung stosuje Flex Zone Plus, czyli szeroką, otwartą strefę grzania o wymiarach 210x365 mm. Jej zadaniem jest dopasowanie się do różnych rozmiarów i kształtów naczyń – również większych i podłużnych. Płyta automatycznie wykrywa położenie i wielkość naczynia, dzięki czemu gotowanie nie wymaga tak częstego przesuwania garnków w poszukiwaniu tego właściwego miejsca. W modelu CC90H84PADUR dostępna jest łączona strefa Flex Zone o wymiarach 182x365 mm, również zaprojektowana z myślą o większej elastyczności ustawiania naczyń.

eprasa.pl 7056b98f47

To ważna różnica, bo kuchnia nie jest laboratorium z jednym zadaniem naraz. Czasem jednocześnie gotuje się makaron, podgrzewa sos i smaży coś na patelni. Czasem trzeba postawić duże naczynie, które nie pasuje do klasycznego pola. Elastyczna strefa grzania nie sprawia, że gotowanie staje się magicznie prostsze. Sprawia raczej, że mniej energii idzie na organizowanie przestrzeni, a więcej na sam proces.

TEMPERATURA POD KONTROLĄ

Indukcja od początku miała jedną przewagę: szybkość reakcji. Problem w tym, że sama szybkość nie wystarcza, jeśli użytkownik nadal musi cały czas walczyć z ustawieniami. W wybranych płytach Samsung dostępnych jest dziewięć poziomów mocy oraz funkcja Boost na czterech polach. To pozwala szybko zagotować wodę, ale też precyzyjniej zejść z intensywności wtedy, gdy danie wymaga spokojniejszego prowadzenia.

W codziennym gotowaniu ta przewidywalność ma większe znaczenie niż efekt „wow". Nie chodzi o to, żeby wszystko robić szybciej. Chodzi o to, żeby płyta reagowała wtedy, kiedy trzeba. Sos nie powinien wymagać nerwowego zdejmowania garnka z pola. Patelnia nie powinna działać w trybie „albo nic, albo za dużo". Dobra indukcja daje poczucie, że temperatura jest narzędziem, a nie przeciwnikiem.

WYCIĄG TAM, GDZIE POWSTAJE PROBLEM

Zintegrowany wyciąg zmienia jeszcze jedną rzecz: sposób myślenia o powietrzu w kuchni. W klasycznym układzie okap znajduje się nad płytą i próbuje przechwycić parę oraz zapachy, które już zdążyły unieść się w górę. Tutaj wyciąg jest częścią płyty, więc działa bliżej źródła problemu.

W obu modelach wydajność wyciągu w trybie Boost wynosi 720 m^3/h, a system oferuje dziewięć poziomów mocy oraz Boost. Jest też tryb AfterRun, czyli praca wyciągu po wyłączeniu płyty, co ma znaczenie przy gotowaniu potraw, które zostawiają po sobie więcej niż wspomnienie. Czujniki oparów w Smart Airflow Mode pomagają dostosować pracę wyciągu do sytuacji, bez ciągłego ręcznego poprawiania ustawień.

W praktyce oznacza to mniej pary na froncie szafek, mniej zapachu smażenia rozchodzącego się po mieszkaniu i mniej kuchennego multitaskingu, w którym jedna ręka miesza, druga reguluje moc płyty, a trzecia – której niestety nikt nie ma – powinna jeszcze obsługiwać okap.

POWIERZCHNIA, KTÓRA MA WYGLĄDAĆ DOBRZE TAKŻE PO UŻYCIU

Płyta grzewcza jest jednym z najbardziej bezlitosnych elementów kuchni. Widać na niej ślady garnków, przesunięcia, zachlapania i wszystko to, co wydarzyło się między „tylko coś podgrzeję" a „czemu tu jest tyle sprzątania". Dlatego matowe szkło Anti Scratch w tych modelach nie jest wyłącznie kwestią estetyki.

Samsung podaje, że szkło Anti Scratch osiąga twardość 8 w skali Mohsa, podczas gdy standardowe szkło ceramiczne ma wartość 5. To nie znaczy, że powierzchnia staje się niezniszczalna, ale daje większy margines bezpieczeństwa w codziennym użytkowaniu. A codzienne użytkowanie to nie showroom.



Materiał reklamowy marki Samsung

Obrazy wygenerowane komputerowo w celu wizualizacji

sprzet.pl 7058898147



To garnek przesunięty za szybko, patelnia odstawiona pod złym kątem i nóż, który zawsze upada ostrzem w dół.

PŁYTA, KTÓRĄ MOŻNA SPRAWDZIĆ

Łączność Wi-Fi i aplikacja SmartThings* w tym przypadku nie służą do zdalnego gotowania obiadu z drugiego końca miasta – i dobrze, bo brzmi to jak przepis na niepotrzebne emocje. Samsung pozwala zdalnie monitorować płytę, sprawdzić, które pola są włączone, i otrzymywać powiadomienia w czasie rzeczywistym. To drobna funkcja, ale w domowej praktyce bardzo konkretna.

Każdy zna ten moment po wyjściu z domu, kiedy mózg nagle zadaje pytanie: „czy ja na pewno wszystko wyłączyłem?". Możliwość sprawdzenia statusu płyty nie zastępuje zdrowego rozsądku, ale ogranicza jedną z tych małych, uporczywych niepewności, które potrafią przykleić się do reszty dnia.

INDUKCJA BEZ FRUSTRACJI – NA CO ZWRÓCIĆ UWAGĘ

Przy wyborze płyty indukcyjnej coraz mniej sensu ma patrzenie wyłącznie na maksymalną moc. Ważniejsze jest to, jak urządzenie radzi sobie z prawdziwym gotowaniem: kilkoma naczyniami jednocześnie, różnymi kształtami garnków, szybką zmianą temperatury i wentylacją.

Elastyczna strefa grzania przydaje się wtedy, gdy kuchnia nie składa się tylko z jednego garnka i jednej patelni. Zintegrowany wyciąg ma sens szczególnie w otwartych kuchniach, gdzie zapachy bardzo szybko przechodzą z części roboczej do salonu. Matowa, bardziej odporna na zarysowania powierzchnia jest istotna nie w dniu montażu, ale po miesiącach normalnego używania. A funkcje smart powinny dawać przede wszystkim spokój i kontrolę, nie kolejną aplikację do obsesyjnego sprawdzania.

KIEDY GOTOWANIE PRZESTAJE BYĆ WALKĄ

Najlepsza płyta indukcyjna nie polega na tym, że robi za użytkownika wszystko. Gotowanie nadal wymaga uwagi, rytmu i odrobiny wyczucia. Różnica polega na tym, że urządzenie nie dokłada własnego chaosu.

Nie trzeba ciągle przesuwać naczyń. Nie trzeba osobno myśleć o wyciągu. Nie trzeba walczyć z temperaturą, która reaguje za późno albo za gwałtownie. Nie trzeba też traktować płyty jak delikatnego eksponatu, który najlepiej wyglądał tylko przed pierwszym obiadem.

Samsung CC90H84JADUR i CC90H84PADUR pokazują, że nowoczesna indukcja nie jest już tylko szybszą alternatywą dla tradycyjnego gotowania. Jest sposobem na uporządkowanie jednego z najbardziej dynamicznych miejsc w domu.

Bo w kuchni kontrola nie oznacza sztywności. Oznacza, że można gotować trzy rzeczy naraz i nie mieć poczucia, że czwartą jest własna cierpliwość.

CO REALNIE SIĘ ZMIENIA W MODELACH CC90H84JADUR I CC90H84PADUR?

- większa swoboda ustawiania garnków i patelni dzięki strefom Flex Zone
- szybsza reakcja na zmianę temperatury i dziewięć poziomów mocy + Boost
- usuwanie pary i zapachów bez osobnego okapu nad blatem
- mniej ręcznej regulacji dzięki Smart Airflow Mode i trybowi AfterRun
- większa odporność powierzchni na codzienne ślady użytkowania
- możliwość monitorowania płyty w aplikacji *SmartThings*

* Aby korzystać z aplikacji *SmartThings*, pobierz ją ze sklepu Galaxy Store, Google Play Store lub Apple App Store. Szczegóły dotyczące specyfikacji obsługiwanych systemów operacyjnych, wymaganego miejsca na dysku i inne informacje o warunkach użytkowania aplikacji *SmartThings* można znaleźć na stronie pobierania aplikacji, w każdym sklepie z aplikacjami. *SmartThings* podlega ograniczeniom dotyczącym kompatybilności, a warunki zgodności z systemami operacyjnymi mogą być okresowo aktualizowane. Specyfikacje obsługiwanych systemów operacyjnych oraz konfiguracja ekranu aplikacji mogą ulec zmianie wraz z aktualizacjami aplikacji.

eprasa.pl 7056b98f47



SPRZĄTANIE PODŁÓG BEZ WYSIŁKU

W każdym domu istnieje ten sam, dziwnie powtarzalny obyczaj. Człowiek sprząta, odkłada odkurzacz, patrzy z satysfakcją na podłogę, a potem ktoś robi kanapkę. Albo pies wraca ze spaceru. Albo dziecko odkrywa, że płatki śniadaniowe mają większy potencjał artystyczny, gdy wysypie się je poza miskę. Czystość w mieszkaniu bywa więc nie tyle stanem, ile krótkim momentem między jednym okruchem a drugim.

I właśnie w tym miejscu dobrze widać sens takich urządzeń jak iRobot Roomba 115 Combo oraz Roomba 115 Combo ze stacją AutoEmpty. Nie dlatego, że obiecują dom z katalogu, w którym nikt nigdy nie rozlał kawy, nie naniósł piasku z przedpokoju i nie jadł tostów nad laptopem. Raczej dlatego, że zdejmują z głowy tę najbardziej niewdzięczną część codzienności: regularne ogarnianie podłogi, zanim zacznie wyglądać jak mapa wszystkich naszych małych porażek.

Roomba 115 Combo jest robotem odkurzająco-mopującym, czyli robi dwie rzeczy naraz – zbiera kurz, okruchy i drobny brud, a jednocześnie przeciera podłogę wilgotną nakładką z mikrofibry. Brzmi prosto, bo takie ma być. Technologia nie powinna tu wymagać od użytkownika nowego hobby, weekendowego kursu obsługi aplikacji i doktoratu z mapowania salonu. Ma po prostu działać wtedy, gdy człowiek pracuje, wychodzi z domu albo próbuje przez chwilę nie myśleć o tym, że w kuchni znów coś się przykleiło do płytek.

Pod obudową jest jednak kilka konkretów, które robią różnicę w praktyce. Moc ssąca 15 000 Pa daje robotowi zapas na codzienny brud, nie tylko symboliczne muśnięcie podłogi ku pokrzepieniu sumienia. Roomba 115 Combo może odkurzać, mopować albo robić jedno i drugie w ramach tego samego przejazdu. W aplikacji da się ustawić moc ssania, ilość wody i liczbę przejazdów, więc kuchnia po gotowaniu może dostać inne traktowanie niż salon, w którym największym problemem jest kurz pod kanapą i okruchy po wieczornym seansie.

W mopowaniu pomaga funkcja SmartScrub, która intensywniej pracuje przy mocniejszych zabrudzeniach. Producent mówi o dwukrotnie dokładniejszym mopowaniu w porównaniu ze standardowym odkurzaniem i mopowaniem przy śladach po kawie. W realnym życiu oznacza to mniej nerwowego przecierania podłogi ręcznikiem papierowym,

eprasa.pl 7056b98f47

kiedy coś skapnie obok blatu, a my akurat jesteśmy w tym pięknym momencie dnia, w którym absolutnie nie chcemy zaczynać sprzątania od nowa.

Ważne jest też to, że Roomba 115 Combo nie jeździ po mieszkaniu jak turysta bez zasięgu. Nawigacja LiDAR ClearView tworzy mapy pomieszczeń, a robot może zapamiętać do trzech map – przydatne, jeśli mieszkanie ma kilka poziomów albo chcemy oddzielić różne strefy. Można wyznaczyć miejsca do sprzątania, obszary bez dostępu i strefy bez mopowania. To ostatnie brzmi mało romantycznie, ale każdy, kto ma dywan, wie, że mokra niespodzianka pod stopą potrafi skutecznie zepsuć poranek.

Są też drobiazgi, które w domowej codzienności szybko przestają być drobiazgami. Robot ma 7,89 cm wysokości, więc może wjeżdżać pod niskie meble, tam, gdzie zwykły odkurzacz zagląda tylko w chwilach wielkich życiowych zrywów. Wysunięta szczotka boczna i ruchoma nakładka mopująca pomagają przy krawędziach i narożnikach, czyli tam, gdzie kurz lubi prowadzić ciche, długoterminowe życie. Roomba 115 Combo pokonuje progi do 19 mm, wraca do stacji, gdy musi się naładować, a potem wznawia sprzątanie od miejsca, w którym przerwała. To ten rodzaj automatyzacji, który nie robi wielkiego widowiska, ale po kilku dniach trudno udawać, że nic się nie zmieniło.

Różnica między obiema wersjami sprowadza się do pytania, ile kontaktu z brudem chcemy jeszcze zachować w swoim życiu. Podstawowa Roomba 115 Combo kosztuje 899 PLN i jest sensowną propozycją dla osób, które chcą po prostu regularnego odkurzania i mopowania bez wchodzenia w wyższy budżet. Ma pojemnik na brud 500 ml i zbiornik na wodę 230 ml, więc dobrze pasuje do mieszkań, w których użytkownik nie ma problemu z tym, że od czasu do czasu trzeba pojemnik opróżnić.

Wersja Roomba 115 Combo ze stacją AutoEmpty kosztuje 1 299 PLN i dodaje coś, co brzmi jak mała rzecz, dopóki człowiek nie zacznie z niej korzystać: automatyczne opróżnianie pojemnika. Po cyklu sprzątania, a także w trakcie pracy, gdy pojemnik się zapełni, robot może oddać brud do stacji. Tam trafia on do worka AllergenLock o pojemności 2,5 l, który zatrzymuje 99% pyłków i pleśni. W praktyce oznacza to nawet do 90 dni bez opróżniania pojemnika i bez bliskiego spotkania z chmurką kurzu, która zwykle pojawia się dokładnie wtedy, gdy chcieliśmy tylko „szybko coś wyrzucić".

To szczególnie miłe rozwiązanie dla alergików, właścicieli zwierząt i wszystkich, którzy mają lepsze rzeczy do roboty niż rozmawianie z pojemnikiem na kurz. Stacja AutoEmpty nie sprawia, że sprzątanie znika magicznie z życia – mop nadal trzeba wyprać, części eksploatacyjne wymieniać, a świat wciąż będzie produkował okruchy z imponującą konsekwencją. Ale przesuwa granicę obsługi na tyle daleko, że robot zaczyna być mniej „urządzeniem do sprzątania", a bardziej elementem domowej infrastruktury. Jak zmywarka. Niby można bez niej żyć, tylko po co codziennie udowadniać sobie charakter.

Roomba 115 Combo działa z aplikacją *Roomba Home*, obsługuje harmonogramy i sterowanie głosowe przez Google Home, Siri oraz Alexę. Można więc uruchomić sprzątanie z telefonu, przyciskiem na robocie albo głosem, jeśli ktoś lubi wydawać polecenia urządzeniom i czuć się przez chwilę jak człowiek przyszłości, tylko w kapciach. Do konfiguracji potrzebna jest sieć 2,4 GHz, co warto wiedzieć zawczasu, bo domowe Wi-Fi potrafi być bardziej kapryśne niż niektóre rośliny doniczkowe.

Najciekawsze w Roomba 115 Combo nie jest jednak to, że ma LiDAR, mapy, 15 000 Pa i trzy tryby pracy. To wszystko ma znaczenie, ale dopiero w połączeniu z codziennością. Z tym, że podłoga w przedpokoju wygląda inaczej po deszczu. Że kuchnia po śniadaniu rzadko przypomina kuchnię z wizualizacji dewelopera. Że kurz pod łóżkiem nie jest tematem, o którym chcemy myśleć po pracy. Że czasem człowiek chciałby po prostu wrócić do domu i nie widzieć na podłodze całej historii ostatnich trzech dni.

Roomba 115 Combo nie obiecuje życia bez sprzątania. Bardziej rozsądnie: obiecuje, że sprzątanie przestanie tak często domagać się naszej uwagi. W wersji podstawowej robi to w cenie 899 PLN, oferując odkurzanie i mopowanie w jednym urządzeniu. W wersji ze stacją AutoEmpty za 1 299 PLN idzie krok dalej, zdejmując z użytkownika także regularne opróżnianie pojemnika. To nie jest gadżet do chwalenia się przy kolacji. To raczej sprzęt, który po cichu sprawia, że w mieszkaniu łatwiej utrzymać normalność.

A normalność, jak wiadomo, bywa dziś najbardziej luksusową funkcją ze wszystkich.



Wysunięta konstrukcja ruchomej szczotki bocznej pozwala skutecznie czyścić wzdłuż ścian, w narożnikach oraz pod meblami.



iRobot Roomba 115 Combo łączy odkurzanie i mopowanie podczas jednego przejazdu. Moc ssąca 15 000 Pa pozwala usuwać kurz, a system mopowania z technologią SmartScrub radzi sobie z trudniejszymi plamami.

eprasa.pl 7056b98f47

LAPTOP BEZ JABŁKA
też może mieć smak

MacBook przez lata stał się skrótem myślowym – mówimy „chcę laptopa, który dobrze wygląda, długo działa i dobrze mi się na nim pracuje”, a w głowie od razu pojawia się aluminiowa obudowa, schludne biurko i poczucie, że życie można jednak uporządkować w folderach. Problem zaczyna się wtedy, gdy do tego obrazka trzeba dopisać cenę, huby i świadomość, że nie każdy chce zamykać się w tym ekosystemie.

Alternatywa dla MacBooka nie musi być laptopem, który próbuje udawać MacBooka. Może być po prostu rozsądnym komputerem: lekkim, dobrze wykonanym, szybkim, z sensownym ekranem, wydajnym zestawem portów i przyjazną ceną. W tej roli Lenovo proponuje dwa modele z różnych półek, ale z podobną filozofią: Yoga Slim 7i 9. generacji i IdeaPad Slim 3i 10. generacji.

Yoga Slim 7i jest tym bardziej eleganckim wyborem. Kosztuje około 3 000 PLN, więc trafia w przyjemny punkt między laptop do wszystkiego a komputer premium, którego zakup wygląda jak decyzja inwestycyjna. Ma aluminiową obudowę, smukłą formę i 14-calowy ekran OLED WUXGA 1920x1200 pikseli. To właśnie wyświetlacz robi tu największą różnicę, bo ekran jest tym elementem laptopa, z którym użytkownik ma najdłuższą i najbardziej bezpośrednią relację.

W Yoga Slim 7i dostajemy panel OLED z jasnością 400 nitów, 100% pokryciem palety DCI-P3, Dolby Vision i DisplayHDR True Black 500. W praktyce oznacza to, że zdjęcia faktycznie wyglądają jak zdjęcia, czerń naprawdę jest czernią, a wieczorny seans nie przypomina kompromisu między kinem a ekranem w automacie biletowym. Dla kogoś, kto obrabia fotografie, pracuje z prezentacjami, tworzy materiały wizualne albo po prostu lubi, gdy obraz ma głębię, to nie jest ozdobnik. To codzienny komfort.

W środku Yoga Slim 7i ma procesor Intel Core Ultra 5 125H, zintegrowaną grafikę Intel Arc, 16 GB pamięci LPDDR5 i dysk SSD 512 GB. Nie jest to laptop udający mobilną stację roboczą do produkcji efektów specjalnych, ale do realnego życia ma bardzo sensowny zapas mocy. Przeglądarka z nieprzyzwoitą liczbą kart, komunikatory, dokumenty, lekka obróbka zdjęć, wideorozmowa, muzyka w tle i szybkie poprawki w projekcie nie powinny sprawić mu



Laptop Lenovo IdeaPad Slim 3i 10. generacji w klasycznym kolorze Luna Grey (dostępny również w barwie Cosmic Blue).

eprasa.pl 7056b98f47



Laptop Lenovo Yoga Slim 7i 9. generacji.

kłopotów. To sprzęt dla osób, które chcą pracować płynnie, a nie podziwiać pasek ładowania.

Lenovo dobrze rozumie też jedną rzecz, o której producenci smukłych laptopów czasem zapominają: świat nadal składa się z kabli. Yoga Slim 7i ma USB-A, Thunderbolt 4 z Power Delivery i DisplayPort oraz HDMI 2.1. Do tego dochodzi ładowarka 65 W w zestawie, co w 2026 roku brzmi prawie jak akt uprzejmości wobec klienta. Rapid Charge Boost daje do 2 godzin pracy po 15 minutach ładowania, czyli dokładnie tyle, ile trzeba, żeby w biegu uratować spotkanie, tekst albo prezentację, której oczywiście „prawie już nie trzeba było poprawiać".

Są też rzeczy mniej widowiskowe, ale po kilku tygodniach używania bardzo ważne: cztery głośniki, cztery mikrofony z redukcją szumów, kamera FHD IR do logowania przez Windows Hello i klawiatura o skoku 1,5 mm. To nie są elementy, które człowiek wpisuje sobie na listę marzeń, ale właśnie one decydują, czy laptop znika w codziennej pracy, czy co chwilę przypomina o sobie drobną irytacją. A dobry komputer osobisty powinien być trochę jak dobry kelner: obecny, sprawny i niewymagający nieustannej uwagi.

IdeaPad Slim 3i gra inną rolę. To bardziej pragmatyczna propozycja dla kogoś, kto nie potrzebuje aury premium, tylko komputera do pracy, nauki, domu i rozrywki. Kosztuje około 2 549 PLN w wersji z dyskiem 1 TB i 16 GB RAM albo około 2 699 PLN w konfiguracji z 512 GB SSD i 24 GB RAM. I właśnie te konfiguracje są tu istotne, bo Lenovo nie próbuje sprzedawać minimalizmu jako stylu życia. Daje dużo pamięci albo dużo miejsca na dane w cenie, która nadal pozostaje po stronie rozsądku.

YOGA SLIM 7i JEST DLA TYCH, KTÓRZY CHCĄ ELEGANCKIEGO, LEKKIEGO LAPTOPA Z PIĘKNYM OLED-EM

IdeaPad Slim 3i ma procesor Intel Core i5-13420H, zintegrowaną grafikę Intel UHD i 15,3-calowy ekran WUXGA IPS 1920x1200 pikseli. Większy wyświetlacz oznacza więcej przestrzeni na arkusze, dokumenty, przeglądarkę i notatki, a to w codziennym użyciu bywa ważniejsze niż kolejna smukła linia w folderze reklamowym. To laptop dla studenta, freelancera, pracownika hybrydowego albo domowego centrum dowodzenia, w którym rano powstaje raport, po południu prezentacja, a wieczorem odpalany jest serial, bo przecież jeden odcinek nikomu jeszcze nie zaszkodził. Teoretycznie.

Tu również pojawia się zdrowy zestaw portów: dwa USB-A 3.2, USB-C z Power Delivery i DisplayPort, HDMI 2.1 oraz czytnik kart SD. To brzmi zwyczajnie, ale zwyczajność bywa dziś luksusem. Można podłączyć monitor, zgrać zdjęcia z karty, użyć starszego pendrive'a i nie odkrywać nagle, że do wykonania prostej czynności potrzebny jest adapter, którego oczywiście akurat nie ma w torbie. Jest też ładowarka 65 W w pudełku i Rapid Charge Boost, więc kwadrans przy gniazdku potrafi dać dodatkowe 2 godziny pracy.

IdeaPad Slim 3i ma także kilka bardzo życiowych drobiazgów: przesłonę kamery, głośniki skierowane w stronę użytkownika z Dolby Audio, technologię TÜV Low Blue Light i standard MIL-STD-810H, podobnie jak Yoga Slim 7i. Ten ostatni nie znaczy, że laptop należy demonstracyjnie zrzucać ze stołu, ale daje poczucie, że konstrukcja została przygotowana na normalne, mało ceremonialne życie: plecak, dojazdy, przenoszenie z pokoju do kuchni, przypadkowe szturchnięcia i biurka, na których kubek z kawą zawsze stoi trochę za blisko.

Yoga Slim 7i 9. generacji jest więc dla tych, którzy chcą eleganckiego, lekkiego laptopa z pięknym OLED-em, dobrą kulturą pracy i mocą wystarczającą do kreatywnej codzienności. IdeaPad Slim 3i 10. generacji jest dla tych, którzy wolą większy ekran, bardzo rozsądną konfigurację, komplet portów i cenę, która nie wymaga emocjonalnych negocjacji z samym sobą.

W obu przypadkach ważne jest też to, że Lenovo dokłada dwuletnią gwarancję, oraz elementy związane z odpowiedzialną produkcją. Yoga Slim 7i wykorzystuje między innymi materiały z recyklingu w klawiaturze, dolnej pokrywie i obudowie zasilacza, ma opakowanie bez plastiku i opcję Lenovo CO_2 Offset. IdeaPad Slim 3i korzysta z tworzyw z recyklingu, ma certyfikaty EPEAT Silver i ENERGY STAR oraz również oferuje usługę CO_2 Offset. Nie zmienia to zakupu laptopa w ekologiczny manifest, ale pokazuje, że za sprzętem stoi coś więcej niż ładna obudowa.

Najlepsza alternatywa dla MacBooka nie musi mieć ambicji zostania kultowym przedmiotem na stoliku w kawiarni. Czasem wystarczy, że ma dobry ekran, mocny procesor, wygodną klawiaturę i cenę, która zostawia jeszcze miejsce na życie poza komputerem. Yoga Slim 7i 9. generacji i IdeaPad Slim 3i 10. generacji są właśnie takimi laptopami – bez wielkiej pozy, za to z dużą dawką codziennego sensu.

eprasa.pl 7056b98f47

KUCHNIA, KTÓRA PRZESTAJE DZIAŁAĆ OSOBNO

Co się dzieje, gdy sprzęty zaczynają ze sobą współpracować – i dlaczego dobra kuchnia to dziś mniej decyzji, mniej sprawdzania i mniej małych frustracji.

Obrazy wygenerowane komputerowo w celu wizualizacji

eprasa.pl 7056b98f47

Kuchnia rzadko psuje dzień jednym wielkim problemem. Częściej robi to serią drobnych rzeczy, których osobno prawie nie wypada traktować poważnie. Lodówka, w której trzeba przepychać zakupy jak układankę logiczną. Piekarnik, do którego zagląda się co kilka minut, bo przepis podaje czas, ale nie podaje pewności. Płyta, na której trzy garnki konkurują o miejsce i temperaturę. Zmywarka, po której nadal trzeba sprawdzić kieliszki, sztućce i plastikowe pojemniki.

Żadna z tych sytuacji nie jest dramatem. Wszystkie razem tworzą jednak coś, co dobrze zna każdy, kto naprawdę korzysta z kuchni: poczucie, że urządzenia miały pomagać, a tymczasem każde wymaga osobnej uwagi. Jedno trzeba kontrolować, drugie poprawiać, trzecie obchodzić własnymi sposobami. Kuchnia działa, ale nie zawsze współpracuje.

Dlatego coraz ważniejsze staje się nie to, czy pojedynczy sprzęt ma długą listę funkcji. Ważniejsze jest to, czy całość zaczyna zachowywać się jak system. Nie w futurystycznym domu, który próbuje być mądrzejszy od właściciela i kończy się rozmową z aplikacją przy otwartej lodówce. Raczej w prostszym, bardziej domowym znaczeniu: urządzenia zdejmują z użytkownika kolejne mikrodecyzje, ograniczają powtarzalne błędy i sprawiają, że kuchnia przestaje domagać się ciągłej korekty.

W portfolio Samsung ten kierunek widać bardzo wyraźnie, bo poszczególne rozwiązania, dostępne w wybranych produktach, nie próbują robić tego samego. Każde porządkuje inny fragment codzienności. Lodówki z rozwiązaniami takimi jak SpaceMax™, strefy świeżości czy SmartThings Energy pomagają lepiej wykorzystać przestrzeń, utrzymać stabilne warunki i zrozumieć zużycie energii. Piekarniki z AI Pro Cooking, Dual Cook, parą czy podglądem w aplikacji zmniejszają liczbę momentów, w których trzeba zgadywać, czy zapiekanka jest gotowa. Płyty indukcyjne ze strefami Flex Zone i zintegrowanym wyciągiem porządkują gotowanie na blacie. Zmywarki z AI Wash, WaterJet Clean, Active Dry i automatycznym otwieraniem drzwi domykają proces tam, gdzie wcześniej często zostawało coś do poprawienia.*

JAK ZBUDOWAĆ SPÓJNĄ KUCHNIĘ BEZ PRZEPŁACANIA:

- zacznij od urządzenia, które rozwiązuje najczęstszy codzienny problem
- wybieraj funkcje pod rytm domu, nie pod najdłuższą listę możliwości
- zwracaj uwagę na przewidywalność, a nie tylko na moc i pojemność
- szukaj sprzętów, które można monitorować i kontrolować w jednym ekosystemie
- traktuj zużycie energii jako część projektu kuchni, nie dopisek do specyfikacji
- nie kupuj wszystkiego naraz, ale dbaj o to, żeby kolejne urządzenia działały w tej samej logice

Materiał reklamowy marki Samsung

*Dotyczy wybranych urządzeń. Dostępne funkcje oraz specyfikacje techniczne różnią się w zależności od modelu – szczegóły znajdują się na dedykowanych kartach produktowych.

eprasa.pl 7056b98f47

Najważniejsze nie jest jednak to, że te funkcje istnieją. Najważniejsze jest to, że zaczynają pracować w tym samym kierunku.

JEDEN RYTM ZAMIAST KILKU URZĄDZEŃ

Kuchnia jako system nie oznacza, że wszystko musi być najdroższe, największe i z jednej katalogowej linii. To raczej sposób myślenia o tym, gdzie w codzienności najczęściej powstaje tarcie.

Jeśli problemem jest przechowywanie, liczy się lodówka, która nie wymaga planowania każdego pudełka po zakupach. Większa i użyteczna przestrzeń, strefy temperatury i kontrola wilgotności nie są wtedy dodatkami, tylko sposobem na ograniczenie marnowania jedzenia i frustracji. Jeśli najwięcej napięcia pojawia się przy gotowaniu, większe znaczenie ma płyta, która pozwala swobodnie ustawiać naczynia i odprowadza parę tam, gdzie ona powstaje. Jeśli najczęściej coś wymaga poprawki na końcu, wtedy zmywarka i system suszenia zaczynają być ważniejsze niż kolejny efektowny parametr.

W dobrze zaprojektowanej kuchni urządzenia nie muszą robić wszystkiego. Muszą wykonywać swoje zadania w przewidywalny sposób. Lodówka ma utrzymywać warunki. Piekarnik ma prowadzić proces. Płyta ma reagować na gotowanie, a nie wymuszać kompromisy. Zmywarka ma zamykać dzień bez pytania, czy coś trzeba jeszcze dopolerować.

To właśnie tu pojawia się sens spójnego ekosystemu Samsung. SmartThings** nie jest osobnym bohaterem kuchni, ale warstwą, która pozwala sprawdzić status urządzeń, monitorować ich pracę i lepiej rozumieć zużycie energii. W praktyce nie chodzi o to, żeby częściej patrzeć w telefon. Chodzi o to, żeby rzadziej wracać do kuchni „na wszelki wypadek".

BESPOKE JAKO PORZĄDEK, NIE DEKORACJA

W serii Bespoke najłatwiej zauważyć stronę wizualną: spójne wykończenia, prostsze linie, możliwość dopasowania sprzętów do wnętrza. To ważne, bo kuchnia coraz częściej jest częścią salonu, a nie osobnym pomieszczeniem ukrytym za drzwiami. Sprzęt nie może już wyglądać jak kompromis techniczny wstawiony między meble. Musi być częścią przestrzeni.

Ale w dobrym projekcie spójność wizualna jest tylko początkiem. Prawdziwa wartość pojawia się wtedy, gdy podobnie uporządkowane jest użytkowanie. Gdy lodówka nie wymaga ciągłego przekładania produktów, piekarnik nie wymusza otwierania drzwi co kilka minut, płyta nie zmienia gotowania w logistykę garnków, a zmywarka nie zostawia po sobie wilgoci i wątpliwości.

Bespoke można więc rozumieć nie tylko jako estetykę, ale jako próbę uporządkowania kuchni od zewnątrz i od środka. Urządzenia mają pasować do przestrzeni, ale też do rytmu domu. Do zakupów robionych raz w tygodniu. Do gotowania kilku rzeczy naraz. Do szybkiego obiadu między spotkaniami. Do wieczoru, kiedy nikt już nie chce myśleć o zmywaniu.

> SPÓJNA KUCHNIA NIE POLEGA NA TYM, ŻE SPRZĘTY ROBIĄ WIĘCEJ. POLEGA NA TYM, ŻE UŻYTKOWNIK MUSI ROBIĆ MNIEJ RZECZY „NA WSZELKI WYPADEK"



** Aby korzystać z aplikacji *SmartThings*, pobierz ją ze sklepu Galaxy Store, Google Play Store lub Apple App Store. Szczegóły dotyczące specyfikacji obsługiwanych systemów operacyjnych, wymaganego miejsca na dysku i inne informacje o warunkach użytkowania aplikacji *SmartThings* można znaleźć na stronie pobierania aplikacji, w każdym sklepie z aplikacjami. *SmartThings* podlega ograniczeniom dotyczącym kompatybilności, a warunki zgodności z systemami operacyjnymi mogą być okresowo aktualizowane. Specyfikacje obsługiwanych systemów operacyjnych oraz konfiguracja ekranu aplikacji mogą ulec zmianie wraz z aktualizacjami aplikacji.

eprasa.pl 7056b98f47



CO REALNIE SIĘ ZMIENIA?

- mniej sprawdzania, czy coś zostało wyłączone, domyte, dopieczone albo dobrze schłodzone
- mniej ręcznych korekt w trakcie gotowania i po zakończeniu cyklu
- łatwiejsze zarządzanie energią dzięki podglądowi zużycia w aplikacji
- bardziej przewidywalny efekt przy przechowywaniu, gotowaniu, pieczeniu i zmywaniu
- kuchnia działa jako całość, a nie zbiór osobnych urządzeń

Najlepszy sprzęt w kuchni nie powinien przypominać o sobie co kilka godzin. Powinien dawać poczucie, że coś zostało dobrze rozwiązane wcześniej.

JAK ZBUDOWAĆ SPÓJNĄ KUCHNIĘ BEZ PRZEPŁACANIA

Największy błąd przy planowaniu kuchni polega na tym, że łatwo zacząć od funkcji, a nie od własnego rytmu. Wtedy kupuje się sprzęt „na zapas", z myślą o scenariuszach, które brzmią dobrze w folderze, ale w życiu pojawiają się raz na rok, najczęściej wtedy, gdy i tak zamawiamy jedzenie.

Lepszym punktem wyjścia jest pytanie, co w kuchni naprawdę zabiera uwagę. Jeśli gotujesz codziennie, warto zainwestować w płytę z elastyczną strefą grzania i dobrym zarządzaniem parą. Jeśli pieczesz często, większy sens ma piekarnik, który daje podgląd, prowadzi proces i pozwala przygotowywać potrawy równolegle. Jeśli robisz duże zakupy, lodówka z dobrze zaprojektowanym wnętrzem będzie ważniejsza niż kolejny program specjalny w innym urządzeniu. Jeśli po kolacji najczęściej zostaje ci niechęć do sprzątania, zmywarka z przewidywalnym suszeniem może zmienić więcej niż najbardziej efektowna funkcja w sprzęcie, którego używasz raz na tydzień.

Spójna kuchnia nie musi oznaczać kupowania wszystkiego od razu. Można budować ją etapami, zaczynając od urządzenia, które rozwiązuje największy codzienny problem. Ważne, żeby każdy kolejny wybór nie był osobną wyspą. Dobrze, jeśli sprzęty korzystają z jednej aplikacji, podobnie komunikują status, dają możliwość monitorowania energii i nie wymagają uczenia się od nowa za każdym razem.

Wtedy technologia przestaje być zbiorem funkcji. Staje się infrastrukturą codzienności.

CODZIENNOŚĆ BEZ MIKROPROBLEMÓW

Najbardziej przekonujące w dobrze działającej kuchni jest to, że trudno wskazać jeden spektakularny moment. Nie ma wielkiej sceny. Jest raczej seria rzeczy, które nie poszły źle.

Zakupy mieszczą się bez przesuwania wszystkiego z półki na półkę. Obiad piecze się bez nerwowego zaglądania. Para z patelni nie osiada na całej kuchni. Naczynia po zmywaniu są suche i gotowe do kolejnego wykorzystania. Zużycie energii można sprawdzić bez zgadywania. Status urządzeń nie wymaga chodzenia po kuchni i dotykania wszystkiego po kolei.

To są drobiazgi, ale właśnie z drobiazgów składa się dom. Z rzeczy, które albo działają w tle, albo dzień po dniu zabierają uwagę. Dobra kuchnia nie musi zachwycać za każdym razem, gdy się do niej wchodzi. Wystarczy, że nie przeszkadza. Że pozwala gotować, przechowywać, sprzątać i planować bez poczucia, że każdy etap wymaga osobnego nadzoru.

W tym sensie kuchnia jako system nie jest wizją przyszłości. To raczej bardzo praktyczna odpowiedź na teraźniejszość, w której mamy więcej urządzeń, więcej zadań i mniej cierpliwości do rzeczy, które miały być proste.

Najlepszy efekt pojawia się wtedy, gdy sprzęty nie konkurują o uwagę. Lodówka nie domaga się planowania. Piekarnik nie zmusza do zgadywania. Płyta nie walczy z garnkami. Zmywarka nie zostawia procesu niedokończonego. A aplikacja nie jest kolejnym obowiązkiem, tylko miejscem, w którym można sprawdzić, czy wszystko działa tak, jak powinno.

Kuchnia zaczyna wtedy robić coś, czego nie da się dobrze pokazać w specyfikacji. Przestaje mnożyć małe problemy.

I właśnie to jest różnica między zestawem urządzeń a systemem.

eprasa.pl 7056b98f47

SAMSUNG THE FRAME MA JUŻ 10 LAT



Dziesięć lat temu pomysł był prosty, ale dość odważny: zrobić telewizor, który po wyłączeniu nie zamienia się w czarną przestrzeń na środku ściany. Samsung The Frame od początku próbował rozwiązać problem znany każdemu, kto choć raz urządzał mieszkanie i odkrył, że nawet najładniejszy ekran wciąż wygląda jak ekran. Tyle że tutaj miał wyglądać jak obraz.

Dziś Samsung podaje, że od 2017 roku The Frame trafił do 80 tysięcy polskich domów. To niezły wynik jak na sprzęt, który nigdy nie był po prostu kolejnym telewizorem do oglądania seriali, meczów i kanałów informacyjnych puszczonych „tylko w tle". W jego przypadku równie ważne było to, co dzieje się wtedy, gdy nikt niczego nie ogląda.

Pomaga w tym kilka rozwiązań, które przez lata stały się znakiem rozpoznawczym tej serii. Smukła obudowa i montaż Slim-Fit pozwalają zawiesić telewizor blisko ściany, bez efektu sprzętu doklejonego do wnętrza w ostatniej chwili. Matowa powłoka ekranu ogranicza odblaski i ma lepiej imitować fakturę płótna, co w jasnym salonie ma większe znaczenie niż kolejna cyfra w specyfikacji. Do tego dochodzą wymienne, magnetyczne ramki, dostępne w różnych stylach, oraz moduł One Connect, który pozwala uporządkować kable i ukryć większość technicznego bałaganu z dala od samego ekranu. Czujnik ruchu może włączać i wygaszać obraz w zależności od obecności domowników, a czujnik światła dopasowuje jasność do warunków w pokoju.

W 2025 roku rodzina powiększyła się o model The Frame Pro, czyli bardziej zaawansowaną wersję tej samej idei. Tu pojawił się bezprzewodowy moduł One Connect, ekran Neo QLED z podświetleniem Quantum Mini LED, odświeżanie do 144 Hz oraz cztery złącza HDMI 2.1. Innymi słowy: nadal obraz na ścianie, ale już taki, który po godzinach potrafi całkiem poważnie zająć się kinem, grami i wszystkim tym, co domownikom każe nagle tłumaczyć, że „to nie był zakup dla siebie, tylko dla salonu".

Drugim filarem The Frame od początku był Samsung Art Store. Platforma startowała od 100 prac w ramach Samsung Collection, a dziś oferuje ponad 5 000 dzieł od ponad 80 instytucji partnerskich z całego świata. W katalogu znalazły się zbiory m.in. Muzeum Prado, Albertiny, Magnum Photos, Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku czy LIFE Picture Collection. Obok klasycznego malarstwa – od Rubensa, Moneta i Van Gogha po Seurata – są też fotografie, prace współczesnych artystów oraz kolekcje popkulturowe, w tym materiały związane z Gwiezdnymi wojnami czy Myszką Miki.

Samsung postanowił świętować jubileusz polskim akcentem. Do Art Store trafiło ponad 20 prac Tamary Łempickiej, jednej z najbardziej rozpoznawalnych polskich artystek XX wieku i jednej z ikon art déco. Kolekcja powstała we współpracy z Fundacją Tamary Łempickiej i jest pierwszym tak obszernym zestawem dzieł polskiej malarki na tej platformie. Prace są dostępne w jakości 4K na telewizorach Samsung z lat 2025 i 2026.

The Frame pozostaje produktem z tej ciekawej kategorii urządzeń, które najpierw trzeba było wytłumaczyć. Telewizor jako obraz brzmiał kiedyś jak elegancka fanaberia, trochę wnętrzarski żart, trochę technologiczna sztuczka dla ludzi, którzy nie chcą przyznać, że lubią duży ekran. Po dekadzie widać jednak, że trafił w bardzo prawdziwą potrzebę: żeby technologia była obecna, ale nie dominowała. I żeby salon po wyłączeniu filmu nie wyglądał jak centrum dowodzenia, tylko znowu jak miejsce do życia.

eprasa.pl 7056b98f47

SIEDEM RZECZY, KTÓRE TWOJE CIAŁO PRÓBUJE POWIEDZIEĆ PRZED URLOPEM



Agnieszka Jankowska
INSTRUKTORKA PILATESU I ZOGI | WŁAŚCICIELKA SYRENKA STUDIO PILATESU | WWW.STUDIOSYRENKA.PL

Odliczasz dni do wakacji. Jeszcze tylko kilka spotkań, trochę maili do wysłania, parę spraw do zamknięcia i wreszcie upragniony odpoczynek. Paradoksalnie właśnie wtedy ciało często zaczyna wysyłać sygnały alarmowe. Bóle pleców, problemy ze snem, ciągłe zmęczenie czy napięte barki rzadko pojawiają się przypadkiem. Często są efektem wielu tygodni funkcjonowania na najwyższych obrotach, bez chwili prawdziwego wytchnienia.

Zanim więc spakujesz walizkę, zatrzymaj się na chwilę i sprawdź, co twoje ciało próbuje ci przekazać.

1. „JESTEM ZMĘCZONE”

Brzmi banalnie? A jednak wielu z nas ignoruje ten sygnał przez długie miesiące. Budzisz się zmęczony mimo przespanej nocy? Potrzebujesz kolejnej kawy już przed południem? Wieczorem nie masz siły na nic poza kanapą? To mogą być pierwsze oznaki, że organizm domaga się regeneracji. Choć często zrzucamy zmęczenie na karb lenistwa albo braku kondycji, bywa ono po prostu informacją, że ciało od dawna funkcjonuje już na oparach.

2. „NIE NOŚ CAŁEGO ŚWIATA NA SWOICH BARKACH”

Napięte mięśnie karku i ramion to jeden z najczęstszych objawów przewlekłego stresu. Godziny spędzone przed komputerem, pośpiech i ciągła gotowość do działania sprawiają, że barki niemal niezauważalnie unoszą się do góry. Z czasem może to generować ból i napięcie w okolicach głowy, szyi oraz karku. Jeśli wieczorem czujesz sztywność szyi albo regularnie masujesz obolałe ramiona, twoje ciało prawdopodobnie prosi o więcej ruchu, oddechu i przerw w ciągu dnia.

3. „POTRZEBUJĘ RUCHU”

Wciąż zbyt często za główną przyczynę bólu pleców uznajemy nadmierną aktywność fizyczną, a nie ciągły bezruch. Tymczasem wielogodzinne siedzenie osłabia mięśnie odpowiedzialne za stabilizację kręgosłupa, ogranicza ruchomość stawów i zwiększa napięcia w ciele. Jeśli chcesz cieszyć się sprawnością przez wiele lat, warto zadbać o regularny ruch. Nie musi to oznaczać intensywnych treningów. Czasem wystarczy spacer, ćwiczenia mobilizujące albo spokojna, świadoma aktywność, taka jak pilates czy joga, aby ciało stopniowo odzyskało równowagę.

Jeśli chcesz cieszyć się sprawnością przez wiele lat, warto zadbać o regularny ruch

4. „NIE MOGĘ SIĘ WYCISZYĆ”

Masz wolny wieczór, a mimo to nie potrafisz odpocząć? Ciągle analizujesz obowiązki albo tworzysz listę kolejnych zadań? To również może być sygnał przeciążenia. Organizm przyzwyczajony do ciągłej stymulacji ma czasem trudność z przejściem w tryb regeneracji. Dlatego tak wiele osób wyjeżdża na urlop i dopiero po kilku dniach zaczyna naprawdę odpoczywać.

5. „CHCĘ SIĘ WYSPAĆ”

Problemy z zasypianiem, częste wybudzenia albo poczucie niewyspania mimo odpowiedniej liczby godzin w łóżku to kolejne ostrzeżenie. Sen jest momentem, w którym regeneruje się nie tylko ciało, ale także układ nerwowy. Jeśli regularnie go zaniedbujemy, prędzej czy później organizm zacznie domagać się uwagi.

6. „MUSZĘ WYHAMOWAĆ”

Ciągły pośpiech sprawia, że przestajemy zauważać sygnały wysyłane przez organizm. Jemy szybko, oddychamy płytko, wykonujemy kilka czynności naraz. Tymczasem ciało najlepiej funkcjonuje wtedy, gdy ma przestrzeń na regenerację. Nawet kilka minut świadomego oddechu i skupienia na sobie może przynieść więcej korzyści niż kolejny punkt odhaczony na liście zadań.

7. „NIE BĘDĘ CZEKAĆ DO WAKACJI”

Największym błędem jest traktowanie urlopu jako jedynego momentu na odpoczynek. Regeneracja nie powinna być wydarzeniem raz w roku, lecz elementem codzienności. Zbliżające się wakacje mogą być dobrym pretekstem, by zacząć uważniej słuchać swojego ciała. Bo ono zwykle wie, czego potrzebuje. Problem w tym, że często zaczynamy go słuchać dopiero wtedy, gdy krzyczy naprawdę głośno.

Zanim wyjedziesz na urlop, zwróć uwagę na sygnały, które wysyła twój organizm. Być może zamiast kolejnego wyzwania potrzebuje dziś po prostu odrobiny troski, ruchu i odpoczynku.

FOT. ZUZANNA CZAPLAK

eprasa.pl 7056b98f47

Moda, sport i pielęgnacja w wakacyjnym rytmie – od riwiery COS i tenisowego świata GUESS aż po makijaż NARS

LETNI STYL







eprasa.pl 7056b98f47



03



04



05

01 **GUESS TENNIS CLUB**

Tego lata GUESS przenosi swoją charakterystyczną estetykę do świata tenisa, prezentując współpracę z Life Ten Tennis Club. Sezonowy takeover jednego z najbardziej rozpoznawalnych miejskich adresów stolicy łączy modę, sport i lifestyle w przestrzeni położonej w malowniczym otoczeniu Parku Skaryszewskiego.

Projekt „GUESS x Life Ten Tennis Club" to nowa odsłona stylu życia marki – miejsce, w którym współczesna moda spotyka się z ponadczasową elegancją tenisowej kultury. Od czerwca do września przestrzeń klubu działa w estetyce GUESS: dedykowane elementy brandingowe i indywidualnie zaprojektowane detale tworzą spójną scenografię, odwołującą się do DNA marki oraz jej związku ze współczesną kulturą lifestyle'ową.
www.guess.eu

02 **GUESS MAN I GUESS JEANS NA PITTI UOMO**

GUESS ogłosił powrót na targi Pitti Uomo 110, wzmacniając swoją obecność na jednej z najważniejszych międzynarodowych platform poświęconych modzie męskiej. Podczas czerwcowej edycji wydarzenia marka zaprezentowała linie GUESS Jeans oraz GUESS Man, każdą w osobnej przestrzeni wystawienniczej.

Choć GUESS Jeans i GUESS Man mają odrębne tożsamości, obie prezentacje pokazują współczesne podejście marki do designu, stylu i kultury. Każda z nich zachowuje własny charakter, ale łączy je wspólny język architektoniczny: czyste formy, naturalne materiały i starannie zaprojektowane detale, budujące spójną wizję świata GUESS.
www.guess.eu

03 **DRUNK ELEPHANT**

Wonderwild Miracle Butter od Drunk Elephant to intensywnie nawilżający balsam, stworzony z myślą o suchej i wymagającej skórze.

Formuła opiera się na masłach roślinnych – marula, cupuaçu, mango i shea – które wspierają ochronę skóry przed działaniem czynników zewnętrznych. Uzupełniają je oleje roślinne bogate w przeciwutleniacze i kwasy tłuszczowe, m.in. z limnanthe, dyni, nasion zielonej herbaty, kukui i dzikiej róży, pomagające odżywić skórę i wzmocnić jej barierę ochronną.

Wonderwild ma postać wysoko skoncentrowanej maści, dlatego wystarczy niewielka ilość produktu. Sprawdzi się na wszystkich obszarach skóry, które potrzebują dodatkowej pielęgnacji.
www.sephora.pl

04 **NARS**

Light Reflecting Luminizing Powder od NARS to rozświetlający puder, który nadaje skórze świeży, świetlisty blask dokładnie tam, gdzie jest potrzebny – na kościach policzkowych, łukach brwiowych czy grzbiecie nosa.

Hybrydowa formuła, łącząca właściwości serum i pudru, gładko wtapia się w skórę i pozwala budować efekt od subtelnego rozświetlenia po bardziej intensywny glow. Produkt łatwo się rozprowadza, nie obciąża skóry i zostawia eleganckie, świetliste wykończenie.
www.sephora.pl

05 **COS**

COS prezentuje letnią kolekcję inspirowaną atmosferą słonecznej riwiery. To nowoczesna garderoba oparta na eleganckich sylwetkach, miękko układających się fasonach i lekkich, lejących tkaninach, zaprojektowanych z myślą o swobodnym przechodzeniu między różnymi miejscami i okazjami.

Męska część kolekcji łączy luźne kroje, funkcjonalność i ponadczasowy design. Nieusztywnione koszule, spodnie i komplety nadają klasycznemu krawiectwu bardziej współczesny charakter. Z kolei detale inspirowane odzieżą roboczą oraz miękkie, rzeźbiarskie dzianiny wprowadzają wyrazistą fakturę i lekko podróżniczy nastrój.
www.cos.com

eprasa.pl 7056b98f47

T3

ANTRAKT

TECHNOLOGIA WARTA UWAGI



DAVIDHUGH AIORA

A gdyby dało się wyłączyć cały ten hałas w głowie w kilka minut? Taką obietnicę składa Aiora, fotel marki DavidHugh, którego twórcy twierdzą, że pomaga się odprężyć i daje „efekty podobne do tych znanych z deprywacyjnych kapsuł flotacyjnych". Brzmi jak wellness dla ludzi, którzy mają już wszystko oprócz ciszy, ale mechanizm jest całkiem konkretny. Aiora korzysta z tzw. planar motion mechanics, czyli ruchu po dwuwymiarowej osi – w praktyce: kontrolowanego odchylenia do tyłu. DavidHugh przekonuje, że fotel ustawia ciało w stanie „idealnej równowagi", wywołując poczucie unoszenia i bezwładności, które ma ograniczać bodźce z zewnątrz, a wzmacniać świadomość tego, co dzieje się wewnątrz. Efekt? Uspokojenie myśli, odcięcie od świata i podobno także „zmiany stanów świadomości oraz jasności umysłu" bliskie temu, co potrafią osiągnąć mnisi i transcendentalni zapaleńcy. A ponieważ w standardzie dostajemy duńską wełnę Kvadrat, skórę Muirhead oraz drewno i żywicę Fenix, może to być najbardziej luksusowa sesja medytacyjna w twoim życiu.

Od 28 069 PLN, www.davidhugh.com

eprasa.pl 7056b98f47

AUTOPSJA

RECENZJE, KTÓRE POZWOLĄ WAM PODJĄĆ WYŁĄCZNIE DOBRE DECYZJE

Prowadzący | **Marcin Kubicki**



WYRÓŻNIENIA



Wyróżnienie to otrzymują produkty, które oferują wysoką jakość w przyjaznej dla portfela cenie.



Nagroda dla urządzeń o efektownym, przykuwającym wzrok i oryginalnym wzornictwie.



Wyróżnienie wskazuje ekskluzywne produkty, doskonałe pod względem estetycznym i funkcjonalnym.



Nagroda przyznawana najlepszym gadżetom w swojej klasie, które deklasują konkurencję.



Tym symbolem oznaczamy produkty, które w trakcie testów okazały się po prostu idealne.

eprasa.pl 7056b98f47

SAMSUNG R95H MICRO RGB

KOLOR PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA

Przez ostatnie lata rozmowa o telewizorach premium była dość przewidywalna. OLED miał czerń, Mini LED miał jasność, a reszta świata próbowała udowodnić, że też ma jakiś charakter, choć czasem przypominało to kandydata na randce, który przez dwie godziny opowiada o swoim stanowisku pracy. Samsung R95H wchodzi w tę dyskusję z czymś ciekawszym niż kolejną naklejką na pudełku. Za terminem Micro RGB kryje się realna zmiana – panel korzysta z osobnych czerwonych, zielonych i niebieskich diod. Nadal mówimy o telewizorze LCD z podświetleniem, nie o samoświecącym Micro LED, więc marketingową euforię warto zostawić za drzwiami razem z butami. Ale sam pomysł ma sens.

W praktyce oznacza to obraz, który robi coś, czego po LCD dawno już nie oczekiwałem – potrafi wyglądać świeżo. Nie „jaśniej niż rok temu", nie „trochę lepiej w HDR", tylko naprawdę inaczej. R95H rozciąga kolor tak szeroko, że przy pierwszym kontakcie można odruchowo podejrzewać Samsunga o klasyczną przesadę w stylu sklepowego trybu demonstracyjnego, w którym każdy zachód słońca wygląda jak finał Eurowizji. Tyle że tutaj ta przesada jest zaskakująco dobrze wychowana. W trybie Standard obraz jest mocny, nasycony, efektowny i ewidentnie nienaturalnie ambitny względem tego, jak masterowane jest dzisiejsze HDR, ale rzadko wpada w karykaturę. To trochę tak, jakby ktoś zremasterował znane filmy do formatu, którego jeszcze nie ma, ale zrobił to z większym wyczuciem niż przeciętny algorytm „ulepszania wszystkiego".



Micro RGB nie jest Micro LED-em, ale dzięki osobnym czerwonym, zielonym i niebieskim diodom podświetlenia R95H pokazuje kolor z rozmachem, którego zwykłe LCD nigdy nie miały.

T3 Od 16 299 PLN | www.samsung.pl

eprasa.pl 7056b98f47

“

TO TELEWIZOR, KTÓRY PRÓBUJE WMÓWIĆ KLASYCZNEJ TECHNOLOGII PODŚWIETLENIA, ŻE MOŻE JESZCZE PRZEŻYĆ DRUGĄ MŁODOŚĆ



SPECYFIKACJA

PRZEKĄTNA EKRANU 65”, 75”, 85”

CZĘSTOTLIWOŚĆ ODŚWIEŻANIA
240 Hz (VRR), 165 Hz

WYMIARY BEZ PODSTAWY (75”)
1 659 x 952 x 30 mm

WYMIARY Z PODSTAWĄ (75”)
1 659 x 1 019 x 349 mm

WAGA BEZ PODSTAWY (75”)
30,1 kg

WAGA Z PODSTAWĄ (75”) 31,8 kg

Największe wrażenie robi jednak nie sam kolor, lecz to, że Samsungowi udało się go połączyć z bardzo dobrym panowaniem nad światłem. W 75-calowej wersji panel korzysta z 1 792 stref lokalnego wygaszania, a osobne diody RGB dokładają do tego dodatkową warstwę kontroli. Efekt jest taki, że R95H potrafi zejść z czernią naprawdę nisko jak na LCD, utrzymać stabilność w ciemnych scenach i ograniczyć typowe dla Mini LED poświaty wokół jasnych obiektów. Blooming nie znika całkowicie, bo fizyki nie da się oszukać nawet z pomocą działu marketingu, ale ma ciekawą cechę – często przyjmuje barwę jasnego obiektu, więc oko odbiera go bardziej jak naturalną aurę niż szarawy brud wokół księżyca. OLED nadal ma przewagę tam, gdzie liczy się absolutna kontrola pojedynczego piksela, ale R95H pierwszy raz od dawna sprawia, że to porównanie nie brzmi jak litościwe głaskanie LCD po głowie.

Jasność jest drugim argumentem, który trudno zignorować. Pomiary sięgające około 2 200–2 300 nitów w HDR oraz ponad 600 nitów na pełnym białym ekranie robią z R95H telewizor świetnie przygotowany do życia poza idealnie zaciemnioną salą kinową. A przecież większość salonów nie wygląda jak prywatna grota Christophera Nolana. Ludzie mają okna, lampy, dzieci, psy, rośliny, czasem nawet odwagę oglądać film w dzień. Tutaj pomaga też bardzo skuteczna powłoka antyrefleksyjna Glare Free, która nie jest tylko kolejnym sposobem na napisanie „matowy ekran” droższymi słowami. Refleksy są rozpraszane bardzo dobrze, a telewizor zachowuje kontrast w warunkach, w których wiele ekranów zaczyna przypominać kosztowne lustro do sprawdzania własnych rozczarowań.

Są jednak dwa oblicza tego telewizora. Tryb Standard pokazuje, czym Micro RGB chce uwodzić: jaskrawością, skalą,

eprasa.pl 7056b98f47



poczuciem nowości i HDR-em, który ma w sobie trochę arogancji. Filmmaker Mode robi coś przeciwnego – grzecznie zakłada marynarkę, ogranicza kolor i jasność, a potem mówi: „spokojnie, ja też umiem zachować się przy stole". I to ważne, bo R95H nie jest wyłącznie telewizorem dla ludzi, którzy każdą scenę chcą zobaczyć w wersji po kreatynie. W trybie wierniejszym standardom obraz jest znacznie spokojniejszy, mniej spektakularny, ale bardzo dobrze zbalansowany. To nie jest najseksowniejsza twarz tego Samsunga, ale potrzebna. Dzięki niej R95H nie jest wyłącznie technologicznym pokazem fajerwerków, lecz ekranem, który można sensownie dostosować do wieczoru: inaczej do meczu, inaczej do *Blade Runnera 2049*, inaczej do serialu oglądanego jednym okiem przy kolacji.

Ruch jest jednym z miejsc, gdzie entuzjazm trzeba lekko przytemperować. R95H potrafi wyglądać odrobinę miękko przy szybkich panoramach i dynamicznych obiektach, a domyślne ustawienia upłynniania w niektórych trybach warto szybko skorygować. To nie jest znacząca wada, raczej przypomnienie, że nowa technologia podświetlenia nie rozwiązuje magicznie wszystkich problemów obrazu. Podobnie z brakiem Dolby Vision. Samsung konsekwentnie trzyma się HDR10, HLG i HDR10+, z zapowiadanym wsparciem HDR10+ Advanced, ale jeśli ktoś ma bibliotekę treści i odtwarzaczy zbudowaną wokół Dolby Vision, będzie musiał przełknąć tę decyzję producenta.

Od strony grania R95H jest za to uzbrojony jak bohater finałowego aktu gry, który zebrał wszystkie ulepszenia przed bossem. Cztery porty HDMI 2.1 obsługują sygnał 4K do 165 Hz, jest VRR, AMD FreeSync Premium Pro, automatyczny tryb niskiego opóźnienia i Panel Gracza z szybkim dostępem do ustawień. Input lag na poziomie 10,4 ms oznacza, że konsola lub pecet nie będą miały na co narzekać. Granie w HDR robi ogromne wrażenie, bo właśnie tutaj szeroki kolor i wysoka jasność działają najbardziej bezpośrednio – mniej jak akademicka dyskusja o standardach, bardziej jak natychmiastowy uśmiech po odpaleniu gry.

Tizen pozostaje Tizenem, czyli systemem rozbudowanym, szybkim, pełnym aplikacji, funkcji smart home, rekomendacji, profili, asystentów i całej tej współczesnej, telewizyjnej administracji, przez którą czasem czujemy się jak księgowy własnej rozrywki. W najnowszej odsłonie interfejs jest bar-



Smukła obudowa, centralna podstawa i świetna powłoka antyrefleksyjna sprawiają, że R95H dobrze wygląda nawet wtedy, gdy nie próbuje wypalać siatkówki HDR-em.

eprasa.pl 7056b98f47



dziej responsywny i czytelny, pojawiają się funkcje AI, integracja ze SmartThings, sterowanie głosowe, a także sklep ze sztuką i generatywne tapety. W połączeniu z powłoką antyrefleksyjną telewizor może naprawdę udawać obraz, gdy nie jest używany. To bardzo miłe, bo duży czarny prostokąt w salonie bywa estetycznym odpowiednikiem zamkniętej trumny dla dobrego gustu.

Wzornictwo jest dokładnie takie, jakiego oczekuje się od drogiego Samsunga: smukłe ramki, metaliczne wykończenie, płytka konstrukcja i centralna podstawka z efektem „lewitowania". Nie ma tu rewolucji, bo w projektowaniu telewizorów trudno już wymyślić coś bardziej odważnego niż „prostokąt, ale drogi". Jest za to elegancja, sensowny porządek kabli i pilot SolarCell, który ładuje się światłem.

Dźwięk z wbudowanego systemu 4.2.2 o mocy 70 W jest lepszy, niż sugerowałaby smukła obudowa. Dźwięk Podążający za Obiektem+ potrafi przekonująco rozciągnąć scenę poza fizyczne granice ekranu, dialogi są klarowne, a efekty potrafią śledzić ruch na ekranie z przyjemną precyzją. Do codziennego oglądania, sportu, seriali i streamingu to wystarczy. Do wielkiego kina z gęstą ścieżką dźwiękową nadal warto dodać soundbar albo pełny system audio, bo głęboki, długotrwały bas potrafi wyprowadzić wbudowane głośniki z równowagi. Cudów nie ma – ładny telewizor nie staje się nagle kolumną podłogową tylko dlatego, że ma w nazwie „Plus".

Samsung R95H jest jednym z najciekawszych telewizorów LCD od lat, bo nie udaje OLED-a, tylko próbuje znaleźć własną drogę między jego czernią a jasnością Mini LED. Technologia w nim nie jest już tylko kosmetyką, ale zaczyna przesuwać granicę tego, czego oczekujemy od LCD. I choć OLED nadal ma swoje święte miejsca, Samsung pokazał, że klasyczne podświetlenie nie powiedziało jeszcze ostatniego słowa. Ono właśnie dostało czerwone, zielone i niebieskie światło.

OCENA

92

WERDYKT

PLUSY Rewelacyjne kolory i bardzo wysoka jasność HDR. Świetna kontrola podświetlenia jak na LCD. Znakomita powłoka antyrefleksyjna Glare Free. Mocny pakiet gamingowy. Tryb Filmmaker. Elegancki design.

MINUSY Ruch i czerń nie tak ostre jak na OLED-zie. Cena przypomina, że to technologia z górnej półki.

NASZYM ZDANIEM Samsung R95H to LCD, który najwyraźniej poszedł na terapię, odnalazł własną wartość i wrócił do salonu z obrazem tak żywym, że OLED musi przynajmniej na chwilę oderwać wzrok od lustra.

eprasa.pl 7056b98f47

TP-LINK ARCHER BE805

INTERNET Z PRZYSZŁOŚCI



Router od dawna przestał być tym pudełkiem, które dostajemy od operatora, wciskamy za szafkę i wspominamy dopiero wtedy, gdy HBO zaczyna wyglądać jak transmisja z kamery przemysłowej. W domu pełnym telefonów, konsol, laptopów, telewizorów, zegarków, głośników i sprzętów udających, że naprawdę muszą być online, router stał się czymś w rodzaju cichego administratora codzienności. Jeśli działa, nikt mu nie dziękuje. Jeśli nie działa, staje się głównym podejrzanym w rodzinnym kryzysie.

TP-Link Archer BE805 wygląda, jakby doskonale rozumiał ciężar tej funkcji. To nie jest dyskretna kostka, którą można pomylić z zasilaczem. To duży, stojący router, niemal konsolowy w gabarytach i manierze. Ma w sobie coś z PlayStation ustawionego pionowo, tylko zamiast ratować świat w kolejnej grze, próbuje ratować stabilność sieci w mieszkaniu, w którym każdy ma „tylko jedno szybkie pobranie". Obudowa jest nowoczesna, elegancka i całkiem salonowa, choć błyszczący front dość łatwo łapie ślady palców. To detal, ale przy sprzęcie, który wygląda jak technologiczny monolit z ambicjami, detal zaczyna być widoczny.

Najważniejsze dzieje się jednak w środku. Archer BE805 to tri-bandowy router Wi-Fi 7 klasy BE19000, z pasmem 2,4 GHz do 1 376 Mb/s, 5 GHz do 5 760 Mb/s i 6 GHz do 11 520 Mb/s. Na papierze brzmi to jak typowa specyfikacyjna ofensywa. W praktyce sens jest prostszy: jeśli masz nowe urządzenia z Wi-Fi 7, BE805 potrafi dać im naprawdę szeroką autostradę. Jeśli masz sprzęt starszy, nie zostajesz na poboczu, bo router zachowuje pełną kompatybilność z Wi-Fi 6, Wi-Fi 6E i starszymi standardami.

Największe wrażenie robi pasmo 6 GHz. Przy urządzeniu obsługującym Wi-Fi 7 testy pokazywały średnie prędkości pobierania na poziomie około 2 836 Mb/s z odległości mniej więcej pięciu metrów. To wynik, który przestawia w głowie kilka przełączników, bo nagle sieć bezprzewodowa przestaje być „wygodną alternatywą dla kabla", a zaczyna doganiać albo przeskakiwać konfiguracje przewodowe, z których jeszcze niedawno bylibyśmy dumni.

Oczywiście fizyka nie bierze urlopu tylko dlatego, że na pudełku napisano Wi-Fi 7. Pasmo 6 GHz jest szybkie, ale mniej lubi ściany. Po dwóch, trzech przeszkodach lepiej wrócić do 5 GHz, które w BE805 okazuje się zresztą bardzo mocne. I to jest jedna z przyjemniejszych cech tego routera: nie sprawia wrażenia sprzętu, który świetnie wypada tylko w idealnym scenariuszu laboratoryjnym, gdy telefon leży pół metra od anteny, a między nimi nie ma nawet wyrzutów sumienia. Jego 5 GHz również trzyma wysoki poziom, a zasięg i stabilność wypadają bardzo dobrze także przy starszych urządzeniach.

Sercem routera jest MediaTek Filogic 880 z czterordzeniowym procesorem 1,8 GHz, 1 GB RAM i dedykowanym układem NPU do przyspieszania zadań sieciowych. Brzmi jak opis małego komputera, bo współczesny router premium właściwie nim jest. Co ważne, BE805 nie potrzebuje wentylatora i pracuje w niższej temperaturze niż

T3 2 299 PLN | www.tp-link.com

SPECYFIKACJA

PRĘDKOŚCI SIECI WI-FI 6 GHz, 5 GHz, 2,4 GHz

PORTY ETHERNET 1x 10 Gb/s WAN, 1x 10 Gb/s LAN, 4x 1 Gb/s LAN

WYMIARY 104,3 x 297 x 264,5 mm

eprasa.pl 7056b98f47







niektóre mocniejsze konstrukcje TP-Linka. W świecie elektroniki użytkowej, w którym wszystko potrafi szumieć, piszczeć, świecić albo udawać centrum dowodzenia NASA, cisza jest nadal jedną z najbardziej niedocenianych funkcji.

Z tyłu znajdziemy jeden port WAN 10 Gb/s, jeden port LAN 10 Gb/s, cztery gigabitowe porty LAN i dwa USB 3.0. Ten zestaw dużo mówi o charakterze BE805. Z jednej strony router jest przygotowany na szybszy internet i mocniejsze domowe zaplecze sieciowe. Z drugiej, cztery porty gigabitowe mogą lekko rozczarować tych, którzy chcieliby pełniejszego przejścia na 2,5 Gb/s w całym domu. Dla większości użytkowników nie będzie to dramat. Dla osób, które już dziś budują mały, domowy ekosystem NAS, szybkie stacje robocze i przewodowe zaplecze pod montaż wideo, będzie to kompromis do odnotowania.

USB 3.0 pozwala podłączyć nośnik i zrobić z routera prosty sieciowy magazyn plików. Nie zastąpi to porządnego NAS-a, ale do domowego udostępniania danych może wystarczyć. W podobny sposób działa tu wiele funkcji BE805: nie krzyczą, że zmienią życie, tylko po prostu skracają drogę od problemu do rozwiązania.

Aplikacja *TP-Link Tether* jest jednym z powodów, dla których Archer BE805 nie zamienia konfiguracji sieci w weekendowy kurs administracji IT. Można z niej sprawdzić podłączone urządzenia, blokować niechcianych gości, ustawiać limity prędkości, zarządzać sieciami 2,4, 5 i 6 GHz oraz ogarnąć podstawowe funkcje kontroli rodzicielskiej. To ważne, bo router z taką liczbą funkcji mógłby łatwo stać się sprzętem tylko dla osób, które lubią słowa „interfejs zaawansowany" i nie czują lęku przed zakładką „routing".

HomeShield dodaje ochronę przed podejrzanymi stronami, filtrowanie treści i narzędzia kontroli rodzicielskiej. Podstawowy zakres jest użyteczny, ale część bardziej zaawansowanych funkcji wymaga subskrypcji HomeShield Pro. To dziś coraz częstszy model: kupujesz drogi sprzęt, a potem odkrywasz, że niektóre przyciski w menu prowadzą do abonamentu. Nie jest to wyłącznie problem TP-Linka, ale trudno udawać, że nie psuje to trochę nastroju.

Na plus działa obsługa EasyMesh, która pozwala rozbudować sieć o kolejne kompatybilne urządzenia. BE805 może być więc nie tylko samotnym strażnikiem Wi-Fi w mieszkaniu, ale też częścią większego systemu. Jest również Multi-Link Operation, czyli jedna z najważniejszych technologii Wi-Fi 7. W teorii urządzenie może łączyć się z kilkoma pasmami jednocześnie, co poprawia przepustowość i stabilność, a przełączanie między nimi staje się mniej odczuwalne. To jedna z tych funkcji, które dziś brzmią jeszcze trochę jak inwestycja w przyszłość, ale właśnie na tym polega sens tego routera.

Archer BE805 ma największy sens wtedy, gdy nie kupujesz routera tylko na dziś. Jeśli w domu dominują starsze telefony, internet kończy się na 300 Mb/s, a najcięższym zadaniem sieci jest wieczorny streaming, BE805 będzie sprzętem wyraźnie na wyrost. Nadal dobrym, ale trochę jak SUV z napędem na cztery koła używany wyłącznie do podjeżdżania pod piekarnię. Jeśli jednak masz szybkie łącze, nowszy sprzęt, NAS-a, konsolę, komputer do pracy z dużymi plikami albo po prostu chcesz mieć sieć, która nie zestarzeje się po najbliższej wymianie telefonu, zaczyna to mieć sens.

TP-Link Archer BE805 nie jest routerem dla każdego, ale też nie udaje taniej przepustki do świata Wi-Fi 7. To solidny, szybki i dojrzały sprzęt, który łączy bardzo wysoką wydajność z przyjaznym oprogramowaniem i rozsądną stabilnością. To taki domowy inżynier sieci, który może nie ma uroku baristy z ulubionej kawiarni, ale za to sprawia, że kawałek cyfrowego życia przestaje się zacinać.

WERDYKT

PLUSY Znakomita wydajność Wi-Fi 7. Zestaw portów. Bardzo dobra aplikacja. Stabilna praca i niska temperatura. EasyMesh i MLO.

MINUSY Cztery porty LAN są tylko gigabitowe. Część funkcji HomeShield wymaga subskrypcji.

NASZYM ZDANIEM Archer BE805 nie sprawi, że każde mieszkanie stanie się idealne dla Wi-Fi, ale tam, gdzie ściany nie prowadzą wojny z fizyką, potrafi zamienić domową sieć w autostradę bez kabla.

OCENA **88**

eprasa.pl 7056b98f47

LENOVO THINKTAB X11 GEN 1

PANCERNY TABLET, KTÓRY NIE PRÓBUJE UDAWAĆ IPADA

Lenovo ThinkTab X11 Gen 1 wygląda jak tablet, który już na etapie projektowania usłyszał, że życie bywa nie fair. Nie dostał więc kruchego, błyszczącego tyłu, który pięknie wygląda przez pierwsze siedem minut po wyjęciu z pudełka, tylko obudowę i zestaw akcesoriów sugerujące, że ktoś tu naprawdę myślał o pracy w terenie, magazynie, samochodzie serwisowym albo na hali, gdzie elektronika ma służyć, a nie domagać się emocjonalnej opieki. Konfiguracja zawiera dorzucone Rugged Case i rysik Lenovo Tab Pen XE, co od razu ustawia go w odpowiednim kontekście. To nie jest androidowa alternatywa dla iPada dla kogoś, kto chce oglądać seriale pod kocem. To bardziej cyfrowy notes dla ludzi, którzy w tym samym dniu mogą sprawdzać dokumentację, robić zdjęcia instalacji, podpisywać formularze, korzystać z map, a potem wrzucić sprzęt do torby bez modlitwy do świętego etui.

Przy grubości niecałych 10 mm i masie około 650 g ThinkTab X11 Gen 1 nie udaje smukłego gadżetu lifestyle'owego z reklamy. Jest wyraźnie solidniejszy od zwykłego tabletu, ale nie wpada jeszcze w kategorię cegły ratunkowej z postapokaliptycznego pick-upa. W dłoni czuć, że to urządzenie komercyjne, stworzone do długiej eksploatacji, a nie do krótkiego zauroczenia. Norma IP68 oznacza odporność na pył i zanurzenie w wodzie, a certyfikacja MIL-STD-810H daje mu wiarygodność tam, gdzie zwykły tablet zaczyna nerwowo zerkać w stronę serwisu. W praktyce to sprzęt, którego nie trzeba traktować jak porcelanowej filiżanki po babci. Można go zabrać na budowę, do samochodu, do magazynu, na produkcję, a nawet do chaotycznego domu z dziećmi.

Najciekawszy jest jednak nie sam pancerz, ale to, że Lenovo nie zrobiło z ThinkTaba urządzenia topornego. Ekran ma 10,95 cala, rozdzielczość 2560x1600 pikseli, odświeżanie 90 Hz i jasność dochodzącą do 800 nitów w trybie wysokiej jasności. To wciąż panel IPS, nie OLED, więc czerń nie ma tej teatralnej głębi, ale w tym segmencie ma to sens. Obraz jest ostry, czytelny i wystarczająco jasny, żeby używać tabletu na zewnątrz, a proporcje 16:10 dobrze sprawdzają się przy dokumentach, mapach, panelach aplikacji i zwykłym oglądaniu wideo. Ekran da się obsługiwać w rękawicach i mokrymi palcami. Niby detal, ale tylko do momentu, w którym próbujesz odhaczyć zadanie na tablecie w deszczu albo dłonią, która przed chwilą była przy realnej robocie.

W środku pracuje Qualcomm Snapdragon 7s Gen 3, wspierany przez 8 GB RAM i 128/256 GB pamięci UFS 3.1. To nie jest konfiguracja, która ma zawstydzać gamingowe handheldy ani udawać, że tablet nagle zastąpi workstation. Ale w swoim naturalnym środowisku wypada bardzo sensownie. Aplikacje biznesowe, przeglądarka, dokumenty, wideorozmowy, notatki, formularze, mapy, skanowa-



T3 Od 2 499 PLN | www.lenovo.pl

SPECYFIKACJA

EKRAN 10,95", IPS LCD, 90 Hz
CPU Qualcomm Snapdragon 7s Gen 3
RAM 8 GB LPDDR5
PAMIĘĆ 128 GB (lub 256 GB) UFS 3.1 + microSD
ODPORNOŚĆ IP68, MIL-STD-810H
WYMIARY 257,1 x 168,65 x 9,93 mm
WAGA 650 g

eprasa.pl 7056b98f47





> LENOVO THINKTAB X11 GEN 1 NIE JEST TABLETEM DO LENIWEGO SCROLLOWANIA NA KANAPIE

nie dokumentów, komunikatory i lekkie zadania graficzne działają płynnie. 90-hercowy ekran pomaga w poczuciu responsywności, a sam układ jest na tyle nowoczesny i energooszczędny, że tablet nie zamienia się po godzinie w kieszonkowy kaloryfer.

Lenovo mądrze pomyślało też o złączach. Dwa porty USB-C w tablecie brzmią dziś prawie ekstrawagancko, jakby ktoś w dziale projektowym przypomniał sobie, że użytkownicy naprawdę podłączają rzeczy. Można jednocześnie ładować urządzenie i korzystać z peryferiów. Jest też microSD, więc podstawowa pamięć nie musi być ostatecznym wyrokiem, oraz NFC umieszczone z przodu, co ma sens przy zastosowaniach dostępowych, identyfikacji czy logistyce.

Bateria ma 10 200 mAh i jest wymienna, co w 2026 roku brzmi prawie jak manifest. Dostęp do niej nie jest rozwiązany tak lekko, by zachęcać do częstych podmian, a wzmocniona konstrukcja z natury wymaga kompromisów. Ale sama możliwość wymiany baterii oznacza coś ważniejszego – dłuższe życie urządzenia. ThinkTab X11 Gen 1 powinien spokojnie wytrzymać pełny dzień pracy, a przy rozsądnym użytkowaniu znacznie więcej. Ładowanie 45 W nie jest rekordowe, ale przy takiej pojemności wystarczająco praktyczne, by tablet wracał do gry bez całonocnego rytuału przy gniazdku.

Rugged Case i Lenovo Tab Pen XE mocno zmieniają charakter zestawu. Rysik nie robi z ThinkTaba tabletu artystycznego dla ilustratora, który planuje następny plakat do Criterion Collection, ale w notatkach, podpisach, szkicach technicznych, adnotacjach na PDF-ach czy pracy z formularzami jest bardzo użyteczny. To kolejny element tej samej układanki – urządzenie nie próbuje być efektowne, tylko funkcjonalne. I trzeba przyznać, że w tej roli jest przekonujące. Zwłaszcza że Android 16 działa tu czysto i sprawnie, bez poczucia, że producent na siłę próbuje przepisać system pod siebie.

Największe zastrzeżenia dotyczą aparatów. Tylny moduł 13 MP z autofokusem i przednia kamera 8 MP wystarczą do dokumentacji, skanowania, wideorozmów i prostych zdjęć roboczych, ale nie należy oczekiwać cudów. Jeśli ktoś ma w kieszeni przyzwoity telefon, szybko zobaczy różnicę. W dobrym świetle da się zrobić użyteczne zdjęcie dokumentu, etykiety, uszkodzenia czy miejsca montażu, ale to tyle. Czasami do zbierania dowodów, raportowania i komunikacji może to być za mało.

Lenovo ThinkTab X11 Gen 1 nie jest sprzętem dla każdego. To tablet dla firm, techników, logistyków, ekip terenowych, magazynów, serwisów, produkcji, edukacji specjalistycznej i wszystkich miejsc, w których elektronika musi przeżyć coś więcej niż odcisk palca na błyszczącej obudowie. Jako całość jest jednym z tych urządzeń, które przypominają, że technologia nie zawsze musi być sexy. Czasem wystarczy, że jest porządna, odporna i gotowa do pracy wtedy, kiedy ładniejsze sprzęty już dawno leżą frontem do dołu na miękkiej kanapie.

ThinkTab X11 Gen 1 nie wygląda jak delikatna zabawka do salonu – i dokładnie w tym tkwi jego urok.

Rysik i wzmocnione etui zmieniają ten tablet w praktyczne narzędzie do pracy, nie kolejny ekran do ostrożnego głaskania.

WERDYKT

PLUSY Solidna, odporna konstrukcja z IP68 i MIL-STD-810H. Dobry ekran. Wymienna bateria. Dwa porty USB-C. Rugged Case i Pen XE. Sensowna wydajność.

MINUSY Aparaty są raczej użytkowe niż dobre. Nie jest to uniwersalne urządzenie do pracy w domu i rozrywki dla dzieci.

NASZYM ZDANIEM To tablet, który zamiast pachnieć luksusem, pachnie rozsądkiem – i w świecie sprzętu do prawdziwej pracy jest to komplement.

OCENA **84**

eprasa.pl 7056b98f47

GOFROWNICA GREENPAN ELITE

ALBO DOBRZE ALBO WCALE?

Gofrownica to urządzenie dziwnie bezlitosne. Niby proste, niemal dziecięce w założeniu – wlać ciasto, zamknąć pokrywę, poczekać, wyjąć coś, co pachnie jak sobotni poranek u ludzi, którzy mają życie pod kontrolą. W praktyce często kończy się to skrobaniem, nierównym wypiekiem, pierwszym gofrem składanym w ofierze bogom kuchennej kompromitacji i pytaniem, dlaczego sprzęt za kilkaset złotych nadal wymaga od nas cierpliwości cukiernika z hotelu w Brugii.

GreenPan Elite wchodzi do tej historii z miną kogoś, kto nie przyszedł robić gofrów dla dzieci po basenie, tylko uporządkować cały rytuał. To gofrownica kosztująca 1 249 PLN, a więc nie kolejny kuchenny gadżet kupowany pod wpływem chwili. Tu od razu pojawia się obietnica klasy premium: ceramiczna powłoka Thermolon Volt bez PFAS, wyjmowane płyty, osobna regulacja stopnia przyrumienienia i chrupkości, wyświetlacz LCD, dwa komplety płyt do różnych typów gofrów i moc 1 600 W. Brzmi jak sprzęt, który nie tyle robi śniadanie, ile ma własną filozofię śniadania.

Na żywo GreenPan Elite ma w sobie ten rodzaj kuchennej elegancji, który dobrze wygląda na blacie, ale jednocześnie nie udaje, że jest mały. To solidne urządzenie, ważące blisko 6 kg, więc raczej nie takie, które po każdym użyciu będzie się z gracją chować na najwyższej półce. Jeśli już kupujemy taką gofrownicę, prawdopodobnie godzimy się z tym, że będzie stała pod ręką. Trochę jak ekspres do kawy: najpierw wydaje się ekstrawagancją, potem nagle trudno zrozumieć, jak żyło się bez niego. Pod warunkiem, że faktycznie działa tak dobrze, jak wygląda.

Największą przewagą GreenPana jest ceramiczna, nieprzywierająca powłoka. To nie jest drobiazg, bo w gofrownicy powierzchnia robocza decyduje o wszystkim. Jeśli ciasto się przykleja, cała reszta przestaje mieć znaczenie. Możesz mieć najładniejszy wyświetlacz na świecie, ale jeśli wyjmujesz gofra w stanie emocjonalnym godnym ostatniego seta finału Roland Garros, czar pryska. Tutaj GreenPan wypada bardzo dobrze. Gofry odchodzą od płyt łatwo, bez teatralnego szarpania widelcem i bez smarowania wszystkiego tłuszczem tak, jakbyśmy zabezpieczali kadłub statku. W codziennym użyciu to właśnie ten element daje najwięcej poczucia luksusu: mniej nerwów, mniej brudu, mniej kuchennego poczucia klęski.

Bardzo dobrym pomysłem są też wyjmowane płyty. W tanich gofrownicach czyszczenie bywa karą za chwilową przyjemność. Tu płyty można wyjąć, wygodnie umyć, a teoretycznie nawet włożyć do zmywarki. Piszę „teoretycznie", bo przy ceramicznych powłokach zawsze miałbym w głowie mały, redakcyjny głos rozsądku, który mówi: można, ale czy naprawdę warto? Jeśli sprzęt kosztuje ponad tysiąc złotych, człowiek zaczyna traktować go z czułością zarezerwowaną zwykle dla winyli i Ray-Banów, których nie powinno się zostawiać na fotelu w samochodzie. Na szczęście ręczne mycie nie jest tu męką, bo powierzchnia faktycznie nie zachowuje się jak lep na ciasto.

GreenPan daje dwa komplety płyt, co jest jednym z mocniejszych argumentów za tą ceną. Możemy robić



T3 1 249 PLN | www.vivamix.pl

SPECYFIKACJA

MOC 1 600 W
WYMIARY
35 x 30,7 x 14,5 cm
WAGA 5,9 kg

eprasa.pl 7056b98f47



klasyczne, cieńsze gofry, grubszy wariant belgijski lub w stylu Liege. To ważne, bo „gofr" jest słowem zdradliwym. Dla jednych to chrupiąca, lekka konstrukcja pod bitą śmietanę i owoce, dla innych karmelizowany, cięższy deser z cukrem perlistym, który bardziej przypomina przyjemne wykroczenie niż śniadanie. GreenPan próbuje obsłużyć oba światy, i robi to lepiej niż proste urządzenia z jedną formą. Nie zmienia to faktu, że osoby marzące o naprawdę głębokich, hotelowych gofrach belgijskich mogą czuć pewien niedosyt. To nadal sprzęt domowy, elegancki i wygodny, ale nie teleport do śniadaniowej sali pięciogwiazdkowego hotelu.

Najciekawsza, a jednocześnie najbardziej dyskusyjna jest regulacja. GreenPan pozwala osobno ustawiać poziom przyrumienienia i chrupkości. Na papierze brzmi to świetnie, bo wreszcie można próbować wyjść poza prostą skalę od „blade jak poniedziałek" do „zapomniałem, że coś piekę". W praktyce wymaga to jednak kilku podejść. Nie każde ustawienie daje natychmiast przewidywalny efekt, a różnice między ciastami potrafią być większe niż różnice między samymi programami. Ciasto z większą ilością tłuszczu zachowa się inaczej niż lekkie ciasto śniadaniowe, a wariant Liege rządzi się swoimi prawami. To nie jest wada, raczej przypomnienie, że nawet inteligentna gofrownica nie anuluje podstawowej prawdy kuchni: przepis, temperatura składników i ilość ciasta nadal mają znaczenie.

Pierwsze partie mogą być próbą charakterów. Kiedy jednak trafimy w proporcje, urządzenie potrafi odwdzięczyć się bardzo przyjemnym efektem. Gofry są równiej wypieczone niż w większości prostych modeli, mają ładną powierzchnię, łatwo wychodzą z formy i nie zostawiają po sobie kuchennego pobojowiska. Nie da się ukryć, że testowane przeze mnie przez lata gofrownice w segmencie od 100 do 800 PLN, nie mają nawet startu do tego, co można przyrządzić z GreenPan Elite, modelu, który jest już relatywnie blisko wrażeń, które normalnie osiąga się w punktach gastronomicznych.

Cena pozostaje największym problemem. 1 249 PLN za gofrownicę to kwota, przy której trudno mówić: „weź, najwyżej będzie stała". Za takie pieniądze sprzęt musi mieć sens nie tylko w katalogu, ale też w życiu. Jeśli robisz gofry raz na pół roku, GreenPan Elite jest przesadą. Bardzo ładną, ceramiczną, dobrze wykonaną przesadą, ale nadal przesadą. Jeśli jednak gofry są u ciebie częścią weekendowego rytuału albo po prostu lubisz kuchenne urządzenia, mające zawstydzić sąsiadów, którzy kupili plastikowy kompromis z promocji, wtedy ta cena zaczyna być łatwiejsza do obrony.

W czasach, gdy każde urządzenie chce mieć aplikację, pięć funkcji pobocznych i status małego centrum dowodzenia, GreenPan mówi: będziemy robić gofry, ale takie, jakie zawsze chciałeś. A kiedy nie, będzie robić bardzo dobre wrażenie i patrzeć z blatu z lekkim wyrzutem, że znowu zjadłeś na śniadanie tosta z serem.

Ceramiczna powłoka Thermolon Volt robi tu największą różnicę: gofry odchodzą od płyt bez kuchennego dramatu, a czyszczenie nie wygląda jak kara za przyjemność.

WERDYKT

PLUSY Świetna, ceramiczna powłoka. Wyjmowane płyty i łatwe czyszczenie. Konstrukcja i wygląd. Opcje regulacji.

MINUSY Nie każdy typ gofra wychodzi równie efektownie. Rozmiary i cena sprawiają, że to urządzenie dla aktywnych użytkowników.

NASZYM ZDANIEM GreenPan Elite to gofrownica dla ludzi, którzy traktują weekendowe śniadanie jak mały rytuał – droga, trochę kapryśna, ale gdy już złapiecie wspólny język, potrafi zamienić ciasto w kratkę w całkiem elegancki argument za tym, żeby nigdzie się nie spieszyć.

OCENA **84**

eprasa.pl 7056b98f47

MALAKSER KITCHENAID 5KFP0921

MAŁY PORZĄDEK W DUŻYM KUCHENNYM CHAOSIE

Kuchnia lubi być miejscem spontanicznej radości. W reklamach wszystko kroi się samo, zioła leżą niedbale na marmurze, dzieci śmieją się nad miską sałatki, a cebula najwyraźniej nigdy nikogo nie doprowadziła do łez. W prawdziwym życiu gotowanie bardzo często zaczyna się od myśli: „czy naprawdę muszę to wszystko siekać?". I właśnie w tej chwili na scenę wchodzi malakser. Nie jako romantyczna postać, raczej jako sprawny bohater do zadań specjalnych, który nie zadaje zbędnych pytań i potrafi zrobić w trzydzieści sekund coś, co ręcznie zajęłoby irytujące dziesięć minut.

KitchenAid 5KFP0921 jest urządzeniem z tej bardziej cywilizowanej strony kuchennej mechanizacji. To 2,1-litrowy malakser, czyli sprzęt wyraźnie większy od minirozdrabniacza, ale nadal dużo bardziej kompaktowy niż pełnowymiarowe roboty kuchenne. Ma moc 250 W, dwie prędkości, tryb pulse, misę z pokrywą, szeroki podajnik 2 w 1 i zestaw akcesoriów do siekania, krojenia, tarcia, ucierania, wyrabiania prostego ciasta czy ubijania. Brzmi jak katalog funkcji, ale największą zaletą tego modelu nie jest sama liczba końcówek. Najważniejsze jest to, że KitchenAid próbuje zamknąć cały ten kuchenny bałagan w formie, której naprawdę chce się używać.

Design jest tu bardzo w stylu producenta, czyli trochę retro, trochę premium, trochę „zostawię to na blacie, bo szkoda chować" – zdecydowanie widać i czuć różnicę w jakości w stosunku do tańszych konkurentów. Obudowa jest zwarta, urządzenie nie zajmuje absurdalnie dużo miejsca, a wszystkie elementy można przechowywać wewnątrz misy.



T3 1 099 PLN | www.vivamix.pl

To brzmi jak drobiazg, dopóki nie przypomnimy sobie tej jednej szuflady w domu, w której mieszkają samotne końcówki od blendera, zagubione pokrywki, plastikowe nakrętki i rzeczy, których przeznaczenia nie zna już nawet producent.

Obsługa jest bardzo prosta. Nie ma aplikacji, ekranów, programów o nazwach wymyślonych przez dział marketingu ani poczucia, że przed zrobieniem pasty z ciecierzycy trzeba zaakceptować regulamin. Są przyciski, są dwie prędkości i jest pulse, który w malakserze bywa ważniejszy niż cała reszta, bo pozwala kontrolować strukturę.

Najlepiej wypada w codziennych zadaniach. Cebula, marchew, ser, zioła, orzechy, składniki na pesto, hummus albo pastę kanapkową – to jest jego naturalne środowisko. Nie trzeba wyciągać dużego robota, nie trzeba brudzić deski, noża, tarki i połowy blatu. Wrzucamy składniki,

SPECYFIKACJA

KOLORY kremowy, czerwony, pistacjowy, czarny, czarny mat

MOC 250 W

OBROTY NA MINUTĘ 750, 1 600, 1 780

WYSOKOŚĆ 42 cm

ŚREDNICA PODSTAWY 19 cm

WAGA 3,4 kg

eprasa.pl 7056b98f47



Dwie prędkości, tryb pulse i zestaw końcówek wystarczą, żeby cebula, marchew, ser czy składniki na hummus przestały być osobnym projektem na pół wieczoru.



> NIE JEST NAJTAŃSZĄ DROGĄ DO POSIEKANEJ CEBULI, ALE ROBI CZĘŚĆ NUDNEJ PRACY ZA CIEBIE

wybieramy końcówkę, kilka sekund pracy i mamy efekt, który w normalny wtorek wieczorem potrafi naprawdę poprawić nastrój.

Misa o pojemności 2,1 l jest rozsądnym kompromisem. Dla jednej, dwóch, trzech osób sprawdzi się bardzo dobrze, podobnie przy przygotowywaniu dodatków do większego obiadu. Można w niej zrobić hummus, poszatkować warzywa na surówkę, przygotować bazę do sosu albo rozdrobnić składniki na ciasto. Ale nie jest to urządzenie dla kogoś, kto w niedzielę gotuje jak batalionowa kuchnia polowa. KitchenAid 5KFP0921 jest kompaktowym malakserem, nie kuchennym kombajnem.

W krojeniu i tarciu radzi sobie dobrze, choć jak każdy sprzęt tego typu nie zawsze daje laboratoryjnie idealną powtarzalność. Warzywa bywają kapryśne, docisk w podajniku ma znaczenie, a ostatni fragment marchewki czy ogórka czasem zostaje potraktowany mniej elegancko niż reszta. Malaksery mają swoją mechanikę i swoje ograniczenia. Ważniejsze, że KitchenAid robi to szybko, bez nadmiernego hałasu i bez poczucia, że za chwilę coś wyskoczy z zatrzasków. Przy miękkich składnikach i bardzo małych porcjach trzeba jednak uważać, bo duża misa nie zawsze lubi minimalizm. Jeśli chcemy zmiksować trzy listki bazylii i pół ząbka czosnku, fizyki się nie oszuka. Składniki mogą bardziej krążyć po misie niż faktycznie zamieniać się w gładką masę.

Miłym zaskoczeniem jest wygoda czyszczenia. Elementy są łatwe do demontażu, nie ma przesadnie wielu miejsc, w których lubią chować się resztki, a części można myć w zmywarce.

Największy problem? Stabilność przy cięższej pracy i świadomość ceny. KitchenAid jest marką, która od lat sprzedaje nie tylko urządzenia, ale też pewną wizję kuchni – trochę bardziej uporządkowanej, trochę ładniejszej, trochę bliższej programom kulinarnym niż realnemu życiu po powrocie z pracy. Za tę wizję się płaci. 5KFP0921 nie jest najtańszą drogą do posiekanej cebuli. Można kupić prostszy sprzęt, można kupić większy robot innej marki, można uznać, że nóż nadal jest najbardziej opłacalnym narzędziem w historii cywilizacji. Tyle że KitchenAid broni się nie tylko wyglądem, ale też ergonomią.

Jeśli często siekasz, ścierasz, robisz sosy, pasty, surówki albo szybkie ciasta, KitchenAid 5KFP0921 może stać się jednym z tych sprzętów, które po cichu zmieniają kuchenną rutynę. Bez fajerwerków, bez rewolucji, bez wielkich słów. Po prostu robi część nudnej pracy za ciebie. A to, w dorosłym życiu, jest czasem luksusem większym niż marmurowy blat.

KitchenAid wygląda jak sprzęt, którego nie trzeba chować po użyciu – dzięki możliwości schowania końcówek w misie nie robi bałaganu w szufladach.

WERDYKT

PLUSY Przemyślana konstrukcja i design. Wygodne przechowywanie akcesoriów. Prosta obsługa. Jakość działania. Łatwe czyszczenie.

MINUSY Pojemność 2,1 l nie dla bardzo dużych porcji. Nierówne efekty przy małych ilościach składników.

NASZYM ZDANIEM KitchenAid 5KFP0921 to kuchenny pomocnik z dobrymi manierami – nie zrobi z nikogo szefa kuchni, ale sprawia, że domowy obiad przestaje wyglądać jak projekt logistyczny.

OCENA **85**

eprasa.pl 7056b98f47

THERMOMIX TM7

ROBOT, KTÓRY GOTUJE POPRAWNIE, ALE NIE ZAWSZE DOBRZE

Thermomix TM7 kosztuje 6 669 PLN. To kwota, przy której człowiek przestaje mówić o robocie kuchennym, a zaczyna oczekiwać małego cudu. Za takie pieniądze urządzenie nie ma już tylko siekać cebuli, gotować zupy i wyrabiać ciasta. Ono powinno wchodzić do kuchni jak ktoś, kto nie tylko umie pomóc, ale jeszcze wie, dlaczego sos jest płaski, curry potrzebuje czasu, a mięso bez porządnego kontaktu z gorącą powierzchnią pozostaje tylko ugotowanym kompromisem. TM7 bardzo chce być takim kimś. Problem w tym, że często zachowuje się raczej jak perfekcyjny asystent z korporacji: punktualny, czysty, uprzejmy i boleśnie bezpieczny.

Na pierwszy rzut oka wszystko się zgadza. TM7 wygląda lepiej niż poprzednie generacje, ma duży ekran, bardziej współczesny interfejs i mniej tej laboratoryjnej surowości, przez którą starsze Thermomiksy sprawiały wrażenie sprzętu z kuchni dietetycznego sanatorium dla bogatych ludzi. Obsługa jest przyjemna, prowadzenie po przepisach logiczne, a sama maszyna potrafi wykonać masę rzeczy, które w normalnej kuchni wymagają kilku naczyń, wagi, garnka, blendera, parowaru i resztek cierpliwości. W tym sensie trudno odmówić jej klasy.

Tyle że po kilku daniach zaczyna wychodzić coś, czego nie widać na prezentacjach. Thermomix świetnie ogarnia proces, ale nie zawsze dowozi smak. Potrafi zrobić chili, curry, sos, zupę, pastę, risotto albo danie jednogarnkowe, które formalnie spełnia warunki zadania. Jest ugotowane, zblendowane, wymieszane, podane na czas. Tylko że zbyt często zostaje po nim wrażenie szkolnej czwórki z plusem: niby wszystko jest na miejscu, ale nikt nie będzie o tym opowiadał przy winie. Smaki bywają grzeczne, zaokrąglone, bezpieczne, jakby przepisy pisano z myślą o tym, żeby nikogo nie urazić wyraźniejszym smakiem, mocniejszym przypieczeniem albo odrobiną kulinarnej bezczelności wyrastającej ponad danie podawane na trasie lotu międzykontynentalnego.

To jest największy paradoks TM7. Urządzenie ma pomagać gotować lepiej, ale często pomaga gotować również. A to nie jest to samo. W *Cookidoo* wiele przepisów prowadzi użytkownika przez kolejne etapy z precyzją nawigacji samochodowej, tylko że dobra kuchnia nie zawsze powstaje z samego skręcania zgodnie z komunikatem. Potrzebuje momentów, w których człowiek próbuje, poprawia, doprawia, zostawia cebulę minutę dłużej, bo widzi, że jeszcze nie ma koloru, albo zwiększa ogień, bo sos jest zbyt rzadki. Thermomix te mikrodecyzje wygładza. Czasem właśnie w tych mikrodecyzjach ginie cały obiad.

Najlepiej widać to przy daniach, które potrzebują głębi. Curry bez powoli budowanej bazy smakowej potrafi wyjść jak streszczenie curry. Chili może mieć fasolę, pomidory, przyprawy i paprykę, a mimo to smakować tak, jakby ktoś przeczytał o ogniu, ale nigdy nie widział płomienia. Stroganow może być kremowy, ciepły i poprawny, ale bez tej mięsnej, podsmażonej nuty, która sprawia, że sos zaczyna mówić niskim głosem. Thermomix miesza, podgrzewa i pilnuje temperatury, ale nie zastępuje cierpliwości. A cierpliwość, niestety dla marketingu, nadal jest jednym z najważniejszych składników.

Fizyki też nie da się obejść dużym ekranem. TM7 próbuje lepiej radzić sobie z gotowaniem otwartym i rumienie-



T3 6 669 PLN | www.vorwerk.com

SPECYFIKACJA

EKRAN 10” dotykowy

ZAKRES OBROTÓW 40-10 700 obr./min

POJEMNOŚĆ NACZYNIA MIKSUJĄCEGO 2,2 l

POJEMNOŚĆ VAROMY 6,8 l

WYMIARY BAZY Z NACZYNIEM 253 x 405 x 336 mm

WYMIARY PRZYSTAWKI VAROMA 383 × 275 × 131 mm

WAGA BAZY 6,5 kg

WAGA NACZYNIA MIKSUJĄCEGO 2,1 kg

WAGA PRZYSTAWKI VAROMA 840 g

eprasa.pl 7056b98f47



Duży ekran i prowadzenie krok po kroku robią świetne pierwsze wrażenie, ale prawdziwy test zaczyna się dopiero przy smaku gotowego dania.

niem, ale misa ma ograniczoną powierzchnię. To wystarcza do wielu zadań, lecz przy większych porcjach nie daje tego, co daje patelnia: szerokiego kontaktu z gorącym metalem, odparowania, karmelizacji, skórki, zapachu, lekkiego przypalenia tam, gdzie przypalenie przestaje być błędem, a zaczyna być charakterem. Thermomix może mówić językiem smażenia, ale często mówi z akcentem duszenia.

Cookidoo miało być wielką odpowiedzią na codzienny chaos, ale samo bywa częścią problemu. Baza przepisów wygląda imponująco, dopóki nie zaczniemy w niej żyć. Wtedy okazuje się, że liczba pozycji nie zawsze oznacza jakość, część przepisów się powtarza w różnych wariantach regionalnych, oceny potrafią studzić entuzjazm, a wyszukiwanie idealnego dania przypomina czasem przeglądanie platformy streamingowej w piątek wieczorem. Niby jest wszystko, a człowiek po dwudziestu minutach dalej nie wie, co właściwie chce ugotować. Porównanie do streamingu jest zresztą bardzo celne, bo za dostęp do przepisów trzeba zapłacić 259 PLN rocznie.

Do tego dochodzi kwestia doprawienia. Wiele przepisów sprawia wrażenie pisanych pod możliwie szeroki, możliwie ostrożny gust. Rozumiem logikę: lepiej, żeby użytkownik dodał sól, chili czy czosnek sam, niż żeby uznał danie za przesadzone. Tylko że wtedy cała obietnica „gotowania bez myślenia" zaczyna się chwiać. Jeśli po zakończeniu przepisu i tak trzeba poprawiać smak, wydłużać czas, redukować sos albo ratować teksturę, to TM7 przestaje być kuchennym geniuszem, a staje się bardzo drogim pomocnikiem, który zna procedury, ale niekoniecznie ma podniebienie.

Najbardziej niepokojące są momenty, w których pojawia się nie tylko rozczarowanie smakiem, ale też problem z gotowością potraw. Niedogotowane mięso, nierówno ogrzana zupa, składniki wymagające dodatkowego czasu – to nie muszą być doświadczenia każdego użytkownika i nie warto robić z nich taniej sensacji. Mogą wynikać z błędu przepisu, porcji albo oczekiwań. Ale przy sprzęcie za 6 669 PLN już samo to, że trzeba dopowiadać tyle zastrzeżeń, jest kłopotliwe. Thermomix sprzedaje poczucie kontroli. Jeśli użytkownik musi sprawdzać termometrem, czy maszyna faktycznie doprowadziła wodę tam, gdzie twierdzi, że ją doprowadziła, magia kończy się dość szybko.

Hałas również przypomina, że pod elegancką czarną obudową siedzi bezwzględna mechanika. TM7 potrafi być kulturalny przy spokojniejszych zadaniach, ale gdy dostaje coś twardszego, mrożonego albo wymagającego mocniejszej pracy, zmienia ton. To nie jest tragedia, bo najgłośniejsze momenty zwykle trwają krótko, ale trudno mówić o dyskretnej kuchennej rewolucji, gdy urządzenie przy trudniejszych operacjach brzmi, jakby próbowało wystartować z blatu.

Nie chcę jednak udawać, że TM7 jest porażką. Nie jest. Dla wybranych osób będzie dobrym wyborem. Jeśli ktoś nie gotował do tej pory i nie zamierza zacząć, Thermomix może być wybawieniem. Jeśli ktoś chce szybko zrobić jakieś danie i oczekuje czegoś w stylu gotowców z Żabki, ale przygotowanych w domu, TM7 potrafi być fantastycznie użyteczny. To maszyna do zdejmowania z kuchni tarcia. Do ogarniania dni, w których człowiek nie ma już siły na nic poza instrukcją „dodaj 200 g marchewki".

Problem polega na tym, że cena i słynne gale producenta obiecują coś więcej niż sprawność. Obiecują, że Thermomix rozwiąże kuchnię. A kuchnia nie jest problemem do rozwiązania. Jest miejscem, w którym technika spotyka się z intuicją. Najuczciwiej powiedzieć więc tak: Thermomix TM7 jest genialny dla ludzi, którzy nie chcą gotować i nie oczekują smaku i doświadczenia. To bardzo drogi sposób na dobre zorganizowanie posiłków, ale niekoniecznie na lepsze jedzenie. A jeśli po daniu za kilkanaście złotych składników i kilku tysiącach złotych sprzętu najczęściej myślimy „jest okej", to „okej" zaczyna brzmieć jak wyrok.

WERDYKT

PLUSY Świetny ekran i wygodniejsze sterowanie. Dobre prowadzenie krok po kroku. Ułatwia gotowanie osobom bez doświadczenia.

MINUSY Bardzo wysoka cena. Wiele dań wychodzi poprawnie, ale bez głębi. *Cookidoo* ma nierówną jakość i jest drogie. Słabe rumienienie większych porcji. Głośny przy cięższej pracy. Nie zastępuje intuicji.

NASZYM ZDANIEM Thermomix TM7 to imponujący system dla tych, którzy chcą mieć obiad pod kontrolą, ale zbyt często pokazuje, że kontrola nad procesem nie jest tym samym, co kontrola nad smakiem.

OCENA **60**

eprasa.pl 7056b98f47

LEICA CINE COMPACT 1

KINO, KTÓRE NIE CHCE WISIEĆ NA ŚCIANIE



Leica Cine Compact 1 wygląda jak projektor zaprojektowany przez ludzi, którzy naprawdę nie chcą, żeby w salonie stał projektor. To brzmi jak paradoks, ale w świecie nowoczesnego mieszkania ma sporo sensu. Telewizor, nawet najcieńszy i najdroższy, pozostaje wielkim prostokątem, który rządzi ścianą nawet wtedy, gdy niczego nie oglądamy. Projektor jest bardziej dyskretny. Pojawia się dopiero wtedy, kiedy go potrzebujemy, a potem znika z pola widzenia razem z napisami końcowymi. Leica bardzo dobrze rozumie ten rodzaj mieszczańsko-estetycznego niepokoju, w którym człowiek chce mieć 220 cali obrazu, ale niekoniecznie chce mieszkać w sklepie RTV.

Cine Compact 1 jest więc produktem dla tych, którzy kino domowe traktują mniej jak instalację techniczną, a bardziej jak rytuał. Wieczór, kanapa, przygaszone światło i ściana zamieniająca się w ekran. Leica dorzuca do tego swoją legendę optyczną i robi to z typową dla siebie powagą. Mamy tu obiektyw zmiennoogniskowy Leica Summicron z elementami asferycznymi, laserowe źródło światła Triple RGB, układ DMD 0,47 cala, przetwarzanie obrazu LIO i obsługę Dolby Vision. Brzmi jak lista rzeczy, które ktoś z działu technologii wypowiada bardzo spokojnym głosem, ale sens jest prosty – obraz ma być ostry, jasny, nasycony i bardziej kinowy niż to, co zwykle kojarzy się z przenośnymi projektorami.

Najważniejsza liczba to 1 700 lumenów. W kompaktowym projektorze to wartość obiecująca, ale też warto od razu zdjąć z niej marketingowy połysk. To nadal nie jest telewizor do oglądania finału Ligi Mistrzów w pełnym słońcu, z oknami otwartymi na świat i sąsiadem wiercącym nad głową. Projektor najlepiej czuje się w kontrolowanym świetle, wieczorem, w zaciemnionym salonie, sypialni albo na tarasie, kiedy dzień już odpuszcza. Wtedy rozmiar obrazu do 220 cali zaczyna działać na wyobraźnię. Nie dlatego, że każdy potrzebuje w domu ekranu większego niż niektóre kawalerki, tylko dlatego, że projektor daje wolność skali. Jednego dnia oglądamy serial na ścianie przy łóżku, innego robimy z salonu małe kino, a jeszcze innego puszczamy *Top Gun: Maverick* na tarasie i udajemy, że odrzutowce naprawdę przelatują nad grillem.

T3 6 999 PLN | www.leica-camera.com

Najbardziej praktyczna jest konstrukcja z obrotem 360 stopni. Projektor można ustawić na biurku, podłodze, opcjonalnym stojaku albo pod sufitem, a obraz skierować na ścianę lub sufit. I to jest jedna z tych funkcji, które na papierze wyglądają jak ciekawostka, a w życiu codziennym mogą decydować o tym, czy sprzęt będzie używany regularnie, czy skończy jako elegancka rzeźba za siedem tysięcy złotych. Projekcja na suficie brzmi jak fanaberia do momentu, w którym człowiek raz obejrzy film leżąc w łóżku i zrozumie, że cała historia cywilizacji mogła iść właśnie w tę stronę.

Leica wie też, że nikt normalny nie chce przed seansem odprawiać technicznej liturgii. Dlatego Cine Compact 1 ma automatyczny zoom, autofokus, korekcję trapezu i inteligentne kadrowanie. To szczególnie ważne przy urządzeniu, które z założenia ma wędrować po mieszkaniu. Projektor stacjonarny można ustawić raz i zapomnieć. Projektor mobilny musi wybaczać zmianę miejsca, krzywą ścianę, stolik o dziwnej wysokości i człowieka, który chce po prostu obejrzeć film, a nie zdać egzamin z geometrii

SPECYFIKACJA

JASNOŚĆ
1 700 lumenów
MAKSYMALNA PRZEKĄTNA EKRANU 220 cali
WYMIARY
304 x 278 x 442 mm
WAGA 4,4 kg

eprasa.pl 7056b98f47



wykreślnej. Tutaj technologia ma zejść z drogi. I bardzo dobrze, bo nic tak nie zabija magii kina jak walka z trapezem przez pierwsze dziesięć minut seansu.

Jest też pełny zestaw współczesnych wygód. System VIDAA U 9.6 daje dostęp do aplikacji streamingowych. Do tego dochodzą Wi-Fi, Bluetooth 5.4, Apple AirPlay, Apple HomeKit, HDMI i USB. W teorii można więc korzystać z projektora bez dodatkowych pudełek, dongli i kabli wijących się po podłodze jak finałowy boss z gry indie. W praktyce VIDAA bywa systemem mniej prestiżowym niż Google TV czy Apple TV, ale jeśli aplikacje działają stabilnie, a interfejs nie przeszkadza, większość użytkowników szybko przestanie się tym przejmować. Projektor ma być portalem do obrazu, nie kolejną platformą do filozoficznych rozważań o kafelkach w menu.

Dźwięk jest zintegrowany i wspierany przez Dolby Digital, Dolby Digital Plus oraz DTS Virtual:X. Producent mówi o dużej, 0,75-litrowej komorze głośników, co w takiej obudowie brzmi sensownie, choć cudów fizyki nie należy oczekiwać. Do serialu, meczu czy spokojnego filmu powinno wystarczyć. Do pełnego kinowego uderzenia, zwłaszcza przy dużym obrazie, aż prosi się o zewnętrzne głośniki albo soundbar. To zresztą nie jest zarzut, tylko realizm. Jeśli obraz ma mieć ponad 100 cali, dźwięk z małego korpusu zawsze będzie trochę jak garnitur z genialną marynarką i podejrzanie tanimi butami.

Design to osobny rozdział, choć Leica pewnie wolałaby nazwać go filozofią. Aluminiowa obudowa, szklany front, minimalistyczna forma inspirowana Bauhausem – to wszystko składa się na urządzenie, które faktycznie może stać w salonie bez przepraszania domowników za obecność. Cine Compact 1 waży 4,4 kg, więc słowo „mini" warto traktować z pewnym dystansem. To nie jest gadżet, który wrzucimy do plecaka obok bluzy i kanapki. Raczej elegancki, przenośny sprzęt domowy, który można łatwo transportować z pokoju do pokoju albo zabrać na weekend, zwłaszcza że w zestawie jest walizka z recyklingowalnego EPP.

Cena ustawia ten sprzęt w bardzo konkretnym miejscu. To nie jest projektor dla kogoś, kto po prostu chce tanio zrobić duży obraz na białej ścianie. To Leica, więc płacimy za optykę, wykonanie, design, markę i obietnicę, że urządzenie będzie częścią wnętrza, a nie technologicznym kompromisem ustawionym na taborecie. W tej cenie użytkownik ma prawo oczekiwać nie tylko świetnego obrazu, ale też bezproblemowej obsługi, cichej pracy, solidnego dźwięku i długiej żywotności. Producent dorzuca 3 lata gwarancji, co przy projektorze laserowym i sprzęcie premium jest mile widzianym gestem, choć trudno nazwać go przesadną hojnością.

Leica Cine Compact 1 najbardziej przekonuje jako projektor dla ludzi, którzy lubią kino, ale nie chcą podporządkowywać mu mieszkania. Nie zastąpi telewizora w każdym scenariuszu, bo w jasnym pomieszczeniu ekran OLED nadal będzie królem codziennej wygody. Nie jest też kieszonkowym projektorem imprezowym, mimo kompaktowej etykietki. To raczej piękny, elastyczny i bardzo przemyślany sprzęt do tworzenia seansów tam, gdzie akurat mamy na nie ochotę. Na ścianie, suficie, tarasie, w salonie, w sypialni. Gdyby telewizor był meblem, Leica Cine Compact 1 chciałaby być nastrojem. I w tym jest jej największy urok.

Leica Cine Compact 1 wygląda bardziej jak element dobrze zaprojektowanego wnętrza niż sprzęt, który trzeba chować po seansie.

Obrotowa konstrukcja 360 stopni pozwala rzucić obraz na ścianę, sufit albo tam, gdzie akurat kończy się kompromis między wygodą a fantazją.

WERDYKT

PLUSY Świetny zestaw technologii obrazu. Obrót 360 stopni. Automatyczna korekcja obrazu. Elegancka, aluminiowa obudowa. Bogata łączność.

MINUSY Wysoka cena. Waga to raczej mobilność domowa niż plecakowa. Najlepsze wrażenia nadal wymagają przygaszonego światła. VIDAA mogłaby oferować więcej.

NASZYM ZDANIEM Leica Cine Compact 1 to projektor dla tych, którzy chcą, żeby kino pojawiało się w domu jak światło z projektora w starym kinie – bez wielkiego ekranu na stałe, bez technicznego bałaganu, za to z klasą, która kosztuje.

OCENA **86**

eprasa.pl 7056b98f47

MOVA SURETRACK PRO

OBROŻA, KTÓRA ODBIERA TELEFON



MOVA SureTrack Pro należy do tej kategorii sprzętu, o której człowiek wolałby nie myśleć zbyt często. Bo jeśli myślimy o lokalizatorze dla psa albo kota, to zwykle nie dlatego, że chcemy mieć kolejną aplikację w telefonie i kolejny abonament do opłacenia. Myślimy o nim, bo gdzieś z tyłu głowy mieszka ten krótki, paskudny film: furtka niedomknięta o centymetr, smycz wypuszczona z ręki, huk petardy, kot, który uznał, że życie domowe jest miłe, ale jednak warto sprawdzić, co dzieje się trzy ulice dalej. SureTrack Pro ma być antidotum na ten rodzaj paniki. Nie zawsze pięknej, nie zawsze racjonalnej, ale bardzo prawdziwej.

Najciekawsza funkcja tego lokalizatora nie polega jednak na samym śledzeniu. Takie urządzenia znamy od lat i zwykle sprowadzają się do kropki na mapie, która w najlepszym scenariuszu mówi „spokojnie, jest przy śmietniku", a w najgorszym „powodzenia, Sherlocku". MOVA idzie krok dalej, bo SureTrack Pro pozwala zadzwonić do lokalizatora z poziomu aplikacji. Urządzenie odbiera automatycznie, a opiekun może nasłuchiwać otoczenia i mówić przez wbudowany głośnik. W praktyce oznacza to możliwość wydania psu znanej komendy, uspokojenia zwierzaka albo, w bardzo życiowym scenariuszu, odezwania się do osoby, która właśnie znalazła czworonoga i zastanawia się, czy ma do czynienia z technologią, halucynacją, czy psem z przyszłości.

Brzmi to trochę jak gadżet z rodzinnego filmu science fiction, w którym golden retriever ratuje święta, ale sens jest całkiem poważny. Głos właściciela może pomóc, zwłaszcza jeśli zwierzę zna komendy i wcześniej oswoi się z tym, że nagle przemawia do niego małe pudełko na obroży. I tu od razu warto zdjąć marketingową kokardę: to nie jest magiczny pilot do psa. Zwierzę trzeba do tej funkcji przyzwyczaić, bo część pupili może zareagować zaciekawieniem, część ignorancją godną kota w rozmowie o granicach, a część lekkim niepokojem. Dobrze wprowadzona funkcja głosowa ma jednak realny sens. Szczególnie wtedy, gdy liczą się sekundy, a mapa pokazuje, że nasz czworonożny odkrywca jest blisko, tylko skutecznie udaje element krajobrazu.

Za lokalizację odpowiada sześć technologii: GPS, AGPS, LBS, Bluetooth, Wi-Fi i aktywny radar krótkiego zasięgu. Producent deklaruje dokładność do 1 metra w optymalnych warunkach i odświeżanie pozycji co 5 sekund. To bardzo dobre wyniki, choć w prawdziwym świecie zawsze trzeba dopisać małym drukiem: zależy gdzie, zależy kiedy, zależy ile betonu, drzew, pogody i miejskiego bałaganu stoi pomiędzy nami a satelitami. W otwartej przestrzeni taki system powinien pokazać pazur. W gęstej zabudowie, lesie albo wewnątrz budynków bardziej liczy się to, że urządzenie może przełączać się między różnymi metodami lokalizacji, niż sama obietnica metrowej precyzji. Najważniejsze jest nie to, czy kropka na

T3 389 PLN | pl.mova.tech

SPECYFIKACJA

ŁĄCZNOŚĆ GPS, AGPS, LBS, Bluetooth, Wi-Fi, aktywny radar
ODPORNOŚĆ IP67
WAGA PUPILA psy i koty od 3,5 kg
WAGA 36,4 g
WYMIARY 52 x 36 x 22 mm

eprasa.pl 7056b98f47







mapie trafi idealnie w łapę, tylko czy szybko zawęzi obszar poszukiwań do miejsca, w którym można działać.

SureTrack Pro korzysta z łączności 4G/5G przez eSIM i ma działać w ponad 390 sieciach komórkowych na świecie. To dobra wiadomość dla osób podróżujących ze zwierzętami, ale też dla tych, którzy mieszkają poza centrum miasta, gdzie zasięg bywa mniej przewidywalny niż humor jamnika po deszczu. Jednocześnie to właśnie tutaj pojawia się temat, którego nie unikniemy przy urządzeniach polegających na stałej łączności ze światem: subskrypcja. Urządzenie kosztuje katalogowo 389 PLN, ale pełne działanie funkcji GPS, powiadomień, historii aktywności i połączeń wymaga płatnego planu. Jest 30-dniowy okres próbny, później trzeba liczyć się z kosztem planu rocznego, który opłacamy z góry i wynosi 96 EUR. To nie przekreśla sensu produktu, ale zmienia sposób liczenia ceny. SureTrack Pro nie jest jednorazowym zakupem, tylko małym ubezpieczeniem spokoju, pobieranym co miesiąc, któremu możemu kiedyś być bardzo wdzięczni.

Poza lokalizacją MOVA dorzuca funkcje zdrowotno-aktywnościowe. Aplikacja śledzi dystans, czas aktywności, spalone kalorie, pozwala ustawiać cele i generuje cotygodniowe raporty. Jest też 365-dniowa historia lokalizacji z mapą codziennych tras oraz możliwość udostępniania danych innym domownikom bez limitu użytkowników. Dla jednych będzie to miły dodatek, dla innych kolejny dowód na to, że nawet pies ma dziś swoje statystyki, raporty i KPI, podczas gdy człowiek ledwo ogarnia własne kroki z telefonu. W praktyce te dane mogą być przydatne, zwłaszcza przy zwierzakach z nadwagą, seniorach, psach bardzo aktywnych albo takich, których rutyna nagle się zmienia. Nie zastąpią weterynarza ani rozsądku, ale mogą pomóc zauważyć, że coś odbiega od normy.

W aplikacji można ustawić do czterech stref bezpieczeństwa. Gdy zwierzak je opuści, telefon dostaje powiadomienie. To jedna z tych funkcji, które mają sens nie tylko podczas wakacji, ale też w codziennym życiu: ogród, działka, okolice domu, znana trasa spacerowa. Do nocnych poszukiwań przydaje się wbudowane światło LED i sygnał dźwiękowy.

Sam lokalizator jest rozsądnie mały. Waży 36,4 g, ma wymiary 52 x 36 x 22 mm i jest przeznaczony dla psów oraz kotów o wadze od 3,5 kg. Pasuje do obroży o szerokości do 3 cm. To ważne, bo sprzęt dla zwierząt bardzo łatwo przekracza granicę między „bezpieczny gadżet" a „biedny kot niesie router". SureTrack Pro powinien być akceptowalny dla większości średnich i mniejszych zwierząt, ale przy drobnych kotach albo miniaturowych psach nadal trzeba spojrzeć uczciwie na proporcje. Obudowa ma certyfikat IP67, więc zniesie deszcz, błoto i zanurzenie w słodkiej wodzie, ale nie należy tego mylić z zaproszeniem do morskich kąpieli albo testów myjką ciśnieniową. Akumulator 600 mAh ma wystarczyć do 7 dni w trybie niskiego zużycia energii, a pełne ładowanie magnetycznym złączem trwa około 2 godzin. Podczas naszych testów liczby te zdawały się pokrywać z rzeczywistością (trzy spacery dziennie po około 30 minut każdy).

Największą siłą MOVA SureTrack Pro jest połączenie kilku funkcji, które osobno mogłyby wydawać się dodatkami, a razem budują dość kompletny system bezpieczeństwa.

Urządzenie to nie jest gadżetem niezbędnym każdemu psu i każdemu kotu. Zwierzę, które całe życie spędza w mieszkaniu i patrzy na świat z parapetu z miną emerytowanego monarchy, może go nigdy naprawdę nie potrzebować. Ale dla opiekunów psów biegających luzem, kotów wychodzących, zwierząt lękliwych, uciekinierów i podróżników, ma to dużo więcej sensu. Nie dlatego, że zastąpi uwagę człowieka. Dlatego, że kiedy uwaga człowieka zawiedzie na sekundę, daje mu drugą szansę.

WERDYKT

PLUSY Dwukierunkowa komunikacja głosowa. Połączenia. Odświeżanie lokalizacji. Strefy bezpieczeństwa.

MINUSY Subskrypcja. Dokładność zależy od warunków i zasięgu.

NASZYM ZDANIEM MOVA SureTrack Pro to trochę AirTag po tresurze w szkole przetrwania – nie tylko pokazuje, gdzie jest zwierzak, ale pozwala jeszcze do niego przemówić, zanim spacer zamieni się w akcję poszukiwawczą.

OCENA **85**

eprasa.pl 7056b98f47

HUAWEI WATCH FIT 5 PRO

ŁADNA OPASKA W PRZEBRANIU SMARTWATCHA

T3 949 PLN | consumer.huawei.com

Huawei Watch Fit 5 Pro jest jednym z tych urządzeń, które bardzo dobrze wyglądają w pierwszych piętnastu minutach. Jasny ekran, smukła obudowa, lekkość na nadgarstku, płynne animacje, sporo trybów sportowych i bateria, która nie prosi o ładowarkę codziennie wieczorem. Wszystko się zgadza. Przynajmniej do momentu, w którym przypomnimy sobie, że smartwatch nie jest już tylko ładnym ekranem z krokomierzem, ale małym przedłużeniem telefonu, portfela, nawigacji, muzyki i codziennych powiadomień.

I tu zaczyna się problem. Watch Fit 5 Pro bardzo chce być zegarkiem z ambicjami, ale zbyt często zachowuje się jak elegancka opaska fitness w droższym garniturze. Huawei potrafi zrobić ciekawy hardware. Ekran AMOLED o przekątnej 1,92 cala wygląda znakomicie, jasność dochodząca do 3 000 nitów robi swoje w słońcu, a lekka konstrukcja sprawia, że zegarek łatwo zapomnieć na ręce. Pomiary sportowe trochę odstają od poprawnych, ale czas pracy w okolicach sześciu dni przy lekkim używaniu, to wynik godny odnotowania.

Gdybyśmy oceniali Watch Fit 5 Pro jako zaawansowaną opaskę fitness, byłoby miło. Zegarek mierzy aktywność, monitoruje sen, pilnuje tętna, oferuje ponad sto trybów treningowych i robi to wszystko w formie, która nie wygląda jak gadżet wyjęty z kosza z elektroniką na lotnisku. Tyle że Huawei nie sprzedaje go w próżni. Sprzedaje go w świecie, w którym Apple i cała konkurencja z Wear OS coraz mocniej przyzwyczaiły nas do tego, że zegarek ma nie tylko pokazywać, ale też współpracować.

A Watch Fit 5 Pro współpracuje po swojemu. Na Androidzie aplikację *Huawei Zdrowie* nadal trzeba instalować spoza Google Play, czyli w sposób, który dla wielu zwykłych użytkowników brzmi jak początek instrukcji „kliknij, ale na własną odpowiedzialność". AppGallery na zegarku nie jest sklepem, po którym chodzi się z ciekawością, tylko raczej małym kioskiem z ograniczonym wyborem. Popularne aplikacje firm trzecich są problemem, a brak głębokiej integracji z usługami Google lub Apple sprawia, że ten sprzęt zaczyna żyć obok telefonu, zamiast naturalnie się z nim splatać. Bany nałożone na Huaweia oznaczają ograniczone wsparcie aplikacji firm trzecich, co utrudnia dostęp do usług pokroju Google Mapy czy Spotify, nie wspominając o ograniczeniach na iOS oraz budzących wątpliwości płatnościach przez Curve zamiast Apple Pay lub Google Pay.



Najbardziej boli właśnie codzienność. Brak LTE oznacza, że zegarek nie potrafi naprawdę odłączyć się od telefonu. Płatności NFC są zależne od regionu i rozwiązane mniej elegancko niż u konkurencji. Huawei próbuje łatać ten świat własnymi usługami, ale efekt przypomina mieszkanie po remoncie, w którym wszystko niby jest nowe, tylko włącznik światła znajduje się za szafą. Da się żyć, ale trudno udawać, że to wygodne.

Huawei Watch Fit 5 Pro nie jest złym urządzeniem w sensie technicznym. Jest za dobrze wykonany, za ładny i zbyt sprawny w podstawowych zadaniach, by tak łatwo go skreślić. Ale jest też sprzętem, który pokazuje granice pięknego hardware'u zamkniętego w ograniczonym ekosystemie. Na zdjęciach wygląda jak okazja. Na nadgarstku przez pierwsze dni może wydawać się świetnym zakupem. Dopiero później przychodzi ten mniej efektowny moment, w którym próbujemy zapłacić, uruchomić ulubioną aplikację, skorzystać z map albo potraktować go jak normalny smartwatch. I wtedy czar rozsypuje się jak domek kart.

WERDYKT

PLUSY Bardzo dobry ekran AMOLED. Lekka konstrukcja. Czas pracy na baterii. Niezły zestaw funkcji fitness. Płynność obsługi.

MINUSY Brak LTE. Ubogi wybór aplikacji. Płatności przez Curve Pay. Ograniczenia ekosystemu i konieczność korzystania z obejść do wielu funkcji. Cena przestaje być atrakcyjna, gdy zacznie się liczyć kompromisy.

NASZYM ZDANIEM Huawei Watch Fit 5 Pro ma ekran, baterię i formę, które łatwo sprzedać w recenzji, ale jako smartwatch zbyt często przegrywa tam, gdzie zaczyna się codzienne używanie.

OCENA **64**

eprasa.pl 7056b98f47



MOVA N1

MYCIE OKIEN Z PRZYJEMNOŚCIĄ

T3 999 PLN | pl.mova.tech

Dla większości z nas mycie okien należy do tych domowych obowiązków, które trudno romantyzować. Po piętnastu minutach człowiek stoi z mokrym rękawem, patrzy pod światło na smugi i zaczyna rozumieć, dlaczego ludzkość wymyśliła roboty.

MOVA N1 to kompaktowy robot do mycia okien, który przysysa się do szyby, sam planuje trasę i rozpyla delikatną mgiełkę płynu. Ma 215 x 215 mm, 59 mm grubości i waży około 1,3 kg, więc nie sprawia wrażenia sprzętu, który przed użyciem wymaga rozgrzewki jak przed martwym ciągiem. Bierze się go za uchwyt, przykłada do szyby, uruchamia i pozwala mu robić swoje.

Zasada działania jest prosta. Silnik utrzymuje robota na szybie za pomocą podciśnienia, mikrofasowa nakładka zbiera brud, a system podwójnego rozpylania aplikuje płyn w trakcie jazdy. Do wyboru są różne tryby, między innymi szybki, dokładny, głęboki, krawędziowy i punktowy. W praktyce sprowadza się do wyboru, czy szyba wymaga tylko odświeżenia, czy ma za sobą sezon deszczu i pyłu.

N1 najlepiej wypada jako urządzenie do regularnego utrzymania czystości. Kurz, odciski palców, ślady po nosie psa, lekki osad po deszczu – to jego naturalne środowisko. Po jednym cyklu szyba wygląda wyraźnie lepiej, a przy mniej zapuszczonych powierzchniach efekt potrafi być naprawdę satysfakcjonujący. Na mocno zabrudzonych zewnętrznych oknach robot też daje radę, ale nie należy oczekiwać cudów. Ptasie niespodzianki albo zaschnięta żywica nadal mogą wymagać ręcznej interwencji. To nie jest cyfrowy egzorcyzm na szyby, tylko sprytna automatyzacja nudnej pracy.

Robot porusza się w uporządkowany sposób, wykrywa krawędzie i wraca na miejsce startu. Tutaj pojawia się jednak jeden z bardziej ludzkich problemów tego małego pomocnika: na końcu pracy potrafi zostawić ślad w miejscu, w którym się zatrzymał. Wilgotna mikrofibra, kurz i dłuższy kontakt z szybą robią swoje. Zwykle wystarczy szybki ruch ściereczką, ale trudno nie uśmiechnąć się pod nosem. Robot wykonał za nas większość pracy, a potem zostawił podpis, jak artysta, który nie umiał zejść ze sceny bez ukłonu.

Drugim kompromisem są narożniki. Kwadratowy kształt pomaga, ale czujniki i rolki sprawiają, że robot nie dociera idealnie do samych rogów. Jeśli ktoś marzy o perfekcji pod lupą, będzie musiał poprawić ręcznie. Jeśli chodzi o normalne domowe okna, efekt jest wystarczająco dobry, by przestać dramatyzować nad każdym milimetrem. Okna na skosach należy ustawić jak najbardziej pionowo, gdyż wisząc w dół na poziomym oknie, robot nie ma wystarczającej mocy do utrzymania się.

Obsługa jest prosta. Można używać aplikacji *MOVAhome*, która pozwala zmieniać tryby, sterować ręcznie i aktualizować oprogramowanie, ale jej rola nie jest kluczowa. Pilot bywa nawet wygodniejszy, bo przy myciu okien człowiek nie zawsze ma ochotę sięgać po smartfona.



SPECYFIKACJA

POZIOM HAŁASU
72 dB

WYMIARY
215 x 215 x 59 mm

Ograniczeniem dla niektórych pozostanie kabel. Z przedłużaczem daje on około sześciu metrów zasięgu, ale przy dużych przeszkleniach albo dziwnie rozmieszczonych kontaktach może pojawić się klasyczny domowy spektakl pod tytułem „kto zaprojektował to mieszkanie?". Jest też linka zabezpieczająca i awaryjny akumulator 600 mAh, który w razie braku prądu utrzyma robota na szybie przez około 30 minut. To ważne, bo zaufanie do maszyny przyklejonej do pionowej tafli szkła buduje się powoli.

MOVA N1 nie jest luksusowym systemem z wielką stacją, automatycznym czyszczeniem i choreografią wokół pracy. Jest mały, względnie niedrogi i nie wymaga reorganizacji domu. Nie zastępuje perfekcyjnego mycia ręcznego, ale dla większości ludzi będzie wystarczająco dobry, by zrezygnować z niego na dobre.

WERDYKT

PLUSY Prosta konstrukcja. Dobra skuteczność. Automatyczne rozpylanie płynu. Łatwa obsługa. Rozsądna cena.

MINUSY Kabel może ograniczać swobodę pracy. Przy mocnych zabrudzeniach nie zastąpi klasycznego szorowania. Nie dla perfekcjonistów.

NASZYM ZDANIEM MOVA N1 nie odbiera człowiekowi całej roboty, ale zabiera z mycia okien wystarczająco dużo irytacji, by jego małe niedoskonałości dało się potraktować z wyrozumiałością.

OCENA **84**

epasa.pl 7056b98f47

SWITCHBOT STANDING CIRCULATOR FAN

„DMUCHNĘ, CHUCHNĘ I CAŁY TWÓJ DOM ZDMUCHNĘ!”

T3 100 EUR | eu.switch-bot.com

Na rynku nie brakuje wentylatorów obiecujących skuteczne chłodzenie i cichą pracę, jednak SwitchBot Standing Circulator Fan wyróżnia się na tle konkurencji czymś więcej niż tylko mocnym nawiewem. Może działać bezprzewodowo, ma modułową konstrukcję, lampkę nocną i możliwość włączenia do ekosystemu smart home z pomocą protokołu Matter. Jak radzi sobie w praktyce? Spoiler: to jeden z najlepszych gadżetów na gorące dni.

Wizualnie urządzenie odcina się od klasycznych konstrukcji. Biała obudowa została uzupełniona frontem o strukturze imitującej drewno i osadzona na dwuosiowym mechanizmie oferującym oscylację zarówno w poziomie, jak i w pionie. Sam wirnik, pomimo stosunkowo małego rozmiaru, oferuje wysoką wydajność, a solidna i elegancka podstawa świetnie wpisuje się w nowoczesne wnętrze.

Jedną z największych zalet konstrukcji wentylatora jest jednak jego modularność. Dzięki trzem poziomom wysokości (od 47,3 do 100 cm) w kilka chwil zmienimy go z wysokiego wentylatora stojącego w kompaktowy wiatrak biurkowy.

Największa wolność tkwi jednak w zasilaniu. Urządzenie wyposażono w akumulator o pojemności 2 400 mAh, który w trybie Baby Mode będzie w stanie pracować nieprzerwanie przez 28 godzin. W standardowym cyklu wytrzyma około 12 godzin. Rozwiązanie to pozwala nam uwolnić się od gniazdek i przedłużaczy – wiatrak po prostu łapiemy w dłoń i stawiamy tam, gdzie akurat przebywamy. Standing Circulator Fan wykorzystuje do ładowania port USB-C, a to oznacza, że nawet kiedy zabraknie mu mocy, wystarczy podłączyć zwykły powerbank i kontynuować chłodzenie niezależnie od lokalizacji.

Sercem urządzenia jest bezszczotkowy silnik z technologią SilenTech. Na najniższych obrotach (Baby Mode) wiatrak generuje zaledwie 22 dB hałasu, czyli w praktyce jest niemal bezgłośny. Rozpędzony do maksimum osiągnie jedynie 44 dB. Na najwyższych biegach potrafi generować strumień powietrza na odległość kilkunastu metrów, błyskawicznie mieszając powietrze w całym pomieszczeniu.

Do dyspozycji mamy automatyczną oscylację w pionie i poziomie (w zakresach 30, 60 lub 90 stopni) oraz możliwość płynnego regulowania natężenia nawiewu w zakresie od 1 do 100%. Genialnym rozwiązaniem jest również funkcja Auto-Align Front, której zadaniem jest prostowanie głowicy wentylatora do pozycji wyjściowej po jego wyłączeniu. To detal, ale należy docenić producenta za dbałość o estetykę wnętrza. Z tyłu obudowy znajdziemy też subtelne, nocne oświetlenie o dwóch poziomach jasności, które daje przyjemne, rozproszone światło.

Jak przystało na produkt SwitchBot, nie zabrakło również inteligentnych funkcji. Wentylatorem można sterować przy pomocy panelu w jego podstawie, dołączonego pilota, aplikacji mobilnej w środowisku SwitchBot lub dowolnego ekosystemu smart home obsługującego protokół Matter, ale dopiero po dokupieniu odpowiedniego huba SwitchBot. Trochę szkoda, że producent wymaga od nas tej dodatkowej daniny dla pełnej funkcjonalności. Można było dodać możliwość korzystania z tego standardu natywnie jak w przypadku chociażby oczyszczacza powietrza Air Purifier, ale ostatecznie jest to małe uchybienie, które mogę wybaczyć.

SwitchBot Standing Circulator Fan to sprzęt przemyślany, który otrzymał wiele rozwiązań poprawiających jakość życia. Jest wydajny, energooszczędny (pobiera maksymalnie 24 W), cichy i mobilny, co czyni z niego idealnego kompana w czasie upałów.



SPECYFIKACJA

ZASILANIE sieciowe i bateryjne (2 400 mAh)

OSCYLACJA tak (w pionie i poziomie)

ŁĄCZNOŚĆ Bluetooth Low Energy

WERDYKT

PLUSY Regulowana wysokość. Wydajny silnik. Opcjonalne zasilanie z wbudowanego akumulatora. Nowoczesny design.

MINUSY Do pełnej integracji Matter wymagany jest dedykowany hub SwitchBot.

NASZYM ZDANIEM Standing Circulator Fan to jeden z ciekawszych wentylatorów dostępnych obecnie na rynku. Jeśli szukasz nowoczesnego, cichego i wszechstronnego urządzenia, które pomoże przetrwać upalne dni, to ten model zdecydowanie zasługuje na uwagę.

OCENA **86**

eprasa.pl 7056b98f47

MOVA LIDAX ULTRA 800

KOSIARKA, KTÓRA CHCE CI ODDAĆ TWÓJ CZAS

T3 3 649 PLN | pl.mova.tech

Koszenie trawnika ma w sobie coś z domowej wersji mitu Syzyfa. Człowiek wyprowadza kosiarkę, przez chwilę czuje się jak pan własnej działki, a po trzech dniach deszczu i słońca zielony dywan znów zaczyna udawać sawannę. Roboty koszące miały zakończyć ten rytuał, a my sprawdzamy jak w gąszczu rynkowych propozycji radzi sobie MOVA LiDAX Ultra 800.

Ten robot wchodzi w nasz świat z obietnicą mniej technicznego bólu. Nie potrzebuje przewodu zasilającego ani stacji RTK, czyli ogrodowej anteny wyglądającej tak, jakby NASA otworzyła punkt konsultacyjny przy rabacie z lawendą. Zamiast tego korzysta z 360-stopniowego 3D LiDAR-u i systemu AI Vision. Najpierw mapuje przestrzeń (automatycznie lub manulanie) tworząca mapę terenu, a potem dopiero zaczyna kosić. Technologia jest tu ważna nie dlatego, że ładnie wygląda w specyfikacji, tylko dlatego, że skraca najbardziej irytującą część zadania i robi to bardzo dokładnie.

Model 800 zaprojektowano dla trawników do 800 m², czyli dla sensownie dużego ogrodu, a nie posiadłości, po której dzieci jeżdżą meleksem. Robot waży 13,7 kg, ma 20 cm szerokości cięcia i pozwala ustawić wysokość koszenia od 3 do 10 cm. Na jednym ładowaniu skosi około 160-180 m², pracując przez 60-80 minut. Nie jest sprinterem, ale raczej cichym pracownikiem, który wraca do bazy i metodycznie kontynuuje zadanie.

Najwięcej sensu MOVA ma tam, gdzie mamy relatywnie zadbany trawnik/ogród, bez leżących wszędzie gałezi, kamieni czy szyszek. Podobnie jak roboty odkurzające w naszych domach, ich koszący kuzyni są raczej dozorcami porządku, a nie ekipą do zadań specjalnych – nie sparawdzą się w roli leśnego mulczera.

LiDAX Ultra 800 obsługuje dwie mapy, wiele stref, różne tryby koszenia, przejazdy przez korytarze od 60 cm i nachylenia do 45%. Potrafi też pokonywać przeszkody do 4 cm. Przy nierównym terenie, skarpach i przejściach między nawierzchniami daje to realny zapas. System omijania przeszkód rozpoznaje ludzi, zwierzęta i drobne obiekty, więc robot nie powinien traktować zabawki psa jak wyzwania egzystencjalnego.

W codziennym użytkowaniu ważne jest koszenie krawędzi. UltraTrim 1.0, czyli ruchoma tarcza tnąca, pozwala zbliżyć się do obrzeży na mniej niż 5 cm, co jest świetnym wynikiem. To nadal jednak nie magia absolutna – przy murkach, donicach i wymyślnych rabatach podkaszarka może jeszcze przypomnieć o swoim istnieniu – ale różnica wobec robotów zostawiających zielony pasek wstydu jest tu i tak znacząca. Do tego dochodzi IPX6, więc obudowę i spód można spokojnie spłukać wodą.

Nie wszystko jest jednak tak gładkie jak trawnik z reklamy nawozu. Bezprzewodowe mapowanie jest ogromną zaletą, ale w bardziej skomplikowanych ogrodach użytkownik może potrzebować kilku prób, korekt stref i ustawień robota. Musimy ponadto być gotowi śledzić jego pracę podczas kilku pierwszych przejazdów, aby potem z poziomu aplikacji *MOVAhome* wyeliminować potencjalnie błędy powstałe przy mapowaniu.

MOVA LiDAX Ultra 800 pasuje do kogoś, kto chce cieszyć oczy zawsze zadbanym trawnikiem bez cotygodniowej celebracji koszenia, ale nie boi się na początku poświęcić mu trochę uwagi. Nie jest to robot, który po wyjęciu z pudełka sam zrozumie każdą rabatę, cień i psią zabawkę. Jest za to dowodem, że ogród smart home dorasta i poczynił ogromne postępy w bardzo krótkim czasie – mniej kabli, mniej obowiązków instalacyjnych, więcej autonomii i mniej sobót za kosiarką.



SPECYFIKACJA

SZEROKOŚĆ KOSZENIA 20 cm

WYSOKOŚĆ KOSZENIA 3-10 cm

MAKSYMALNY CZAS PRACY
do 80 minut (180 m²)

POZIOM HAŁASU
57 dB

WYMIARY
66,6 x 44,4 x 27,3 cm

WAGA 13,7 kg

WERDYKT

PLUSY Bez przewodu i bez RTK. LiDAR 3D + AI Vision. Dobra obsługa stref. Cicha praca i IPX6. Skuteczniejsze koszenie przy krawędziach.

MINUSY Konfiguracja wymaga chwili cierpliwości. Moduł Link jako opcja. Podkaszarka nadal będzie potrzebna jeśli wymagamy doskonałości.

NASZYM ZDANIEM MOVA LiDAX Ultra 800 to ogrodowy autopilot dla tych, którzy wolą mieć wolny weekend niż perfekcyjnie opanowaną technikę zakopywania przewodów.

OCENA **82**

BMW iX3 50 xDrive

RADOŚĆ Z PRĄDU

Zacznijmy od nazwy. BMW iX3 50 xDrive jest jednym z tych samochodów, przy których nazwa modelu mówi mniej niż powinna. Teoretycznie to elektryczny SUV klasy średniej, czyli gatunek tak liczny, że gdyby postawić wszystkie jego odmiany na parkingu pod centrum handlowym, człowiek mógłby odnieść wrażenie, że motoryzacja zamieniła się w sklep z identycznymi walizkami kabinowymi. W praktyce to pierwszy seryjny samochód BMW zbudowany według zasad Neue Klasse, a więc nie kolejna wersja znanej piosenki, tylko nowe otwarcie.

I to jakie.

Pierwsze iX3 było samochodem z czasów przejściowych. Elektryczny napęd włożony w ciało spalinowego X3 działał przyzwoicie, ale miał w sobie coś z mieszkania po remoncie robionym etapami: niby nowe płytki, niby świeże światło, ale instalacja pamięta jeszcze poprzednich właścicieli. Nowy iX3 50 xDrive już nie udaje, że jest X3 z baterią zamiast baku. Ma własną platformę, własne proporcje, własny język stylistyczny i własną kabinę, która początkowo wygląda jak kokpit z przyszłości wymyślonej przez kogoś, kto lubi ekrany, ale na szczęście nie nienawidzi kierowców.

Z zewnątrz BMW zrobiło coś, czego od dawna brakowało mu w niektórych modelach: przestało krzyczeć. Nerki nie wyglądają jak brama do parkingu podziemnego, linie są czystsze, a cały samochód ma w sobie więcej nowoczesnej pewności niż instagramowego dopingu. Przód z pionowym motywem świateł i wąskimi „nerkami" odwołuje się do dawnych modeli Neue Klasse, ale nie wpada w retro-przebierankę. To nie jest MINI w bawarskim płaszczu ani designerska lodówka z logotypem premium. iX3 wygląda jak BMW, tylko popchnięte o kilka lat do przodu. W testowanym lakierze Szary Polarised ma w sobie może nawet zbyt dyskretną, techniczną elegancję, choć podoba mi się, że nie jest demonstracyjnie luksusowa. To przecież również kolor, który pasuje do auta próbującego pogodzić dwie rzeczy zwykle trudne do pogodzenia: zmianę epoki i spokój formy.

Najważniejsze dzieje się jednak pod spodem. iX3 50 xDrive ma akumulator o pojemności 108,7 kWh netto, dwa silniki elektryczne, napęd na cztery koła, 469 KM i 645 Nm. Do 100 km/h przyspiesza w 4,9 sekundy, a prędkość maksymalna wynosi 210 km/h. Kiedyś takie liczby byłyby wstępem do opowieści o sportowym sedanie, dziś opisują rodzinnego SUV-a, którym można zawieźć dziecko do szkoły, zakupy do domu i ego sąsiada na krótką wycieczkę w okolice milczenia. Najbardziej imponujące nie jest jednak to, że iX3 jest szybki. Szybkich elektryków



T3 Cena modelu testowego | 384 200 PLN

eprasa.pl 7056b98f47

> BMW WRESZCIE ZROBIŁO ELEKTRYKA, KTÓRY NIE WYGLĄDA JAK TECHNOLOGICZNY ANEKS DO SPALINOWEGO ŚWIATA







mamy już tyle, że samo przyspieszenie przestało robić z człowieka Keanu Reevesa w *Matrixie*. Ważniejsze jest to, jak BMW tę szybkość podaje.

Tu pojawia się Heart of Joy, nazwa tak słodka, że brzmi jak zapomniany singiel z Eurowizji, ale za marketingową watą kryje się rzecz poważna. To centralny sterownik odpowiadający za przyspieszanie, hamowanie, stabilizację i rozdział momentu. W praktyce iX3 nie robi wrażenia auta, które osobno myśli o każdym swoim ruchu. Nie ma pauzy między pedałem gazu a reakcją. Nie ma sztucznego zerwania, nerwowości ani tego charakterystycznego elektrycznego „patrzcie, mam moment obrotowy", które w wielu SUV-ach pojawia się szybciej niż refleksja. BMW startuje mocno, ale nie teatralnie. Przyspiesza płynnie, przewidywalnie, dojrzale. Jakby zamiast popisywać się siłą, miało świadomość, że naprawdę mocni ludzie nie muszą rzucać hantlami na siłowni. Jeżdżąc około 60 nowymi samochodami rocznie, moja zmanierowana dusza uśmiechała się podczas pierwszej jazdy nadzwyczaj często.

Największe wrażenie robi hamowanie. To brzmi mało efektownie, bo hamulce są w recenzjach zwykle jak montaż w dobrym filmie – doceniasz go dopiero, kiedy coś pójdzie źle. W iX3 niemal nic nie idzie źle. Przejście między rekuperacją a hamulcami ciernymi jest praktycznie niewyczuwalne, pedał działa naturalnie, a tryb one-pedal w ustawieniu B potrafi zatrzymać samochód z elegancją kierowcy limuzyny, który wie, że pasażer z tyłu trzyma espresso bez przykrywki. Funkcja Soft Stop wygładza ostatni moment zatrzymania, czyli ten mały, codzienny ruch głową, którego zwykle nikt nie opisuje, bo wszyscy są zajęci wykresami mocy. A przecież to właśnie takie detale sprawiają, że samochód po kilku dniach wydaje się dopracowany, a nie tylko szybki.

SPECYFIKACJA

SILNIK elektryczny

MOC 469 KM

PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA
210 km/h

0-100 KM/H
4,9 sekundy

ZASIĘG W CYKLU MIESZANYM (WLTP)
743 km

eprasa.pl 7056b98f47



Prowadzenie jest w tym aucie największą ulgą. BMW mogło zrobić kolejnego ciężkiego, elektrycznego SUV-a, który świetnie wygląda w tabelce, ale na zakręcie przypomina inteligentną sofę. Zamiast tego iX3 jest zaskakująco chętny do jazdy. Nie oszukujmy się: masa własna z kierowcą wynosi 2 360 kg, więc fizyka nadal siedzi przy stole i domaga się swojego kawałka tortu. Ale BMW bardzo dobrze ją przykrywa. Układ kierowniczy nie jest przesadnie rozmowny, ale jest precyzyjny, czysty i dobrze ważony. Auto skręca z energią, jakiej nie oczekuje się po dużym, elektrycznym SUV-ie, a tył potrafi subtelnie zaznaczyć, że to nadal marka, która pamięta, po co kiedyś ludzie kupowali jej samochody. Nie jest to Porsche Macan Electric w trybie „zobacz, co potrafię", raczej bardziej chirurgiczne, mniej popisowe podejście. I dobrze, bo rodzinny SUV, który za wszelką cenę próbuje być hot hatchem, bywa równie męczący jak ojciec tańczący do techno na osiemnastce córki.

Komfort jazdy wymaga dopisku małym drukiem. iX3 korzysta ze stalowych sprężyn i pasywnych amortyzatorów, bez adaptacyjnego zawieszenia na starcie. To odważne, bo konkurencja w tej cenie lubi komplikować temat powietrzem, elektroniką i trybami, których nazwy brzmią jak pakiety spa. Testowany egzemplarz stał na 21-calowych obręczach M Star-spoke 1050 Bicolor i to jest dobra wiadomość dla kręgosłupa. iX3 nadal nie udaje kanapy, bo jego zawieszenie jest zwarte i bardzo „BMW", ale nie wpada w przesadną sztywność. Na polskich drogach to ważny kompromis. Większe koło może wyglądać, ale 21 cali w takim aucie brzmi jak rozsądna granica między stylem a codziennym życiem.

Wnętrze jest osobnym rozdziałem w historii BMW, choć w tej recenzji nie robimy śródtytułów, więc musi wejść przez boczne drzwi. Panoramic Vision to jeden z tych pomysłów, które na zdjęciach mogą wyglądać jak designerska demonstracja siły, a w praktyce okazują się rewelacyjnie sensowne. Zamiast klasycznych zegarów mamy szeroki, 43,3-calowy pas informacji u podstawy szyby. Nie jest to ekran wklejony dla efektu, tylko czytelny, logicznie położony panel, który pozwala widzieć prędkość, wskazania nawigacji i najważniejsze dane bez ciągłego przenoszenia wzroku. Centralny, 17,9-calowy ekran ma nietypowy kształt i świetną jakość obrazu, a system OS X działa szybciej i bardziej przejrzyście niż wcześniejsze wcielenia cyfrowego BMW.

Nie znaczy to jednak, że wszystko jest wybaczone. Brak klasycznego kontrolera iDrive boli, bo był jedną z tych rzeczy, które BMW miało naprawdę dobrze opanowane. Klimatyzacja obsługiwana głównie z ekranu to z kolei ta część nowoczesności, w której producenci samochodów uparcie udają, że kierowcy marzą o życiu w aplikacji. Tak, stały pasek temperatury pomaga. Tak, system jest szybki. Ale zmiana siły nawiewu przez dotykowy ekran podmenu podczas jazdy nadal jest słabym pomysłem. Podobnie szkoda łopatek do regulacji rekuperacji. Dla mnie adaptacyjny tryb odzyskiwania energii działa bardzo dobrze, ale kierowca, który lubi mieć kontrolę, zostaje odesłany do menu.

Materiały i przestrzeń wypadają doskonale. Neue Klasse pozwoliło lepiej wykorzystać wnętrze niż w spalinowym X3. Z tyłu jest płaska podłoga i dużo miejsca, bagażnik ma 520 litrów, a z przodu znalazł się dodatkowy schowek pod maską. To niby oczywistość w elektryku z dedykowanej platformy, ale BMW dopiero teraz naprawdę korzysta z tej logiki. Kabina jest jasna, przestronna i nowoczesna, a w testowanym egzemplarzu wystrój Contemporary Digital White dodawał jej lekkości, której nie zawsze oczekujemy po SUV-ie z napędem na cztery koła i masą przekraczającą 2,3 tony. Wielofunkcyjne fotele przednie są wygodne, szeroko regulowane i dobrze trzymają ciało, nie zamieniając codziennej jazdy w rekonstrukcję odcinka specjalnego. System Harman Kardon i aktywna redukcja hałasu robią swoje, choć przy niskim poziomie szumu silników bardziej słychać opony, zawieszenie i czasem wentylację. Cisza w elektryku ma tę przewrotną cechę, że gdy usunie się jeden hałas, nagle zaczyna się słyszeć wszystkie pozostałe.

Zasięg i ładowanie są tym miejscem, w którym iX3 przestaje być tylko „bardzo dobrym BMW" i zaczyna być topowym samochodem elektrycznym. Architektura 800 V pozwala ładować auto z mocą do 400 kW, a przejście od 10 do 80 procent ma zajmować około 21 minut. W optymalnych warunkach 10-minutowy postój może dodać kilkaset kilometrów zasięgu. Oczywiście „opty-

eprasa.pl 7056b98f47

malne warunki" w świecie ładowarek publicznych są trochę jak „krótka kolejka" w urzędzie – zdarzają się, ale lepiej nie budować na tym całego życia. Mimo to kierunek jest jasny. BMW nie tylko nadrobiło zaległości, ale w kilku miejscach przeskoczyło do czołówki.

W tej konkretnej konfiguracji BMW deklaruje 743 km zasięgu WLTP w cyklu mieszanym i aż 947 km w cyklu miejskim, czyli wartości, które jeszcze kilka lat temu w elektrycznym SUV-ie brzmiałyby jak fantazja z broszury. Oficjalne zużycie energii wynosi 16,5 kWh/100 km, ale realne testy pokazują ciekawszy obraz. Przy spokojniejszej jeździe miejskiej i podmiejskiej iX3 potrafi zejść w okolice 15–17 kWh/100 km, a w sprzyjających warunkach nawet niżej. Normalny miks częściej oznacza okolice 18–20 kWh/100 km, natomiast szybsza jazda autostradowa przesuwa wynik w stronę 21 kWh/100 km lub trochę powyżej. Z mojej perspektywy 500 –600 km przejeżdżane między ładowaniami jest tu jak najbardziej w zasięgu. A to już nie jest elektryczna obietnica składana drobnym drukiem, tylko dystans, z którym można normalnie żyć.

Realne wyniki, jak zawsze, zależą od temperatury, prędkości i tego, czy kierowca traktuje prawy pedał jak instrument, czy jak przycisk do teleportacji. Ważniejsze jest jednak poczucie, że można przestać układać życie wokół ładowania. Standardowe ładowanie AC ma 11 kW, a 22 kW wymaga dopłaty, co w tej klasie i cenie można uznać za drobny przejaw bawarskiego poczucia humoru. Niby premium, ale Wallbox Professional zaprasza do kasy.

A skoro o kasie mowa – BMW iX3 50 xDrive startuje w Polsce od 310 000 PLN. Testowany egzemplarz kosztował 384 200 PLN, czyli nadal sporo, ale bez przekraczania psychologicznej granicy 400 tysięcy, którą bardzo łatwo przebić w niemieckim konfiguratorze, jeśli człowiek zacznie klikać z dużą pewnością siebie. Na pokładzie poza wymienionymi już dobrodziejstwami znalazły się m.in. Pakiet sportowy M, dach panoramiczny, przyciemniane szyby, Parking Assistant Professional z kamerami 360 stopni, BMW Digital Premium oraz Pakiet Innowacji z trzystrefową klimatyzacją. Dobrze, że najważniejsze elementy Neue Klasse są obecne już w bazie, ale klasyczna prawda o BMW pozostaje bez zmian: konfigurator to miejsce, w którym zdrowy rozsądek przychodzi tylko na chwilę i zwykle nie zdejmuje płaszcza.

Największy komplement dla iX3 50 xDrive jest taki, że nie czuć w nim defensywy. To nie jest samochód zbudowany po to, żeby BMW mogło powiedzieć akcjonariuszom, że ma elektrycznego SUV-a. To nie jest też katalogowa odpowiedź na Teslę, Porsche, Audi i Mercedesa. To auto, które ma własny pomysł na elektryczną przyszłość marki. Jest nowoczesne, ale nie alienujące. Cyfrowe, ale nie całkowicie bezduszne. Szybkie, ale nie dziecinne. Rodzinne, ale nie pozbawione charakteru. Owszem, kilka decyzji nie spotyka się z moją pełną aprobatą, ale suma jest wyjątkowo mocna, a BMW pozostałymi ruchami mówi, że przeszło grę i teraz robi swoje w innej lidze.



Nowe iX3 wygląda mniej jak elektryczny eksperyment, a bardziej jak BMW, które nie przeprasza za zmianę epoki.

BMW potrzebowało elektryka, który nie będzie brzmiał jak przeprosiny za spalinową przeszłość ani jak nerwowy manifest przyszłości. iX3 50 xDrive robi coś trudniejszego – pokazuje, że elektryczne BMW może być po prostu bardzo dobrym BMW. Nie dlatego, że ma wielki ekran, szybkie ładowanie i kosmiczne sterowniki o nazwach z generatora startupowych sloganów. Dlatego, że po drodze wszystko zaczyna się składać w sensowną całość. A w czasach, w których samochody coraz częściej zachowują się jak urządzenia elektroniczne z miejscem na ludzi, to brzmi prawie rewolucyjnie.

OCENA

95

WERDYKT

PLUSY Świetne połączenie zasięgu, ładowania i sprawności. Prowadzenie godne BMW, mimo masy i formatu SUV-a. Bardzo dobre hamowanie i rekuperacja z funkcją Soft Stop. Panoramic Vision naprawdę działa. Przestronne wnętrze, bagażnik i dodatkowy schowek. Duży skok jakościowy względem poprzedniego iX3.

MINUSY Zbyt dużo funkcji przeniesionych na ekran. Brak klasycznego kontrolera iDrive. Brak adaptacyjnego zawieszenia na starcie. Ładowanie AC 22 kW wymaga dopłaty.

NASZYM ZDANIEM Jeśli to ma być początek nowej klasy BMW, to w Monachium mogą odetchnąć: iX3 50 xDrive nie tylko ładuje się szybko i jedzie daleko, ale robi coś znacznie trudniejszego – sprawia, że radość z jazdy nie musi pachnieć benzyną, żeby miała sens.

eprasa.pl 7056b98f47

LEXUS NX 450H+ AWD F SPORT + FUJI

CISZA, PRĄD I BARDZO DROGIE MANIERY

Lexus NX 450h+ nie wchodzi do życia z fanfarami. Nie robi z każdego ruszenia spod świateł zwiastuna nowego sezonu Drive to Survive, nie każe kierowcy czuć się pionierem elektromobilności i nie próbuje udowodnić, że SUV klasy premium powinien zachowywać się jak hot hatch po terapii wyciszającej. NX robi coś znacznie bardziej lexusowego – porządkuje rzeczywistość. Wsiadasz, zamykasz drzwi, świat trochę cichnie, a codzienność przestaje pchać się łokciami do kabiny.

W wersji 450h+ ten spokój ma jednak bardzo konkretny warunek: gniazdko. To plug-in, który najlepiej działa wtedy, gdy traktujesz ładowanie nie jak eksperyment technologiczny, tylko jak zwykły, domowy odruch, gdzieś między podłączeniem telefonu a sprawdzeniem, czy psy mają wodę w misce. Przy regularnym ładowaniu NX potrafi większość miejskich spraw załatwiać bez uruchamiania silnika spalinowego. Po cichu, miękko, bez wielkiej ekologicznej deklaracji wypisanej na masce. Po prostu jedziesz.

Technicznie stoi za tym układ hybrydowy oparty na 2,5-litrowym silniku benzynowym, skrzyni e-CVT, baterii 18,1 kWh i napędzie E-FOUR. Całość daje 292 KM, sprint do setki w 6,4 s i możliwość jazdy wyłącznie na prądzie z prędkością do 135 km/h. Deklarowany zasięg elektryczny wynosi od 66 do 93 km, więc przy rozsądnym rytmie dnia Lexus może przez większość tygodnia udawać auto elektryczne – tylko bez tej drobnej niedogodności, że przy dalszym wyjeździe zaczynasz studiować mapę ładowarek jak średniowieczny żeglarz gwiazdy.

Kiedy bateria się kończy albo trasa robi się dłuższa, NX nie zmienia się nagle w ciężkiego SUV-a z wyrzutami sumienia. Nadal jeździ jak bardzo dopracowana hybryda. Spalanie w mieszanym użytkowaniu może kręcić się w okolicach 5,5–6 l/100 km, co przy wygodnym, 292-konnym SUV-ie z napędem AWD



T3 Cena modelu testowego | 370 900 PLN

eprasa.pl 7056b98f47

“

NIE NAJBARDZIEJ EFEKTOWNY PHEV NA RYNKU. MOŻLIWE, ŻE JEDEN Z NAJBARDZIEJ CYWILIZOWANYCH







Lexus NX 450h+ w wersji F SPORT wygląda ostrzej niż jeździ, ale właśnie w tej eleganckiej powściągliwości tkwi sporo jego uroku.



SPECYFIKACJA

SILNIK 2.5 PHEV AWD

MOC 292 KM

PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA
200 km/h

0-100 KM/H
6,4 sekundy

ZASIĘG ELEKTRYCZNY + ZUŻYCIE W CYKLU MIESZANYM (WLTP)
66-93 km +
2,9-3,3 l/100 km

eprasa.pl 7056b98f47



pozostaje wynikiem więcej niż rozsądnym. Różnica polega na tym, że bez regularnego ładowania cały sens plug-ina robi się mniej oczywisty. Samochód nadal jest świetny, tylko trudniej obronić jego logikę.

Największy urok tego napędu polega na tym, że on nie robi z elektryfikacji wydarzenia. Ruszanie w trybie EV jest gładkie, ciche i przyjemnie bezwysiłkowe, ale kiedy do gry wchodzi benzynowe 2.5, nie ma tu nerwowego przebudzenia orkiestry dętej. Układ działa płynnie, przewidywalnie i z tą toyotowsko-lexusową pewnością, która może nie wywołuje ciarek, ale za to daje poczucie, że inżynierowie naprawdę wiedzieli, gdzie idą przewody. Przy mocniejszym wciśnięciu gazu NX potrafi być szybki, nawet bardzo sprawny, ale nigdy nie udaje auta, które chce się z tobą ścigać o ostatnie wolne miejsce pod siłownią.

To nie jest sportowiec, mimo dopisku F SPORT. I całe szczęście, bo świat widział już wystarczająco dużo SUV-ów, które próbowały być wszystkim naraz, a kończyły jak człowiek w garniturze i butach do biegania na weselu. F SPORT w NX-ie oznacza raczej ostrzejszą prezencję, 20-calowe felgi, sportowe fotele, adaptacyjne zawieszenie AVS, dodatkowe tryby jazdy Sport S i Sport S+ oraz trochę więcej napięcia w prowadzeniu. Auto jest stabilne, pewne i bardzo łatwe do wyczucia. Układ kierowniczy nie opowiada poezji, ale mówi wystarczająco jasno, żeby nie trzeba było dopytywać. Napęd E-FOUR z dodatkowym silnikiem przy tylnej osi pomaga utrzymać trakcję bez teatralnych gestów. Lexus nie wychodzi bokiem z zakrętu, bo Lexus nie wychodzi bokiem z żadnej sytuacji. Lexus uprzejmie ją rozwiązuje.



Komfort jest bardzo dobry, choć nie absolutny. Na gładkim asfalcie NX potrafi płynąć z tą charakterystyczną, luksusową ciszą, w której człowiek zaczyna słyszeć własne myśli i czasem żałuje, że nie da się ich wyciszyć przyciskiem na kierownicy. Przy ostrzejszych, poprzecznych nierównościach czuć jednak, że wersja F SPORT i duże koła mają swoje zdanie. Nie jest twardo w sposób męczący, ale bywa sztywniej, niż sugerowałaby spokojna twarz Lexusa. To raczej marynarka szyta na miarę niż miękki, kaszmirowy sweter.

Wnętrze jest jednym z mocniejszych argumentów tego auta. Nie dlatego, że wygląda jak kokpit statku kosmicznego, tylko dlatego, że po prostu chce się w nim siedzieć. Fotele F SPORT są wygodne, dobrze trzymają ciało i nie próbują udowodnić, że każde premium musi być karą za kręgosłup. Z przodu mamy podgrzewanie, wentylację, pamięć ustawień, skórzaną kierownicę, head-up display, cyfrowe lusterko wsteczne, kamerę 360 stopni i 14-calowy ekran systemu Lexus Link Pro. Jest bezprzewodowy Apple CarPlay i Android Auto, jest ładowarka indukcyjna, jest sześć portów USB w kabinie, jest ambientowe oświetlenie w 64 kolorach. Krótko mówiąc: jeśli ktoś tu jeszcze narzeka, że nie ma gdzie podłączyć kabla, to prawdopodobnie przyjechał z własnym centrum danych.

Najbardziej lexusowe jest jednak to, że technologia nie przesłania atmosfery. Ekran jest duży, grafika nowoczesna, system działa sprawnie, ale kabina nie sprawia wrażenia sklepu z elektroniką, do którego ktoś przez pomyłkę dorzucił kierownicę. To nadal samochód z miękkim światłem, dobrą pozycją za kierownicą i przyjemnymi materiałami. Są jednak drobiazgi, które potrafią zirytować. Część funkcji jest zbyt mocno zakopana w cyfrowej logice, a selektor skrzyni należy obsługiwać spokojnie i precyzyjnie, jakby miał za sobą trudny dzień. Lexus chciał być nowoczesny, ale czasem przypomina restaurację, która do perfekcyjnej kolacji podaje menu wyłącznie przez kod QR.

Z tyłu jest wygodnie dla dwóch dorosłych pasażerów, a bagażnik ma 545 litrów, więc nie trzeba robić drama-

eprasa.pl 7056b98f47



tycznej selekcji między walizką, torbą z kablami a zakupami z kategorii „miałem wejść tylko po mleko”. Po złożeniu kanapy przestrzeń rośnie do 1 436 litrów. To rodzinny SUV w bardzo sensownym rozmiarze: 4 660 mm długości, 1 865 mm szerokości i 2 690 mm rozstawu osi. Nie jest mały, ale nie udaje też transatlantyku. W mieście da się z nim żyć, parkować i manewrować bez poczucia, że właśnie przestawiamy segment osiedla.

Pakiet Fuji dodaje rzeczy, które brzmią bardzo przyszłościowo, ale mają konkretny sens w codziennym użyciu: asystenta wyprzedzania na drogach szybkiego ruchu, ostrzeganie o ruchu poprzecznym z przodu oraz autonomiczne i zdalne parkowanie Lexus Teammate z pamięcią miejsc postojowych. Do tego dochodzi cały arsenał systemów bezpieczeństwa: aktywny tempomat, asystent pasa ruchu, monitorowanie martwego pola, Safe Exit Assist, system ochrony przedzderzeniowej, kamera monitorująca skupienie kierowcy. Co ważne, te systemy nie zamieniają jazdy w serię reprymend. Lexus nie brzmi jak nauczyciel dyżurujący na korytarzu. Raczej dyskretnie przypomina, że można przeżyć tę podróż bez głupich decyzji.

Dlatego pytanie o sens NX-a 450h+ nie brzmi: „czy plug-in ma sens?”, tylko: „czy masz życie, w którym plug-in ma gdzie pracować?”. Jeśli tak, Lexus robi się bardzo przekonujący. Codzienne trasy załatwia po cichu, a silnik spalinowy zostawia na dłuższe wyjazdy, jak elegancki parasol zabrany na wszelki wypadek. Jeśli nie masz gdzie ładować, nadal dostajesz świetnie dopracowaną hybrydę, tylko z większą baterią, wyższą ceną i trochę mniej klarownym uzasadnieniem.

To ważne, bo rynek PHEV-ów zrobił się gęsty. To, co jeszcze niedawno było technologicznym przywilejem marek premium, dziś coraz częściej przyjeżdża z Chin, ma wielki ekran, ogromną baterię, sto trybów jazdy i cenę, która potrafi zepsuć humor księgowemu w salonie Lexusa. NX odpowiada inaczej. Nie próbuje wygrać wojny na największy zasięg, najniższą cenę ani najbardziej efektowne menu multimediów. Stawia na kulturę pracy, ciszę, jakość wykonania, dobrą ergonomię i poczucie trwałości.

To samochód dla kogoś, kto nie chce elektryfikacji jako manifestu, tylko jako wygody. Dla kogoś, kto lubi technologię, ale nie chce, żeby technologia codziennie siadała z nim do śniadania i opowiadała, jaka jest przełomowa.

Lexus NX 450h+ AWD F SPORT + Fuji jest więc bardzo dobrym autem, choć niekoniecznie autem dla każdego. Jest szybki, ale nie ekscytujący. Jest nowoczesny, ale nie zawsze intuicyjny. Jest komfortowy, ale w tej wersji trochę bardziej napięty, niż można oczekiwać po luksusowym SUV-ie. Jest oszczędny, jeśli grasz według zasad plug-ina, i tylko rozsądny, jeśli tych zasad nie masz gdzie wdrożyć. Najbardziej imponuje nie jednym wielkim efektem, lecz sumą drobnych, dobrze zsynchronizowanych decyzji. To może nie brzmi seksownie, ale w codziennym życiu właśnie takie rzeczy sprawiają, że samochód przestaje być gadżetem, a zaczyna być dobrym towarzyszem.

OCENA

84

WERDYKT

PLUSY Bardzo płynny, cichy i dopracowany napęd. Świetnie wyciszona, wygodna i bogato wyposażona kabina. Stabilne prowadzenie. Technologie, które mają praktyczny sens.

MINUSY Wersja F SPORT bywa mniej miękka, niż sugeruje luksusowy charakter auta. Wysoka cena.

NASZYM ZDANIEM Testowany Lexus to plug-in dla ludzi, którzy nie chcą rewolucji pod domem – wolą, żeby technologia była jak dobry concierge: obecna dokładnie wtedy, gdy jest potrzebna.

eprasa.pl 7056b98f47

JEEP COMPASS E-HYBRID

TERENÓWKA NA TRYB CODZIENNY



Jeep zawsze miał pewien problem z autami, które nie są Wranglerem. Wrangler może być niewygodny, głośny, uparty i absurdalny, a i tak mu wybaczamy, bo wygląda jak rekwizyt z filmu, w którym ktoś ucieka przed końcem świata i jeszcze zdąży zaparzyć kawę na masce. Compass nie ma tego luksusu. Compass musi być normalnym SUV-em dla ludzi, którzy chcą mieć trochę amerykańskiej legendy, ale też fotelik z tyłu, zakupy w bagażniku, automat w korku i spalanie, po którym nie trzeba dzwonić do doradcy kredytowego.

Nowa generacja robi więc rzecz rozsądną – najpierw próbuje wyglądać jak Jeep. I tu naprawdę sporo się udało. Nadwozie ma właściwe proporcje, krótsze zwisy, mocniejsze nadkola, pionową twarz i tę charakterystyczną kratę. Niby wszyscy wiedzą, że to już nie ten sam brudny klub z lat 70., ale symbol nadal coś obiecuje. Compass e-Hybrid w wersji Altitude nie jest autem krzykliwym, nie udaje Rubicona po roku crossfitu, ale ma w sobie przyjemną masywność. Wygląda pewniej niż poprzednik, mniej jak kompromis wymyślony w salce konferencyjnej, bardziej jak samochód, który przynajmniej pamięta, z jakiej rodziny pochodzi.

Technicznie mówimy jednak o bardzo współczesnym Jeepie, czyli takim, który jedną nogą stoi w świecie przygody, a drugą w Excelu działu emisji. Pod maską pracuje klasyk Stellantisa, trzycylindrowy silnik 1.2 wspierany instalacją 48 V. Układ ma 145 KM, około 230 Nm i współpracuje z sześciobiegową, dwusprzęgłową skrzynią automatyczną. To nie jest hybryda, która zamienia codzienną jazdę w cichą medytację na prądzie. To raczej sprytny asystent, który pomaga przy ruszaniu, czasem pozwala przetoczyć się bez większego udziału benzyny i wygładza te momenty, w których mały silnik musiałby samodzielnie udawać większego kolegę. Deklarowane spalanie 5,7 l/100 km brzmi dobrze, ale warto traktować je jak obietnicę z katalogu. W normalnym ruchu lepiej nastawić się na okolice 7–8 l/100 km – wciąż rozsądne jak na rodzinnego SUV-a, ale już bez tej laboratoryjnej magii, która w broszurach każe wierzyć, że fizyka czasem bierze urlop.

Compass ma najwięcej sensu w mieście. Automat zdejmuje z jazdy codzienną nerwowość, układ hybrydowy pomaga przy niskich prędkościach, a wysoka pozycja za kierownicą daje ten rodzaj spokoju, który w SUV-ach kupuje się równie chętnie jak centymetry prześwitu. Nie chodzi o to, że nagle stajemy się odkrywcami bezdroży. Chodzi o to, że patrzymy ponad dachami hatchbacków i przez chwilę wydaje nam się, że mamy życie pod kontrolą. Compass lubi takie tempo: rondo, światła, obwodnica, parking, osiedlowa droga z progami zwalniającymi, które ktoś projektował chyba w zemście za własne dzieciństwo.

Poza miastem wychodzi już na jaw, że 145 KM w aucie tej wielkości to propozycja rozsądna, nie ekscytująca. Do setki Compass rozpędza się w okolicach dziesięciu sekund, czyli dokładnie tak, jak powinien rodzinny SUV, który nie chce nikomu niczego udowadniać. Przy spokojnej jeździe jest przyjemnie, przy próbie nagłego wyprzedzania trzeba dać układowi chwilę na zebranie myśli. Silnik potrafi zabrzmieć szorstko, skrzynia nie zawsze reaguje z elegancją kelnera w hotelu pięciogwiazdkowym, ale trudno mówić o dramacie. To raczej ten moment, w którym samochód przypomina, że jego siłą nie jest sprint, tylko przewidywalność.

T3 Cena modelu testowego | 163 850 PLN

SPECYFIKACJA

SILNIK
1.2 Hybrid 48 V

MOC 145 KM

PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA
188 km/h

0-100 KM/H
10,3 sekundy

ZUŻYCIE W CYKLU MIESZANYM (WLTP)
5,7 l/100 km

eprasa.pl 7056b98f47





> NOWY COMPASS WYGLĄDA TAK, JAKBY NAPRAWDĘ CHCIAŁ WRÓCIĆ Z WEEKENDU Z BŁOTEM NA PROGACH. W PRAKTYCE NAJCZĘŚCIEJ WRÓCI SPOD LIDLA, ALE PRZYNAJMNIEJ ZROBI TO Z GODNOŚCIĄ

Największa ironia polega na tym, że Compass wygląda teraz bardziej terenowo, ale w tej wersji pozostaje samochodem przednionapędowym. Jeep dorzuca Selec-Terrain, 200 mm prześwitu i możliwość brodzenia do 408 mm, więc w katalogu można poczuć lekki zapach mokrej trawy, ogniska i weekendu bez zasięgu. W praktyce Altitude e-Hybrid jest bardziej autem na kiepską drogę do domku niż na prawdziwe bezdroża. I dobrze, pod warunkiem że nikt nie będzie udawał, że kupuje małego Wranglera. To raczej Compass w bardzo dosłownym sensie – wskazuje kierunek, ale niekoniecznie sam chce iść przez bagno.

Wnętrze jest jednym z mocniejszych argumentów nowego modelu. Jeep poszedł w nowoczesność bez całkowitego odklejenia od codzienności. Duży, 16-calowy ekran sprawia dobre wrażenie, ale kabina nie zamienia się przez to w showroom producenta tabletów. Są fizyczne elementy sterowania tam, gdzie powinny być, pozycja za kierownicą jest wygodna, a całość wygląda bardziej dojrzale niż wcześniej. Materiały nie wszędzie udają klasę premium i to jest okej. Compass jest raczej uczciwy: ma być solidnie, rodzinnie, trochę surowo, ale nie biednie.

Przestrzeń też broni tego auta. Nowa generacja urosła tam, gdzie trzeba, a bagażnik o pojemności około 550 litrów powoduje, że Compass nie jest tylko modnym pudełkiem na wyższych kołach. To samochód, do którego da się wrzucić życie: walizki, torby, dziecięcy sprzęt, zakupy i tę jedną kurtkę, którą każdy wozi w aucie od października do maja. Z tyłu jest wystarczająco miejsca, żeby dorosły nie czuł się jak statysta w taniej linii lotniczej, choć oczywiście nie jest to salon na kołach. W tej klasie liczy się raczej spryt niż rozrzutność.

Nie wszystko jednak układa się tak gładko. Zawieszenie bywa twardsze, niż sugerowałaby rodzinna natura auta. Na dobrej drodze daje poczucie kontroli, ale na gorszej potrafi przypomnieć o sobie krótkim, mało wyrafinowanym ruchem. Układ kierowniczy jest poprawny, ale nie buduje specjalnej więzi z kierowcą. Hamulec w hybrydach tego typu również potrafi mieć moment zawahania między rekuperacją a klasycznym działaniem. W codziennej jeździe może nie przeszkadza, ale ambitniejszy kierowca to zauważy. Compass nie jest autem złym w prowadzeniu. Jest autem, które w stara się w nim nie przeszkadzać.

Nowy Compass e-Hybrid Altitude nie wywraca segmentu SUV-ów do góry nogami. Volkswagen Tiguan, Kia Sportage, Hyundai Tucson, Peugeot 3008 czy Toyota C-HR nie muszą zwoływać narady kryzysowej. Jeep nie przyjechał tu z rewolucją, tylko z lepiej dobranym kostiumem i bardziej sensowną rolą. Compass ma dziś mniej kompleksów. Wie, że nie będzie najbardziej sportowy, najbardziej oszczędny ani najbardziej luksusowy. Próbuje być samochodem, który do zwyczajnego życia dokleja odrobinę przygodowego wizerunku, ale nie robi z tego teatralnej maskarady.

To jest auto dla kogoś, kto lubi Jeepa jako ideę, lecz żyje w świecie parkingów podziemnych, ekspresówek, wakacji z bagażnikiem po dach i weekendowych wyjazdów, na których największym off-roadem okazuje się droga do agroturystyki. Ten samochód nie obiecuje, że zmieni właściciela w poszukiwacza przygód. Raczej mówi: możesz dalej być sobą, tylko zaparkujesz trochę wyżej, pojedziesz trochę spokojniej i będziesz mieć auto, które wygląda, jakby po pracy miało ciekawsze plany niż ty. I to jest całkiem uczciwa propozycja.

WERDYKT

PLUSY Bardziej przekonujący wygląd. Praktyczne wnętrze i bagażnik. Wygodna pozycja za kierownicą. Rozsądny układ e-Hybrid do jazdy miejskiej i podmiejskiej. Prześwit i Selec-Terrain.

MINUSY Osiągi są poprawne, ale bez błysku. Hybryda 48 V nie robi z niego mistrza oszczędzania. Zwieszenie potrafi być twardawe. Przedni napęd ogranicza „terenowe" ambicje. W tej klasie konkurencja jest wyjątkowo mocna.

NASZYM ZDANIEM Compass e-Hybrid to Jeep dla ludzi, którzy częściej walczą z krawężnikiem pod szkołą niż z błotem po osie, ale przynajmniej robią to w aucie, które nie wygląda, jakby przepraszało za własne istnienie.

OCENA **78**

eprasa.pl 7056b98f47

VOLVO V60 T8 AWD PLUG-IN HYBRID ULTRA

KOMBI, KTÓRE WRÓCIŁO Z DALEKIEJ PODRÓŻY

Przez chwilę wyglądało to tak, jakby Volvo postanowiło odciąć się od własnej mitologii. Kombi zniknęły z wybranych rynków, SUV-y przejęły ekspozycje, a świat miał zaakceptować, że praktyczność musi mieć podwyższony prześwit, wielki grill i aurę osoby, która w weekend mogłaby pojechać w góry, choć najczęściej jedzie po hummus i karmę dla psa. Volvo bez kombi było jednak pomysłem dziwnie nienaturalnym.

Powrót V60 ma więc w sobie coś więcej niż handlową korektę. To powrót formatu, który przez lata wydawał się oczywisty, a potem nagle trzeba było go bronić. V60 wciąż wygląda jak jeden z najładniejszych sposobów na przewożenie ludzi, rzeczy i własnego zmęczenia po kraju. Jest niskie, długie, spokojne i proporcjonalne.

W testowanej konfiguracji mówimy o wersji T8 AWD Plug-in hybrid Ultra z motywem Bright, lakierem Aurora Silver i wnętrzem, które brzmi jak opis apartamentu między Sztokholmem a gabinetem architekta: wentylowana skóra Nappa Amber, czerń Charcoal, Linear Lime, kryształowa dźwignia Orrefors, masaż w przednich fotelach, Bowers & Wilkins, pakiety Climate i Lounge, laminowane szyby oraz 19-calowe obręcze. Do tego składany hak, bo nawet eleganckie życie czasem musi przewieźć coś, co zaczyna się od „to tylko na chwilę", a kończy na dwóch kursach i zadyszce. Cena z akcesoriami wynosi 357 199 PLN, więc nie udawajmy, że rozmawiamy o skromnym kombi. To premium, ale bardziej wełniany sweter niż złoty zegarek.

V60 ma już swoje lata i paradoksalnie działa to na jego korzyść. Wsiada się do środka i nie ma wrażenia, że ktoś przykleił do deski ekran wielkości blatu kuchennego, bo dział innowacji dostał budżet do wydania przed końcem kwartału. Pionowy ekran Volvo nie robi dziś takiego wrażenia jak kiedyś, ale jest sensownie wkomponowany, działa sprawnie i korzysta z Google. Sterowanie klimatyzacją z ekranu nadal jest kompromisem sprzedawanym jako postęp, choć stały pasek na dole trochę łagodzi sytuację. Bardziej boli brak bezprzewodowego CarPlay.



T3 Cena modelu testowego | 357 199 PLN

Kabina V60 nie próbuje być wystawą elektroniki użytkowej. Ma własny rytm. Fotele są znakomite, pozycja za kierownicą naturalna, materiały przyjemne, a całość sprawia wrażenie miejsca, w którym ktoś pamiętał, że samochód ma nie tylko dobrze wyglądać w konfiguratorze, ale też nie męczyć po trzech godzinach jazdy. Bursztynowa tapicerka dodaje wnętrzu ciepła, którego często brakuje współczesnym autom premium. Tu nie siedzi się w showroomie, tylko w samochodzie.

V60 jest kombi, ale nie takim z legendy o starych Volvo, w których dało się przewieźć antyczną komodę, psa, dwójkę dzieci, regał Billy i jeszcze sąsiada. Bagażnik ma około 519 litrów, jest ustawny i łatwy do wykorzystania, lecz Volkswagen Passat czy Škoda Superb oferują wyraźnie więcej miejsca. Z tyłu też nie ma klasowego rekordu. Jest wygodnie, solidnie i rodzinnie, ale jeśli ktoś kupuje kombi z myślą o maksymalnym litrażu, może poczuć niedosyt.

SPECYFIKACJA

SILNIK 2.0 PHEV AWD

MOC 455 KM

PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA
180 km/h

0-100 KM/H
4,6 sekundy

ZASIĘG ELEKTRYCZNY + ZUŻYCIE W CYKLU MIESZANYM (WLTP)
Do 98 km +
2,1 l/100 km

eprasa.pl 7056b98f47





> VOLVO V60 NIE PRÓBUJE UDAWAĆ SUV-A, SPORTOWEGO KOMBI ANI GADŻETU Z CZTEREMA KOŁAMI

WERDYKT

PLUSY Piękna, ponadczasowa sylwetka. Bardzo mocny i sensowny napęd. Świetne fotele i wysoka jakość wnętrza. Dobre wyciszenie i znakomity komfort w trasie. Bogata konfiguracja Ultra.

MINUSY Bagażnik i tylna kanapa nie są rekordowe jak na kombi. 19-calowe koła potrafią pogorszyć komfort jazdy w mieście. Obsługa klimatyzacji przez ekran. Konkurenci oferują już większe akumulatory w hybrydach plug-in.

NASZYM ZDANIEM Volvo V60 T8 to kombi dla tych, którzy nie chcą SUV-a, nie potrzebują teatralnych gestów i wciąż wierzą, że elegancja może mieć 455 KM, bagażnik oraz szwedzki akcent.

OCENA **87**

Szerokie drzwi ułatwiają za to życie przy fotelikach.

Najmocniejszym argumentem tej wersji jest napęd. T8 łączy benzynowy silnik z elektrycznym wsparciem i napędem AWD, oferując 310 + 145 KM. Pod spokojną karoserią siedzi układ, który potrafi ruszyć V60 z energią niepasującą do stereotypu rodzinnego kombi. Sprint do setki w okolicach 4,6 sekundy brzmi jak informacja, której właściciel Volvo nie będzie eksponował przy kolacji, ale będzie o niej pamiętał przy każdym krótkim pasie włączania się do ruchu.

Najważniejsze, że ta moc nie zmienia charakteru auta w karykaturę. V60 T8 nie udaje M3 Touring po kursie mindfulness. Jest szybkie, pewne i bardzo sprawne, ale jego naturalnym środowiskiem pozostaje długa trasa, nie walka o rekord na serpentynach. Napęd plug-in pozwala jeździć po mieście głównie na prądzie, jeśli regularnie ładujemy auto, a realny zasięg elektryczny w okolicach kilkudziesięciu kilometrów, w sprzyjających warunkach nawet około 80 km, obsłuży codzienny rytm dom–praca–sklep–dom. Wymaga to dyscypliny, zwłaszcza że konkurencja potrafi już mówić o większych zasięgach bez zająknięcia.

W trasie V60 pokazuje, dlaczego ten format ma sens. Jest niskie, dobrze wyciszone i stabilne, a laminowane szyby wzmacniają wrażenie odcięcia od świata. To spokojny pokój, w którym można usłyszeć własne myśli albo świetny system Bowers & Wilkins. Ten ostatni sprawia, że Volvo pozostaje jednym z najlepszych samochodów dla melomanów. W wielu markach logo znanego producenta audio działa jak magnes, a w praktyce daje niewiele. W V60 mógłbym siedzieć tylko dla muzyki.

Volvo od lat umie w fotele i tutaj też to czuć. Po dłuższej jeździe człowiek nie wysiada z auta jak po locie tanimi liniami na środkowym miejscu między pasażerami walczącymi o podłokietnik. Wysiadamy raczej z poczuciem, że można by pojechać dalej. To w samochodzie rodzinnym komplement większy niż pokaz cyfrowych fajerwerków.

Nie wszystko jest jednak miękkie jak skandynawski koc z katalogu. Na 19-calowych kołach V60 potrafi dać znać o sobie w mieście. Krótkie nierówności i dziury nie znikają magicznie pod zawieszeniem. Auto nie jest niekomfortowe, ale na kiepskiej nawierzchni czuć, że estetyka dużych felg pobiera swój podatek od codzienności.

Prowadzenie jest dokładnie takie, jakiego można oczekiwać po Volvo, które zna swoją rolę. Układ kierowniczy nie opowiada poezji o przyczepności opon, ale jest precyzyjny i przewidywalny. Nadwozie pozostaje dobrze kontrolowane, a napęd AWD daje poczucie bezpieczeństwa, szczególnie kiedy pogoda przypomina listopadowy dramat psychologiczny. BMW nadal ma mocniejsze argumenty emocjonalne, ale Volvo jest gdzie indziej. Ono chce, żebyś dojechał szybko, spokojnie i bez poczucia udziału w castingu do kolejnej części Mission: Impossible.

Są samochody nowsze, bardziej pojemne, bardziej efektowne i bardziej cyfrowe. Są hybrydy plug-in z większymi akumulatorami i wnętrza bardziej teatralne. Siła V60 idzie inną drogą. Ono jest spójne. Ma styl, wygodę, moc, sensowną praktyczność i nordycką powściągliwość, która nie potrzebuje głośnego logo na masce, żeby wyglądać drogo.

Volvo V60 wróciło, bo są ludzie, którzy nie chcieli kolejnego SUV-a w miejscu, w którym kiedyś stało kombi. W świecie, który coraz częściej myli rozmiar z użytecznością, a ekran z nowoczesnością, V60 T8 jest eleganckim przypomnieniem, że samochód rodzinny może być szybki, cichy, piękny i zwyczajnie normalny. A normalność, jeśli kosztuje 357 tysięcy złotych i ma Bowers & Wilkins na pokładzie, bywa dziś wyjątkowo przyjemną ekstrawagancją.

eprasa.pl 7056b98f47

LEGO BATMAN: LEGACY OF THE DARK KNIGHT

DZIEDZIC NOCY Z PLASTIKU

Batman od dawna żyje w dziwnym stanie zawieszenia. W kinie co kilka lat ktoś próbuje odkryć go na nowo. W grach sytuacja była jeszcze bardziej osobliwa. Rocksteady zbudowało trylogię, która przez lata była dla superbohaterskich produkcji tym, czym dla kina akcji był pierwszy *Matrix* – punktem odniesienia, kompleksem i przekleństwem. Potem wszyscy długo udawali, że da się to łatwo powtórzyć. Nie dało się.

Dlatego największy żart *LEGO Batman: Legacy of the Dark Knight* polega na tym, że nową grę w duchu Arkhama zrobiło studio od klocków. I to nie w formie drobnej inspiracji, eleganckiego ukłonu czy puszczenia oka do starszych graczy. Nie. Traveller's Tales bierze cały alfabet Rocksteady: walkę free-flow, kontrataki, szybowanie nad Gotham, gadżety, skradanie z poziomu gargulców, Batmobil, kryminalne aktywności na mapie, zagadki środowiskowe i teatralną powagę Mrocznego Rycerza, po czym przepuszcza to przez filtr LEGO. Efekt powinien być absurdalny. Czasem jest. Ale częściej bywa po prostu zaskakująco dobry.

To nie jest kolejna gra LEGO z licencją, która odtwarza znane sceny, rozrzuca po mapie milion znajdziek i liczy na to, że gracz zmięknie przy trzecim żarcie z upadającego banana. *Legacy of the Dark Knight* ma wyraźniejszy pomysł na siebie. To nie tyle parodia Batmana, ile jego skondensowana, rodzinna mitologia. Gra sięga po Burtona, Nolana, Reevesa, stare seriale, komiksy, gry Rocksteady i całe to popkulturowe muzeum peleryn, masek, traum i bardzo drogich zabawek. Mogłoby się z tego zrobić coś na poziomie półki z przecenionymi figurkami po świętach, ale TT Games pilnuje rytmu. Opowieść jest kompilacją największych motywów z historii Batmana, lecz ma wystarczająco dużo własnej energii, by nie sprawiać wrażenia zwiastuna trwającego kilkanaście godzin.



Najlepiej działa tu właśnie to poczucie, że ktoś naprawdę rozumie materiał źródłowy. Żarty nie są tylko dopisanym komentarzem dla dzieci. Często wynikają z tego, jak teatralny, przesadny i śmiertelnie serio bywa Batman sam w sobie. LEGO nie ośmiesza Mrocznego Rycerza, tylko delikatnie szturcha go w pancerz i pyta, czy naprawdę musiał narysować własny symbol żelem wybuchowym na ścianie. To bardzo zdrowe pytanie.

Sama walka jest znajoma od pierwszego starcia. Batman przeskakuje między przeciwnikami, odbija ciosy, wykonuje kontry, używa gadżetów, a ekran co chwilę eksploduje komiksowym efektem i plastikowym chaosem. System nie ma ciężaru *Arkham Knight*, nie ma też tej precyzji, która sprawiała, że dobrze rozegrana bójka w produkcjach Rocksteady przypominała choreografię napisaną przez kogoś po bardzo mocnej kawie. Jest prostszy, łagodniejszy i bardziej wybaczający, ale rytm działa. Szczególnie wtedy, gdy gra pozwala poczuć, że jesteśmy w tej samej rodzinie mechanik, tylko przy stole siedzą też młodsi gracze, a ktoś profilaktycznie schował ostre narzędzia.

Podobnie jest ze skradaniem. Są punkty obserwacyjne, są przeciwnicy do cichego zdejmowania, jest obietnica tego starego, arkhamowego dreszczu, kiedy grupa zbirów zaczyna rozumieć, że sufit najwyraźniej nie jest już bezpiecznym kierunkiem patrzenia. Tyle że napięcia jest mniej, a sztuczna inteligencja wrogów

T3 PLAYSTATION | PC | XBOX

eprasa.pl 7056b98f47







częściej przypomina ochroniarza centrum handlowego pięć minut przed końcem zmiany niż spanikowany gang z Gotham. Dla młodszych graczy to pewnie zaleta. Dla starszych – element, który bardziej wygląda jak Arkham, niż naprawdę nim jest.

Największą niespodzianką jest Gotham. Mroczne, mokre, neonowe, gotyckie, czasem prawie przesadnie ładne, jakby ktoś zamówił nocne miasto u scenografa, który bardzo lubi art déco i nigdy nie pogodził się z tym, że lata 90. minęły. Przemieszczanie się po dachach, szybowanie między wieżowcami i pędzenie Batmobilem przez ulice daje frajdę, której nie da się sprowadzić do listy mechanik. To jest ten moment, w którym licencja przestaje być dekoracją, a zaczyna robić swoją robotę. Nie chodzi tylko o to, że jesteśmy Batmanem. Chodzi o to, że gra przez większość czasu wie, dlaczego bycie Batmanem jest w grach tak przyjemne.

Problem zaczyna się wtedy, gdy Gotham przestaje być sceną, a zostaje arkuszem zadań do odhaczenia. Kampania, trwająca mniej więcej 15–20 godzin, jest zwarta, pełna atrakcji i dobrze prowadzi przez kolejne wcielenia bat-mitologii. Po napisach zostaje jednak klasyczny syndrom otwartego świata: ikony, znajdźki, powtarzalne aktywności i zadania poboczne, które nie zawsze mają tę samą iskrę co misje fabularne. To nie jest katastrofa, bo LEGO od zawsze żerowało na przyjemności czyszczenia mapy do 100 procent. Ale tym razem różnica między świetnie wyreżyserowaną kampanią a bardziej mechanicznym zbieractwem jest bardziej wyraźna.

Dobrą decyzją jest ograniczenie liczby grywalnych postaci. Tutaj zestaw jest mniejszy, ale bardziej funkcjonalny. Batman, Gordon, Catwoman, Batgirl, Robin czy Nightwing mają swoje role, gadżety i zastosowania w zagadkach. To nadal LEGO, więc nie spodziewajmy się nagle głębi immersive sima, ale czuć, że mniej znaczy tu więcej. Nawet Batjaskinia, rozbudowywana o kolejne nagrody, stroje i trofea, działa nie tylko jako menu w przebraniu, ale też jako fanowski pokój marzeń. Taki, w którym ktoś bardzo starannie poukładał obsesję na półkach.

Najbardziej szkoda braku kooperacji online. Lokalny co-op pasuje do LEGO naturalnie, bo ta seria zawsze miała w sobie coś z kanapy, przekąsek i kłótni o to, kto rozwalił konstrukcję, zanim drugi zdążył rozwiązać zagadkę. Ale w 2026 roku brak możliwości patrolowania Gotham z kimś przez sieć wygląda jak decyzja z epoki, w której internet robił charakterystyczny pisk przy łączeniu. Przy grze tak mocno zbudowanej wokół duetu, bat-rodziny i wspólnej eksploracji to naprawdę dziwne przeoczenie.

Nie wszystko jest tu równe. Bossowie bywają bardziej widowiskowi niż ciekawi mechanicznie. Budowanie z klocków czasem schodzi na dalszy plan, jakby LEGO w grze LEGO było już tylko nazwiskiem rodowym, a nie pełnoprawną tożsamością. Poziom trudności rzadko stawia opór, chyba że za przeciwnika uznamy własną potrzebę zebrania wszystkiego z mapy. A jednak *LEGO Batman: Legacy of the Dark Knight* ma coś, czego wielu dużym superbohaterskim produkcjom ostatnich lat brakowało: lekkość bez cynizmu.

To gra, która wie, że Batman może być jednocześnie mroczny i śmieszny, monumentalny i głupiutki, ikoniczny i absurdalny. Wie też, że dla części graczy będzie nostalgicznym powrotem do Arkhama, a dla innych pierwszą lekcją latania nad Gotham. I może właśnie dlatego działa dobrze. Nie próbuje zastąpić Rocksteady, choć czasem bezczelnie zakłada jego pelerynę. Raczej mówi: skoro od lat czekacie na porządną grę o Batmanie, to proszę bardzo, zrobiliśmy ją z plastiku. I wiecie co? Plastik też potrafi rzucać cień.

WERDYKT

PLUSY Świetne wykorzystanie dziedzictwa Arkham. Klimat Gotham. Zwarta, zabawna i pełna odniesień kampania. Zróżnicowanie postaci. Uniwersalny humor.

MINUSY Powtarzalne aktywności poza kampanią. Zbyt prosty stealth. Bossowie nie dorównują oprawie. Brak kooperacji online. Dla niektórych za mało LEGO w LEGO.

NASZYM ZDANIEM Rodzinny Arkham z klocków – prostszy, lżejszy i mniej precyzyjny, ale z sercem, humorem i zaskakująco dobrym wyczuciem Batmana.

OCENA **83**

eprasa.pl 7056b98f47

GOTHIC 1 REMAKE

KOLONIA KARNA DLA CIERPLIWYCH

W współczesne RPG-i bardzo często zaczynają się od dyskretnego poklepywania gracza po plecach. Tu znacznik, tam samouczek, za rogiem skrzynka z wyposażeniem, a po dziesięciu minutach ktoś już sugeruje, że być może jesteśmy wybrańcami, legendą albo przynajmniej osobą o ponadprzeciętnej zdolności do zbierania ziół. *Gothic 1 Remake* nie ma takich manier. Wrzuca nas do kolonii karnej, odbiera godność szybciej niż obsługa infolinii banku w poniedziałek rano i bardzo wyraźnie komunikuje: nie jesteś nikim szczególnym. Jesteś nowy, słaby, biedny i prawdopodobnie za chwilę zginiesz od czegoś, co w innej grze pełniłoby funkcję dekoracyjnego gryzonia.

To jest w tym remake'u najważniejsze i jednocześnie najbardziej ryzykowne. Alkimia Interactive nie próbowała zrobić z *Gothica* wygładzonego parku rozrywki dla ludzi wychowanych na mapach usianych ikonami. Rdzeń pozostał brutalnie stary. Trafiamy do Górniczej Doliny, otoczonej magiczną Barierą, która miała trzymać więźniów w ryzach, ale oczywiście poszło tak, jak zwykle idą wielkie państwowe projekty z udziałem magów i desperacji. W środku rządzą obozy, układy, przemoc, ruda i zasada, że jeśli nie wiesz, dokąd idziesz, to prawdopodobnie idziesz po śmierć.

Najlepsze jest to, że gra naprawdę nie udaje, że świat czekał na nasze przybycie. Ludzie mają swoje interesy, swoje rytuały, swoje małe hierarchie i własne powody, by traktować nas jak chodzący problem. Stary Obóz, Nowy Obóz i Bractwo Śniącego nie są tylko trzema wariantami tego samego menu frakcji. To trzy sposoby patrzenia na kolonię, trzy modele przetrwania i trzy różne odpowiedzi na pytanie, co człowiek robi, gdy zamknie się go pod kloszem z innymi zdesperowanymi ludźmi. Wybór obozu nie przewraca całej fabuły do góry nogami, ale zmienia rytm progresji, dostęp do nauczycieli, relacje i poczucie przynależności. A w świecie, w którym na początku nie należymy właściwie do niczego, nawet to ma znaczenie.

Remake modernizuje oryginał tam, gdzie musiał, ale robi to z wyraźnym lękiem przed utratą jego szorstkiego charakteru. Sterowanie, interfejs, dziennik zadań i glosariusz są dużo bardziej przyjazne niż w 2001 roku, a jednocześnie gra nadal odmawia prowadzenia za rękę. Mapę trzeba zdobyć, wskazówki trzeba wyłowić z rozmów, a porady NPC-ów warto traktować poważniej niż komunikaty pogodowe przed długim weekendem. Jeśli ktoś mówi, żeby trzymać się drogi, to nie jest nastrojowa kwestia budująca klimat. To instrukcja przeżycia.



Pierwsze godziny potrafią być bezlitosne. Walka jest ciężka, niezgrabna i początkowo bardziej przypomina negocjacje z własną bezradnością niż heroiczną wymianę ciosów. Bohater macha bronią z entuzjazmem człowieka, który dopiero co odkrył, że metalowy przedmiot ma dwa końce, a przeciwnicy nie mają obowiązku grzecznie czekać, aż nauczymy się animacji. W tym jednak tkwi osobliwa siła *Gothica*. Progres nie polega tylko na tym, że rosną liczby. Trzeba znaleźć nauczyciela, zapłacić punktami nauki, zdobyć rudę, wybrać specjalizację, nauczyć się wykorzystywać skóry, mięso, alchemię, gotowanie, broń, magię i wszystko, co może dać choć minimalną przewagę. Każdy krok w górę drabiny społecznej i bojowej czuć tu fizycznie.

Kiedy po kilku godzinach zaczynamy rozumieć ekonomię kolonii, system zaczyna się pięknie zazębiać. Lepsza umiejętność polowania daje więcej łupów, łupy dają rudę, ruda daje szkolenie, szkolenie pozwala przetrwać trudniejsze wyprawy, a trudniejsze wyprawy wreszcie sprawiają, że świat otwiera się nie jako dekoracja, lecz jako nagroda. To bardzo staroświecki rodzaj satysfakcji.

Kolonia ma gęstą atmosferę, której wielu droższym, większym i bardziej dopieszczonym RPG-om zwyczajnie brakuje. To świat zrobiony ręcznie, pełen małych zależności, dziwnych postaci, nieprzyjemnych typów i miejsc, które zapamiętuje się nie dlatego, że gra odhaczyła je na mapie, ale dlatego, że samemu trzeba było się ich nauczyć. Oprawa wizualna oczywiście przeskoczyła o epokę względem oryginału: oświetlenie, scenografia, pogoda i skala lokacji potrafią zbudować bardzo sugestywny nastrój. Widać też posze-

T3 PLAYSTATION | PC | XBOX

eprasa.pl 7056b98f47



> *GOTHIC 1 REMAKE* JEST JAK POWRÓT DO STAREGO MIESZKANIA PO REMONCIE: ŚCIANY WYGLĄDAJĄ LEPIEJ, ŚWIATŁO PADA EFEKTOWNIEJ, ALE SKRZYPIĄCA PODŁOGA NADAL PRZYPOMINA, KTO TU NAPRAWDĘ RZĄDZI

rzenia świata, nowe zadania, rozbudowane fragmenty lore i lepiej poprowadzone elementy fabuły, zwłaszcza tam, gdzie oryginał cierpiał przez ograniczenia czasu i budżetu.

Problem w tym, że duch 2001 roku wrócił nie tylko w klimacie. Wrócił też w potknięciach. Animacje bywają drewniane, ruch ma w sobie lepkość, walka nawet po modernizacji nadal nie będzie powodem, dla którego ktoś zacznie pisać list miłosny do projektantów systemów. Do tego dochodzą bugi, crashe, dziwne zachowania NPC-ów, problemy z eskortami, zacinanie się postaci, kaprysy sztucznej inteligencji i ogólne poczucie, że pod piękniejszą powierzchnią nadal mieszka klasyczny, europejski jank.

Na konsolach dochodzi ograniczenie do 30 klatek na sekundę i brak trybów graficznych, a na PC nawet mocniejsze konfiguracje nie zawsze gwarantują idealnie płynną zabawę. To nie są drobiazgi, które można zbyć wzruszeniem ramion, bo *Gothic 1 Remake* już z założenia jest grą wymagającą cierpliwości. Gdy do celowej surowości dochodzą problemy techniczne, granica między „bezkompromisowym projektem" a „czy ja właśnie straciłem pół godziny przez błąd?" robi się niebezpiecznie cienka.

Mimo tego trudno nie docenić odwagi tej produkcji. W epoce, w której wiele gier boi się, że gracz przez pięć sekund poczuje się zagubiony, *Gothic 1 Remake* buduje całe doświadczenie na zagubieniu, słabości i powolnym oswajaniu przestrzeni. To remake wierny nie tylko fabule i lokacjom, ale też emocji oryginału: nieprzyjemnemu poczuciu, że świat nie jest dla nas, a jeśli chcemy w nim coś znaczyć, musimy na to zapracować. Nie ikoną na mapie, nie automatycznym awansem, tylko serią małych, często upokarzających zwycięstw.

To nie jest gra dla każdego i nawet nie próbuje nią być. Niecierpliwych odrzuci już na starcie, miłośników płynnej akcji zirytuje walką, a osoby uczulone na techniczne niedoróbki mogą słusznie poczekać na patche. Ale jeśli ktoś tęskni za RPG-iem, w którym rozmowa z przypadkowym myśliwym może być ważniejsza niż samouczek, mapa jest przedmiotem, a nie prawem człowieka, a awans społeczny w kolonii smakuje jak coś zdobytego z trudem, tu znajdzie doświadczenie rzadkie. Szorstkie, nierówne, czasem wściekle irytujące, ale z własnym kręgosłupem.

Gothic 1 Remake wygląda jak gra po liftingu, ale duszę ma nadal poobijaną i upartą. I chyba właśnie dlatego, mimo wszystkich wad, trudno ją zignorować. To nie jest remake, który chce wszystkim zrobić dobrze. To remake, który zaprasza do kolonii, zamyka za nami Barierę i mówi: radź sobie. A potem, po wielu godzinach bólu, nagle okazuje się, że właśnie o to chodziło.

Górnicza Dolina wygląda dziś znacznie lepiej, ale nadal ma w sobie tę samą nieprzyjemną energię miejsca, w którym nikt nie pyta o samopoczucie nowego więźnia.

WERDYKT

PLUSY Świetnie odtworzona atmosfera. Satysfakcjonująca progresja. Świat, który istnieje niezależnie od gracza. Charakter frakcji. Dużo systemów.

MINUSY Bardzo trudny i powolny początek. Nadal niezgrabna walka. Liczne bugi, crashe i problemy z AI. Animacje i technikalia. Na konsolach tylko 30 fps.

NASZYM ZDANIEM *Gothic 1 Remake* to piękny, brudny i niewygodny powrót do RPG-ów, które nie pytały, czy mamy czas, tylko sprawdzały, czy mamy charakter.

OCENA **73**

eprasa.pl 7056b98f47

DIVINITY: OS 2 – DEFINITIVE EDITION

STARY GRZECH, ŚWIEŻA POKUSA

Di*vinity: Original Sin 2* ma już dziewięć lat, w międzyczasie ukazując się na kolejne konsole w praktycznie niezmienionej formie. Dzieło Larian Studios starzeje się jak dobra planszówka, do której wraca się z lekkim lękiem, a potem nagle mija sześć godzin i okazuje się, że ktoś podpalił kałużę krwi, obraził gada-arystokratę i przez przypadek rozpoczął wojnę z połową miasta.

Dziś na Divinity patrzy się oczywiście przez cień *Baldur's Gate 3*. To naturalne, ale trochę niesprawiedliwe. Łatwo uznać *Original Sin 2* za próbę generalną przed wielkim triumfem Larian, tymczasem to nie jest szkic zapisany na serwetce. To pełny, ogromny, ambitny RPG, który już wtedy pokazywał, że wolność gracza nie polega na trzech kolorach zakończenia, tylko na tym, że gdy widzisz zamknięte drzwi, gra naprawdę dopuszcza myśl, że możesz je otworzyć, wyważyć, obejść, podpalić pół pokoju, teleportować klucz albo uznać, że życie jest zbyt krótkie na drzwi i znaleźć inną drogę.

Zaczyna się klasycznie – więzienie, podejrzana magia i świat, który uznał, że zwykły kryzys egzystencjalny to za mało. Jesteśmy Sourcererem, osobą władającą mocą Source, a ponieważ jej używanie przyciąga paskudztwa zwane Voidwoken, porządek publiczny postanawia zamknąć wszystkich potencjalnie kłopotliwych ludzi na wyspie Fort Joy. Sama nazwa brzmi jak wakacyjna oferta przygotowana przez sadystycznego copywritera, ale szybko okazuje się, że Divinity nie interesuje się prostym podziałem na dobrych więźniów i złych strażników. Tu niemal każdy ma swoje racje, winy, lęki i bardzo konkretne powody, by komuś wbić nóż pod żebra.

Najlepiej widać to w drużynie. Możemy stworzyć własnego bohatera, ale gra najmocniej działa wtedy, gdy wybierzemy jedną z gotowych postaci albo zaprosimy je do ekipy. Czerwony Książę ma maniery kogoś, kto nawet w kolejce po bułki oczekuje hołdu lennego, Fane jako nieumarły uczony patrzy na świat z dystansem tak suchym, że mógłby robić support przed Nickiem Cave'em, a reszta obsady również nosi w sobie rany, sekrety i świetnie napisane osobowości. Larian rozumie, że dobra drużyna RPG to nie zestaw klas, tylko grupa ludzi, z którymi po kilkudziesięciu godzinach zaczynamy mieć relację.

Sama gra nie prowadzi nas za rękę. Dziennik bywa mało czytelny, mapa nie zawsze zachowuje się jak przyjaciel, a Divinity potrafi zostawić człowieka z uczuciem, że przegapił jedno zdanie wypowiedziane przez szczura trzy godziny temu. Ale w tym tkwi część uroku. To RPG zakłada, że gracz potrafi pobłądzić, źle zrozumieć sytuację, dostać lanie, przeładować zapis albo żyć z konsekwencjami fatalnej decyzji. W epoce produkcji, które boją się, że odbiorca przez czterdzieści sekund nie będzie wiedział, gdzie iść, taka decyzja działa odświeżająco.

Walka pozostaje jednym z najmocniejszych systemów turowych w grach. Kałuża wody może stać się przewodnikiem prądu. Olej aż prosi się o ogień. Krew można zamrozić, para zmienia widoczność, wysokość terenu daje realną przewagę, a źle ustawiona drużyna potrafi zginąć szybciej niż reputacja celebryty po niefortunnym stories. Każda tura jest małym ćwiczeniem z planowania, improwizacji i gaszenia pożaru, często dosłownie. Zwycięstwo rzadko wynika tu z samego poziomu postaci. Częściej z tego, że zauważyliśmy beczkę, dach, świecę albo absurdalnie głupi pomysł, który jakimś cudem zadziałał.



Na PlayStation ta złożoność ma swoją cenę. Sterowanie padem jest dobre, czasem zaskakująco sensowne, ale nigdy nie da się zapomnieć, że to gra, która mentalnie urodziła się przy myszy i klawiaturze. Radialne menu, ekwipunek, ustawianie umiejętności i celowanie w zatłoczonych potyczkach działają, tylko wymagają cierpliwości. W 2026 roku to właśnie interfejs, nie oprawa, najmocniej zdradza wiek gry.

Czy warto więc dziś sięgnąć po *Divinity: Original Sin 2 – Definitive Edition*? Tak, zdecydowanie. Nie jako po „starsze *Baldur's Gate 3*" ani muzealny eksponat sprzed triumfu Larian, tylko jako po jedną z najbogatszych i najbardziej inteligentnych gier RPG ostatniej dekady. Czasem skrzypi w menu, czasem przytłacza skalą, ale nadal daje coś, czego w wielu nowych grach brakuje: poczucie, że świat naprawdę reaguje na naszą ciekawość, śmiałość i głupie pomysły.

WERDYKT

PLUSY Ogromna swoboda rozwiązywania zadań. Świetny, systemowy model walki. Znakomite postacie. Pełen charakteru świat. Bardzo duża zawartość i wysoka regrywalność.

MINUSY Sterowanie padem bywa mniej naturalne niż mysz i klawiatura. Interfejs oraz ekwipunek potrafią męczyć.

NASZYM ZDANIEM Dziewięć lat później *Divinity: Original Sin 2* nadal jest jak dobrze rzucony czar obszarowy: trochę chaotyczne, miejscami niebezpieczne, ale gdy zadziała, trudno nie patrzeć z zachwytem.

OCENA **89**

MINA THE HOLLOWER

MYSZ, KTÓRA ZAKOPAŁA NOSTALGIĘ

T3 PLAYSTATION | PC | XBOX

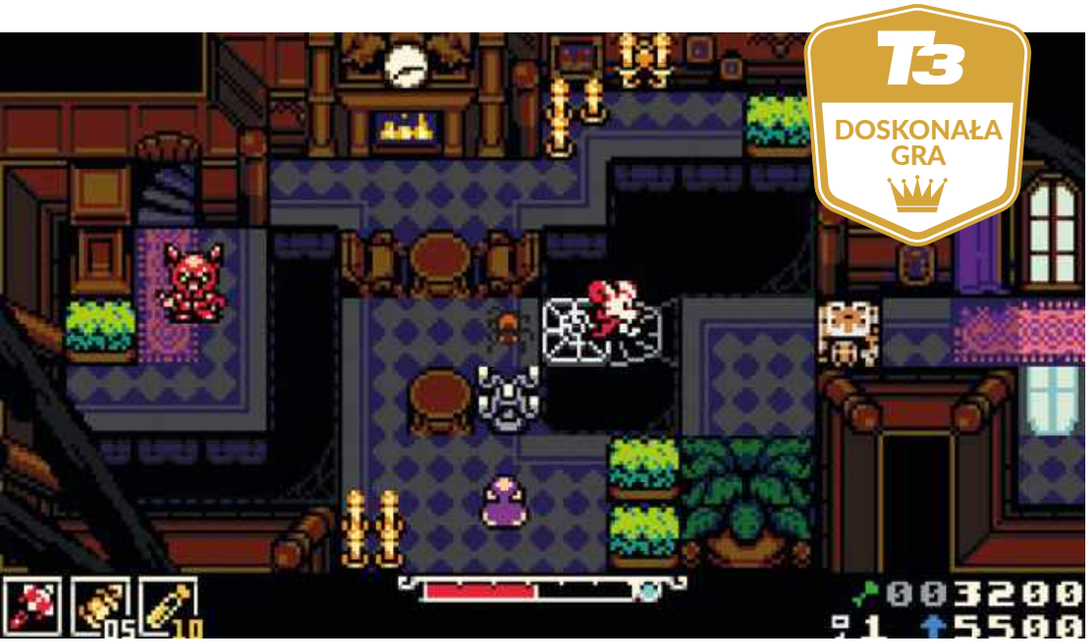
Yacht Club Games mogło przez kolejne lata dopisywać nowe rozdziały do historii *Shovel Knighta*. Zamiast tego studio zrobiło coś znacznie ciekawszego: wróciło do estetyki Game Boya Color, ale nie po to, żeby postawić przed oczami wypolerowaną gablotkę z nostalgią. *Mina the Hollower* wygląda jak gra z innej epoki, lecz działa z bardzo współczesną pewnością siebie. To nie jest retro-cosplay. To raczej dowód, że dawny język gier wciąż może mówić nowe rzeczy, jeśli ktoś naprawdę pamięta jego gramatykę.

Mina, mysia wynalazczyni i Hollowerka, trafia na Tenebrous Isle, gdzie stworzone przez nią Spark Towers miały przynieść światło, porządek i cywilizacyjny oddech. Oczywiście, jak to bywa z technologią w grach i w życiu, coś poszło nie tak. Wieże zawodzą, wyspę opanowują potworności, a opowieść o postępie zaczyna brzmieć mniej jak folder inwestycyjny, a bardziej jak ostrzeżenie napisane na odwrocie rachunku za prąd. Gra nie zamienia tego tematu w publicystykę z pikselowym filtrem, ale dyskretnie rozprowadza go po świecie.

Na papierze to mieszanka gameboyowej Zeldy, trochę Castlevanii, trochę *Bloodborne'a*, gotyckiego klimatu, myszy z biczem i podziemnego nurkowania. W praktyce wszystko trzyma się zaskakująco spójnie, bo najważniejsza umiejętność Miny – kopanie – nie jest ozdobnikiem. To fundament ruchu, walki i eksploracji. Bohaterka może zniknąć pod ziemią, ominąć atak, prześlizgnąć się przez przeszkody, znaleźć skrót albo wyjść przeciwnikowi za plecami. Po kilkunastu minutach zaczynasz patrzeć na podłoże jak na drugi ekran, alternatywną warstwę świata, prywatną drogę ewakuacyjną dla graczy, którzy lubią jeszcze przez chwilę udawać, że wszystko mają pod kontrolą.

Walka jest szybka, szorstka i znacznie bardziej wymagająca, niż sugerowałyby urocze piksele. Mina korzysta z różnych broni, subbroni i przedmiotów, ale gra nie zachęca do znalezienia jednej konfiguracji i odhaczania przeciwników jak maili po urlopie. Trzeba czytać przestrzeń, reagować na układ wrogów i akceptować fakt, że czasem porażka nie jest błędem systemu, tylko bardzo bezpośrednią informacją zwrotną. Bossowie potrafią karać za pychę, zwykli przeciwnicy wymagają uwagi, a środowisko często jest równie niebezpieczne jak wszystko, co ma zęby, oczy albo podejrzanie dużo odnóży.

Najmądrzejsze jest to, że *Mina the Hollower* pozwala regulować doświadczenie za pomocą modyfikatorów. Można zmniejszyć obrażenia, ułatwić ruch albo po prostu ustawić grę bliżej własnej cierpliwości. I nie czuć w tym kapitulacji przed trudnością. To raczej elegancki ukłon w stronę graczy, którzy chcą przejść przez ten świat na własnych warunkach. Chcesz cierpieć? Proszę bardzo. Chcesz eksplorować bez zgrzytania zębami? Też dobrze. Rzadko kiedy gra o tak wyraźnym charakterze tak spokojnie oddaje część kontroli odbiorcy.



Tenebrous Isle jest gęste, połączone i pełne małych obietnic. Każdy podejrzany fragment ściany, każda szczelina i każdy skrót wydają się warte zapamiętania. Gra nie prowadzi za rękę, ale też nie myli chaosu z głębią. Jej mapa nie jest listą obowiązków, tylko zbiorem pytań. Co jest za tym przejściem? Czy da się tam wrócić później? Czy ten skok to dobry pomysł? Odpowiedź na ostatnie pytanie bardzo często brzmi: nie, ale i tak sprawdzisz.

Oprawa robi dokładnie to, co powinna. Piksele są czytelne, animacje pełne charakteru, a ograniczona paleta nie spłaszcza świata, tylko nadaje mu ciężar. Do tego dochodzi świetna muzyka Jake'a Kaufmana i gościnny udział Yuzo Koshiro, dzięki którym *Mina the Hollower* potrafi być jednocześnie melancholijna, groźna i dziwnie przytulna.

Nie wszystko działa bez tarcia. Gra bywa uparta, czasem zbyt pewna, że gracz podziela jej cierpliwość, a powroty przez znane lokacje mogą zmęczyć mniej zdeterminowanych. Ale te zastrzeżenia niewiele zmieniają. Yacht Club Games stworzyło bowiem przygodę małą skalą, ale dużą charakterem. *Mina the Hollower* nie odtwarza starej magii. Ona przekopuje się pod nią głębiej i znajduje własny tunel.

WERDYKT

PLUSY Świetny, gęsty świat. Kopanie jako kapitalny pomysł na ruch i walkę. Wymagająca, ale uczciwa rozgrywka. Modyfikatory pozwalające dopasować poziom wyzwania.

MINUSY Momentami potrafi boleśnie podnieść próg wejścia. Oszczędne prowadzenie za rękę nie każdemu podejdzie. Powroty przez znane lokacje bywają lekko męczące.

NASZYM ZDANIEM Mała mysz, wielka przygoda i rzadki przypadek gry retro, która zamiast udawać dawny klasyk, spokojnie zaczyna zachowywać się jak nowy.

OCENA **91**

eprasa.pl 7056b98f47

Öoo

GĄSIENICA, KTÓRA MYŚLI LONTEM

T3 PLAYSTATION | PC | XBOX

Öoo brzmi jak żart wymyślony podczas rozmowy ludzi, którzy za długo siedzieli przy GameMakerze i za mało spali. Gramy małą, uroczą gąsienicą, której kolejne segmenty ciała są bombami. Nie ma tu klasycznego skoku, efektownych kombosów, rozbudowanego drzewka umiejętności ani tej całej współczesnej menażerii ikonek.

Początkowo *Öoo* tłumaczy się prawie dziecinnie prosto. Kładziesz bombę, ustawiasz się po odpowiedniej stronie wybuchu i pozwalasz fizyce zrobić resztę. Chcesz dostać się wyżej – eksplozja pod tobą. Chcesz przeskoczyć w bok – stajesz przy bombie z właściwej strony. W pierwszych minutach można odnieść wrażenie, że to sympatyczny mikroplatformer z jednym dobrym pomysłem, który zaraz zacznie się powtarzać. A potem gra spokojnie pokazuje, że ten jeden pomysł ma więcej odcieni niż niejedna wielka produkcja z budżetem na motion capture, orkiestrę i trzy zwiastuny o „emocjonalnej podróży".

Najciekawsze w *Öoo* jest to, że ona podszywa się pod metroidvanię, ale nie działa jak typowa metroidvania. Owszem, mamy mapę, zamknięte przejścia, miejsca, do których na początku nie potrafimy dotrzeć, oraz poczucie, że świat układa się w mały labirynt. Tyle że postęp rzadko wynika tu z otrzymania nowej zabawki. Druga bomba pojawia się stosunkowo szybko i właściwie na niej kończy się klasyczne „rozszerzanie arsenału". Dalej rozwija się już nie bohater, tylko gracz. Wracasz do wcześniejszego miejsca i nagle widzisz, że przeszkoda nie była blokadą techniczną, lecz ograniczeniem twojej wyobraźni. To bardzo elegancki trik, bo gra nie mówi: „masz nową umiejętność, idź tam". Ona mówi raczej: „teraz już powinieneś rozumieć, że zawsze mogłeś to zrobić".

Dwie bomby zmieniają wszystko. Można układać je jedna na drugiej, odpalać w kolejności, wykorzystywać jedną do wybicia siebie, drugą do poprawienia trajektorii albo do przepchnięcia obiektu w miejsce, które jeszcze chwilę wcześniej wyglądało jak dekoracja. Zagadki potrafią wykorzystywać portale, przełączniki, niszczalne ściany, żaby blokujące przejścia i muchy, które trzeba doprowadzić tam, gdzie gra sobie tego życzy. *Öoo* ma rzadką umiejętność uczenia bez tablicy szkolnej. Nie zatrzymuje akcji, nie rozpisuje tutoriali i nie traktuje gracza jak człowieka, który w 2026 roku pierwszy raz zobaczył pada. Po prostu układa przestrzeń tak, żebyś sam odkrył regułę, a potem, zanim zdążysz się nią nacieszyć, każe ci użyć jej w lekko nowym kontekście.

To level design z gatunku tych, przy których chce się westchnąć: „no dobrze, ktoś tu naprawdę wiedział, co robi". Jej siła polega na tym, że prawie nic nie jest tu przypadkowe. Checkpointy stoją tam, gdzie powinny. Śmierć nie irytuje, bo nie zabiera czasu. Kiedy trzeba eksperymentować, gra nie zmusza do długich powrotów przez znane ekrany. Kiedy zagadka wymaga ryzyka, ryzykujesz pomysł, a nie własną cierpliwość.

Oprawa też działa, bo nie próbuje wygrać konkursu na nostalgiczny filtr. *Öoo* ma retro charakter, pikselową prostotę i bohatera, który wygląda dokładnie jak tytuł gry – umlaut robi za czułki, litery za segmenty ciała. Oczywiście ma też drugą stronę: nazwa jest świetna, dopóki nie próbujesz komuś powiedzieć, co właśnie polecasz.

Na minus zaliczam timing – ma trochę zbyt duże znaczenie i pojawiają się fragmenty, w których czysta logika ustępuje miejsca wykonaniu. *Öoo* to raczej zwarte, błyskotliwe ćwiczenie z jednego pomysłu, rozpisane na serię coraz bardziej sprytnych wariacji. Bliżej mu do świetnej etiudy niż do symfonii.

W czasach, gdy wiele gier zachowuje się tak, jakby większa liczba systemów automatycznie oznaczała większą głębię, *Öoo* przypomina, że czasem wystarczy jedna mechanika, jeśli ktoś potrafi ją naprawdę zrozumieć. To gra mała, ale nie drobna. Taka, która zaczyna się od eksplodującej gąsienicy, a kończy na cichym przekonaniu, że projektowanie poziomów nadal bywa jedną z najbardziej eleganckich form myślenia w grach.



WERDYKT

PLUSY Genialnie czysty pomysł mechaniczny. Świetny projekt zagadek. Krótka, zwarta forma.

MINUSY Kilka fragmentów wymaga więcej precyzji niż myślenia. Może rozczarować osoby oczekujące pełnej metroidvanii.

NASZYM ZDANIEM *Öoo* to mała bomba – wygląda niepozornie, wybucha pomysłowością i zostawia gracza z przyjemnym wstydem, że nie wpadł na coś wcześniej.

OCENA **86**

eprasa.pl 7056b98f47

PLANESCAPE: TORMENT AND ICEWIND DALE: ENHANCED EDITIONS

DWA PORTALE, JEDEN BEZIMIENNY

T3 PLAYSTATION | XBOX

***Planescape: Torment and Icewind Dale: Enhanced Editions* to zestaw, przy którym recenzent zaczyna podejrzewać, że ocena punktowa jest formą przemocy. Bo jak właściwie ocenić dwie gry sprzed ponad dwóch dekad, wydane ponownie siedem lat temu, dziś trafiające na biurko nie jako gorąca premiera, lecz jako kapsuła czasu z czasów, gdy RPG-i nie bały się ani tekstu, ani tabelek, ani tego, że gracz będzie musiał przez kwadrans czytać rozmowę z latającą czaszką? Można oczywiście machnąć ręką i powiedzieć: klasyka, proszę klękać. Można też obrazić się, że interfejs skrzypi, animacje są sztywne, a tempo momentami przypomina kolejkę na poczcie w grudniu. Prawda, jak zwykle, siedzi gdzieś pośrodku, zapewne w Sigil, między jednym wymiarem a drugim.**

Ten pakiet łączy dwie gry o wspólnym rodowodzie, ale zupełnie innym temperamencie. *Icewind Dale* (80/100) jest bardziej tradycyjną kampanią Dungeons & Dragons: drużyna, śnieg, tawerna, wyprawa, potwory i walka, która lubi sprawdzić, czy naprawdę rozumiesz, co znaczy rzut obronny. To klasyczna fantasy wyprawa w grubych butach, z mieczem w dłoni i termosem cierpliwości. Nie ma w niej takiej literackiej ekstrawagancji jak w drugim tytule z zestawu, ale ma rytm starego, dobrego dungeon crawlera, który nie przeprasza za to, że wymaga planowania. Tworzenie drużyny, ustawianie formacji, pauzowanie walki, pilnowanie magów i łotrzyków – wszystko to nadal daje satysfakcję, choć bywa też brutalnym przypomnieniem, że dawniej „przystępność" oznaczała najwyżej to, że instrukcja miała mniej niż sto stron.

Planescape: Torment (95/100) jest zupełnie inną bestią. Formalnie to ten sam izometryczny świat AD&D, ale duchowo bliżej mu do filozoficznej powieści niż do klasycznej przygody o ratowaniu świata przed wielkim złym czymś. Budzimy się jako Bezimienny w kostnicy, nie wiemy kim jesteśmy, nie umiemy porządnie umrzeć, a pierwszym sensownym towarzyszem zostaje pyskata czaszka Morte. Już ten zestaw mówi sporo: to gra, która od pierwszych minut nie chce być wygodną fantazją o bohaterstwie. Bardziej interesuje ją pamięć, wina, tożsamość i pytanie, ile razy można zacząć od nowa, zanim przestanie się być sobą. Brzmi ciężko, ale *Planescape* ma też cudownie czarny humor, absurd i dziwność, której nie da się podrobić samym „ambitnym scenariuszem". To świat, w którym metafizyka idzie pod rękę z groteską, a rozmowa potrafi być ważniejsza niż walka. Wystarczy powiedzieć, że tekstu w grze jest około 800 tysięcy słów. Dla porównania wszystkie części Harry'ego Pottera razem wzięte to 1,1 miliona słów.

I właśnie dlatego ten zestaw jest nierówny, ale fascynujący. *Icewind Dale* pokazuje, jak sprawnie działała klasyczna szkoła komputerowego D&D, gdy najważniejsze były drużyna, taktyka i zimny wiatr w uszach. *Planescape: Torment* pokazuje, że gry już w 1999 roku potrafiły opowiadać rzeczy, których kino i literatura nie musiałyby się wstydzić. Różnica polega na tym, że dziś pierwsza gra broni się głównie jako solidna przygoda dla cierpliwych fanów gatunku, a druga nadal potrafi zrobić w głowie małe trzęsienie ziemi. Nie dlatego, że dobrze się zestarzała we wszystkim. Nie. Zestarzała się. Ale jej najważniejsze organy nadal pracują.





Enhanced Editions są remasterami w znaczeniu bardzo użytkowym. Nie przebudowują tych gier od fundamentów, nie zakładają im nowej twarzy i nie udają, że mamy do czynienia z czymś współczesnym. Dają wyższą rozdzielczość, wygodniejsze skalowanie, poprawki jakości życia, lepszą kompatybilność, pełne dodatki oraz odrestaurowane, wycięte fragmenty. Na konsoli można dodatkowo obsłużyć gry padem. Nie zawsze elegancko, nie zawsze intuicyjnie, czasem z uczuciem, że próbujemy jeść ramen rękawicami bokserskimi, ale da się. Menu bywa toporne, zarządzanie drużyną wymaga przyzwyczajenia, a stare filmiki wyglądają na dużym ekranie tak, jak wspomnienia z podstawówki oglądane w 4K: wzruszająco, ale bezlitośnie.

W tym tkwi siła tego pakietu. To nie jest propozycja dla każdego, choć paradoksalnie każdy, kto interesuje się historią RPG-ów, powinien przynajmniej spróbować. Remaster nie czyni z nich produkcji nowoczesnych. Czyni je grywalnymi. I w tym przypadku to wystarcza, żeby zrozumieć, dlaczego legenda nadal oddycha.

WERDYKT

PLUSY *Planescape: Torment* wciąż należy do najwybitniej napisanych RPG-ów w historii. Pełna zawartość obu gier. Klimat, dialogi i świat.

MINUSY Interfejs i obsługa padem bywają toporne. Tempo oraz systemy mogą odstraszyć nowych graczy. Niepotrzebne łączenie dwóch produkcji.

NASZYM ZDANIEM To zestaw, który nie wygrywa z czasem na pięści, tylko siada z nim przy stole, zamawia coś mocnego i zaczyna rozmowę o tym, kim byliśmy, zanim zdążyliśmy się zestarzeć.

OCENA **89**

eprasa.pl 7056b98f47

BLACK JACKET

PIEKŁO MA 21 PUNKTÓW

T3 PLAYSTATION | PC | XBOX

W mitologii Charon był raczej typem usługowym: moneta, łódka, przeprawa, proszę nie machać rękami, jesteśmy na wodzie. *Black Jacket* dopowiada jednak, że staruszek mógł mieć znacznie bardziej elastyczny cennik. Jeżeli zapłacimy odpowiednio dużo, może zamiast wozić dusze w jedną stronę, zawróci i odstawi nas z powrotem do świata żywych. Problem polega na tym, że po śmierci człowiek zwykle nie ma przy sobie ani portfela, ani aplikacji bankowej, ani nawet sensownego planu emerytalnego. Zostaje więc hazard.

Gramy w blackjacka przeciwko potępionym duszom, zbieramy pieniądze na przeprawę, rozwijamy własną talię, oszukujemy, ryzykujemy i liczymy, że tym razem 21 okaże się nie tylko liczbą, ale też furtką ewakuacyjną z piekła.

Podstawowe zasady są znajome – chodzi o to, by zbliżyć się do 21 punktów i nie przebić. Karty numeryczne mają swoje wartości, figury liczą się jako 10, as może być 1 albo 11, zależnie od tego, co w danej chwili mniej nas pogrąża. Różnica polega na tym, że każdy gracz korzysta z własnej talii, a zwycięstwo w pojedynczym rozdaniu nie kończy sprawy. Prawdziwym celem jest wyczyszczenie przeciwnika z żetonów. Dopiero gdy ktoś zostaje bez grosza, cały łup trafia do zwycięzcy, a my możemy ruszyć dalej po rozgałęzionej mapie.

I właśnie tam *Black Jacket* przestaje być ciekawostką, a zaczyna być grą. Po drodze trafiamy na kolejne pojedynki, sklepy, wydarzenia i okazje do rozbudowy talii. Kupujemy nowe karty, pozbywamy się niepotrzebnych, wzmacniamy te lepsze i stopniowo odkrywamy, że uczciwa gra jest tu mniej więcej tak sensowna jak oszczędzanie many na ostatniego bossa, który i tak zaraz ukradnie nam pół ekwipunku. Karty mogą zyskiwać specjalne efekty: jedna pozwala podejrzeć następny ruch, inna zmienia wartość zależnie od sytuacji, kolejna może mieć oznaczony rewers, dzięki czemu wiemy, co za chwilę dobierzemy.

Najciekawsze są jednak karty Hollow. Można z nich korzystać normalnie, ale ich prawdziwa siła polega na tym, że przyjmują inne karty, budując kombinacje i efekty warstwowe. Liczenie punktów nadal jest ważne, ale z czasem przestaje być centrum zabawy. Coraz częściej wygrywa nie ten, kto ma szczęście do dobierania, lecz ten, kto zbudował talię zdolną do paskudnych, eleganckich manipulacji.

Do tego dochodzą same stoły, które nie są wyłącznie dekoracją. Mają własne pola i efekty, aktywowane przez zagrywanie kart w konkretnych miejscach albo poświęcanie żetonów. Dzięki temu liczy się nie tylko, co kładziemy na blat, ale też gdzie.

Bossowie są odpowiednio wredni. Mają mocne talie, potrafią kraść lub niszczyć nasze karty, a czasem zapychają rękę śmieciami tylko po to, by popsuć starannie układany plan. Nie jest to subtelne, ale piekło raczej nie słynie z dobrych manier. Gra dobrze sprzedaje ten klimat również wizualnie. Ilustracje są brudne, niepokojące, lekko obmierzłe, interfejs trzyma się mrocznego tonu, a krótkie prezentacje przeciwników dodają całości charakteru.

Największy problem polega na tym, że *Black Jacket* nie zawsze potrafi ukryć swoje roguelite'owe pochodzenie. Grinding jest częścią układu. Żeby zbudować naprawdę konkurencyjną talię, trzeba rozegrać swoje, powtarzać schematy, uczyć się zależności i czasem patrzeć, jak dobrze zapowiadający się run idzie do piachu, bo fortuna akurat przypomniała sobie, że jest ślepa, a nie sprawiedliwa. Można dobrze planować, można mieć pomysł na talię, można wyciągać z systemu naprawdę sprytne kombinacje, a potem i tak dostać po głowie serią kart, która wygląda jak interwencja księgowego z zaświatów.

Nie pomaga też fakt, że niektóre partie zaczynają się do siebie upodabniać. System jest głębszy, niż sugeruje pierwsze wrażenie, ale nie każda nowość realnie zmienia rytm gry.

Black Jacket ma jednak jedną ważną zaletę: bardzo szybko daje poczucie, że prosty pomysł został naprawdę przemyślany. Najlepsze momenty przychodzą wtedy, gdy przestajemy grać jak w kasynie, a zaczynamy grać jak ktoś, kto wie, że w piekle regulamin jest tylko sugestią.



WERDYKT

PLUSY Świetny pomysł. Dużo miejsca na kombinowanie. Atmosfera.

MINUSY Grinding. Losowość w końcówkach potrafi zirytować. Część partii jest do siebie zbyt podobna.

NASZYM ZDANIEM *Black Jacket* to blackjack po podpisaniu cyrografu – prosty przy wejściu, podstępny po kilku rozdaniach.

OCENA **80**

eprasa.pl 7056b98f47

BUGONIA

KOSMICI W DZIALE HR

sky SHO

T3 PREMIERA | Już dostępne



W *Bugonii* apokalipsa zaczyna się od pszczół. Nie od wielkiego wybuchu, nie od komunikatu prezydenta, nie od statków nad Białym Domem, tylko od ula, chorej matki, fatalnej pracy i chłopaka, który zbyt długo siedział sam ze swoimi myślami oraz internetem. Yorgos Lanthimos bierze punkt wyjścia z koreańskiego *Save the Green Planet!* z 2003 roku i przenosi go w świat, w którym teoria spiskowa nie jest już hobby człowieka w foliowej czapce, ale jednym ze sposobów radzenia sobie z rzeczywistością, która i bez kosmitów wygląda jak źle napisany eksperyment społeczny.

Teddy, grany przez Jessego Plemonsa, pracuje w farmaceutycznej korporacji i wierzy, że jej szefowa, Michelle Fuller, jest przybyszką z galaktyki Andromedy. Razem z kuzynem Donem porywa ją, goli jej głowę i zamyka w piwnicy, bo przecież trzeba jakoś powstrzymać koniec świata. Na papierze brzmi to jak czarna komedia o szaleństwie. Na ekranie szybko robi się mniej wygodnie, bo Lanthimos nie pozwala nam ustawić się po żadnej bezpiecznej stronie. Teddy jest groźny i zagubiony, śmieszny w ten okropny sposób, w jaki śmieszni bywają ludzie, których nikt już nie słucha. Michelle, grana przez Emmę Stone, jest ofiarą porwania, ale też przedstawicielką świata, który potrafi wyrządzić krzywdę, a potem nagrać o tym miękki filmik wewnętrzny z hasłem o nowej kulturze pracy.

Najlepsze w *Bugonii* jest zderzenie piwnicy z salą konferencyjną. Brud, pot, strach i paranoja spotykają język korporacyjnej empatii, w którym wszystko da się „przepracować", „zdywersyfikować" i „skomunikować", byle nie zmienić zbyt wiele. Lanthimos ma oko do absurdów władzy, ale nie pisze satyry z pozycji wygodnego mędrca, który pokazuje palcem, kto jest głupi. Raczej zamyka bohaterów w dusznym terrarium. Z jednej strony jest człowiek, który próbuje nazwać własną krzywdę. Z drugiej kobieta, która świetnie wie, jak działa przewaga: ton głosu, status, pieniądze, prawnicy, kalendarz wypełniony spotkaniami. Oboje są przerażający. Oboje mają chwilami rację. I to jest dopiero nieprzyjemne.

Emma Stone po raz kolejny pokazuje, dlaczego jej współpraca z Lanthimosem stała się jedną z ciekawszych aktorsko-reżyserskich relacji współczesnego kina. Po *Biednych istotach* mogłoby się wydawać, że trudno będzie ją jeszcze bardziej rozbroić przed kamerą, a jednak *Bugonia* robi to inaczej: odbiera jej fryzurę, kontrolę, fasadę i zostawia twarz, która musi walczyć o przetrwanie każdym mikroruchem. Plemons jest dla niej idealnym kontrapunktem. Nie gra wariata z mema, tylko człowieka, który zapadł się pod ciężarem gniewu, samotności i prywatnej tragedii. Aidan Delbis jako Don wnosi do tego układu coś delikatniejszego – przypomnienie, że w takich historiach najbardziej cierpią często ci, którzy nie wymyślili żadnej ideologii, tylko komuś zaufali.

Formalnie to Lanthimos bardziej przystępny niż w *Rodzajach życzliwości*, ale nadal wystarczająco kwaśny, żeby nie pomylić go z thrillerem dla widza, który chce tylko zgadnąć, kto ma rację. Robbie Ryan fotografuje ten świat jak miejsce jednocześnie zwyczajne i chore, a muzyka Jerskina Fendriksa nadaje banalnym czynnościom rangę opery o końcu gatunku. Jazda rowerem po pracy, wyjęcie plastra miodu, korytarz korporacyjnego biura – wszystko ma tu ciężar większy, niż powinno.

Bugonia nie jest subtelna, ale subtelność bywa luksusem dla ludzi, którzy nie muszą krzyczeć. Lanthimos opowiada o epoce, w której gniew klasy pracującej, korporacyjna obojętność, kryzys ekologiczny i internetowa gorączka mieszają się w jeden toksyczny miód. Można się śmiać, oczywiście. Nawet trzeba, bo inaczej ta konstrukcja byłaby nie do zniesienia. Ale to śmiech z gatunku tych, po których człowiek sprawdza, czy przypadkiem nie ma na sobie cudzej krwi.



eprasa.pl 7056b98f47

ADAPTERY PODRÓŻNE

Zanim ruszysz na urlop, spakuj jednego z tych małych pomocników, żeby twoja technologia była gotowa na zwiedzanie świata.

Tekst | **Marcin Kubicki** Zdjęcia | **Phil Barker**



TESSAN TRAVEL ADAPTER 21W

Adapter podróżny Tessan wyraźnie przypomina model Epicka. Dostajesz kompatybilność z wieloma krajami, z wysuwanymi wtyczkami dla UE, Wielkiej Brytanii, USA i Australii. Nie ma tu technologii GaN, więc trzeba zadowolić się skromną mocą 21 W, ale w zamian dostajesz dwa porty USB-A i dwa USB-C, a cena jest rozsądna.

109 PLN, www.tessan.com



eprasa.pl 7056b98f47

EPICKA TA-105 MAX WORLD TRAVEL ADAPTER

Jeśli często podróżujesz i żonglujesz kilkoma urządzeniami naraz, TA-105 jest bardzo ciekawym wyborem. Ten kompaktowy adapter oferuje zgodność z gniazdkami na całym świecie, z wyjątkiem typów D i M, pozwalając ładować nawet sześć urządzeń jednocześnie, także w trybie szybkiego ładowania. Solidna konstrukcja i przemyślany projekt – z eleganckim etui transportowym, bezpiecznikiem 8 A i przesłonami ochronnymi – sprawiają, że to niezawodny towarzysz podróży.

219 PLN, www.epickatech.com



eprasa.pl 7056098[illegible]

NATIVE UNION INTERNATIONAL FAST GAN CHARGER PD 67W (3 PORTS)
Ładowarka GaN od Native Union jest kompaktowa, estetyczna i dostępna w czerni albo bieli, więc łatwo dobrać ją do własnego zestawu. Ma tylko trzy porty, ale co ważne, dwa z nich to USB-C, a trzeci to USB-A. Do tego dostajesz solidną moc 67 W, więc urządzenia wrócą do życia w krótkim czasie. Zaskakuje natomiast, że przy tej cenie nie ma składanych bolców – są tylko międzynarodowe adaptery dla USA, UE i Wielkiej Brytanii.
199 PLN, www.nativeunion.com



eprasa.pl 7056b98f47

UGREEN TRAVEL PLUG ADAPTER WITH 4-IN-1 USB CHARGING PORTS

Prosta i niedroga opcja bez zbędnych dodatków. Podróżny adapter UGREEN ma wymienne końcówki wtyczek dla USA, Wielkiej Brytanii i UE zamiast składanych bolców, a w zestawie nie ma etui transportowego. Dostajesz jednak technologię GaN do szybkiego ładowania, choć moc 30 W nie jest szczególnie imponująca, a dwa porty USB-A i pojedyncze USB-C to raczej minimum, jeśli chodzi o zasilanie podróżnej elektroniki.

89 PLN, www.ugreen.com



eprasa.pl 7056b98f47



PODKRĘĆ *kolor*

Nie po to świat ma więcej barw niż czarny i biały, żeby wszystkie nasze gadżety wyglądały jak wyposażenie sali konferencyjnej. Wybieramy najlepszą technologię zanurzoną w kolorze.

Tekst | **Marcin Kubicki** Zdjęcia | **Phil Barker**

eprasa.pl 7056b98f47

Złoty strzał

1. BERGHAUS RAIN-MOTION
Superlekka, wodoodporna kurtka od Berghausa. Marka wykorzystała tu 3-warstwowy materiał Pertex Shield z wodoodpornością na poziomie 20 000 mm słupa wody. Lekka tkanina zewnętrzna, membrana i trwałe wykończenie hydrofobowe bez PFC sprawiają, że jesteś gotowy na więcej, niż zakładała prognoza pogody. W tej wersji kolorystycznej trudno będzie cię przeoczyć – niezależnie od tego, czy zdobywasz szczyty, czy po prostu próbujesz nie przemoknąć na festiwalu.
1 189 PLN, www.berghaus.com

2. DALI KUPID
Uroczy, kompaktowy głośnik pasywny z 26-milimetrową, miękką kopułką wysokotonową i 4,5-calowym wooferem z włókna drzewnego, który gra znacznie pełniej, niż sugerowałyby jego niewielkie rozmiary. Obudowę wytłumiono od środka, żeby ograniczyć rezonanse, a tylne porty basowe pomagają zejść niżej, bez zamieniania mniejszych pomieszczeń w dudniące pudło. Jeśli żółty nie jest twoim kolorem, Kupid występuje też w czterech innych odcieniach.
1 498 PLN/para, www.salonydenon.pl

3. ORIS BIG CROWN POINTER DATE
Automatyczny zegarek mechaniczny z charakterystyczną dla Orisa komplikacją, w której centralna wskazówka pokazuje datę na skali biegnącej wokół tarczy. Koperta ze stali nierdzewnej i wypukłe szkło szafirowe dodają całości odporności każdego dnia. Przez transparentny dekiel można podejrzeć mechanizm z automatycznym naciągiem, ale to słonecznie żółta tarcza najmocniej przyciąga wzrok, szczególnie w kontraście z chłodną, perfekcyjnie wykończoną stalą.
9 390 PLN, www.oris.ch



eprasa.pl 7056b98f47

Zachód słońca

1. MOCCAMASTER KBG SELECT

Po raz pierwszy pokazany w 1969 roku, wciąż produkowany w Holandii, ten kofeinowy klasyk parzy pełny dzbanek 1,25 l w około sześć minut, utrzymując temperaturę wody w idealnym przedziale między 92 a 96°C. Miedziany element grzewczy zaprojektowano z myślą o długowieczności, a ręczny przełącznik pozwala przygotować pół dzbanka albo całość. Jest prosty, łatwy w naprawie i dostępny w 20 kolorach, jeśli akurat pomarańczowy nie przypadnie ci do gustu.

999 PLN, www.moccamaster.eu

2. NUTRIBULLET X MCLAREN PORTABLE

Gadżet na moment, w którym Lando zaczyna domagać się smoothie z masłem orzechowym, awokado i nasionami chia. Kompaktowy blender w barwach McLarena wytrzymuje ponad 15 cykli blendowania na jednym ładowaniu, ma ostrza ze stali nierdzewnej do rozprawiania się ze świeżymi składnikami i 100 W mocy, żeby bez dramatu przygotować także odżywkę białkową. Pokrywka z ustnikiem pozwala zblendować i pić z tego samego pojemnika – choć, dla porządku, nie jednocześnie.

169 PLN, www.nutribullet.com



eprasa.pl 7056b98f47

Wschód nadziei



3

3. BASEUS INSPIRE XH1

Baseus Inspire XH1 w wersji pomarańczowej to słuchawki dla tych, którzy lubią, kiedy sprzęt audio nie wygląda jak rekwizyt z open space'u. Pomarańczowo-miedziane wykończenie robi tu pół roboty: jest ciepłe, odważne, ale pod spodem kryje się też całkiem poważny zestaw możliwości. Na pokładzie są aktywna redukcja szumów, tryb dźwięków otoczenia, Hi-Res Audio, LDAC, Dolby Audio oraz technologia Sound by Bose, więc Baseus nie próbuje sprzedawać samego koloru w ładnym pudełku. 35-milimetrowe przetworniki grają szeroko i energicznie, z pasmem przenoszenia od 20 do 40 000 Hz, a Bluetooth 6.1 dba o stabilne połączenie z telefonem albo laptopem. Jest też multipoint dla dwóch urządzeń, dedykowana aplikacja z personalizacją profilu słuchowego i klasyczne przyciski, które bywają bardziej praktyczne niż modne głaskanie paneli dotykowych. Największy konkret? Do 100 godzin pracy na jednym ładowaniu i pełne uzupełnienie energii w około 1,5 godziny. Dorzućmy mikrofon do rozmów, zasięg do 10 metrów i wagę 275 g, a wychodzą słuchawki, które można zabrać w podróż, do pracy, na spacer albo po prostu na kanapę, kiedy świat znów uzna, że ma coś bardzo pilnego do powiedzenia. Kolor przyciąga wzrok, ale sens pojawia się wtedy, gdy po kilku dniach nadal nie szukasz ładowarki.

549 PLN, www.baseus.com

eprasa.pl 7056b98f47

Daj zielone światło



1. OSPREY TRANSPORTER DUFFLE 40
Transporter Duffle 40 od Ospreya ma pojemność 40 l, powłokę TPU i jest gotowy znieść zarówno paskudną pogodę, jak i te wszystkie drobne upokorzenia, które podróż funduje bagażowi. Wzmocnione uchwyty i chowane szelki umożliwiają kilka sposobów noszenia, a szeroko otwierana komora główna ułatwia pakowanie i stawia na przestrzeń zamiast walczenia z zamkiem. Dobrze sprawdzi się na krótkie wyjazdy.
619 PLN, www.osprey.com

2. APPLE MACBOOK NEO
Apple stworzyło MacBooka dla mas, który zapowiada się na spory sukces. Neo oferuje wystarczająco dużo wydajności w cenie, która jak na standardy Cupertino wydaje się wręcz podejrzanie rozsądna. Nie jest maszyną do wymagającej dużej ilości zasobów pracy ani dla graczy, ale dla większości użytkowników połączenie czipu A18 Pro, 16 godzin pracy na baterii, ekranu o wysokiej rozdzielczości i masy 1,23 kg może być małym objawieniem.
Od 2 999 PLN, www.apple.com

3. ARC'TERYX SYLAN 2
Flagowe buty trailowe Arc'teryxa powstały, by szybko poruszać się po niemal każdym terenie. Kołyskowa podeszwa środkowa wykorzystuje bardzo responsywną piankę i płytkę z włókna węglowego, która pomaga wybijać krok do przodu, nie odbierając stabilności. Do tego dochodzi solidna warstwa gumy Vibram Megagrip Litebase w podeszwie zewnętrznej. Rezultat – sztywny, efektywny bieg z mocnym zwrotem energii.
955 PLN, www.arcteryx.com

eprasa.pl 7056b98f47

W stronę błękitu



1. SMEG MOC01

Nowoczesna mikrofalówka potrafi dziś znacznie więcej niż tylko podgrzać gotowy obiad i uratować wieczór miską popcornu. Ten 29-litrowy, 900-watowy model Smega nie jest wyłącznie estetycznym przedmiotem w kuchni. Korzysta z technologii inwerterowej, która dba o równomierne podgrzewanie, a cztery tryby można ze sobą łączyć, żeby przygotować posiłek nawet z zamrożonych składników. Jeśli wolisz zdać się na automatykę, do dyspozycji jest 18 programów – od pieczywa po owoce morza.

1 799 PLN, www.smeg.com

2. KANTO UKI

Kompaktowe aktywne głośniki Kanto Uki grają z energią, rozmachem i większym uderzeniem, niż sugerowałby ich sympatyczny wygląd. W każdej obudowie pracuje 3-calowy przetwornik, a całość napędza wbudowany wzmacniacz o mocy szczytowej 100 W, działający w układzie master-slave. Do tego dochodzi streaming przez Bluetooth, wejście analogowe RCA, port USB-C oraz wyjście pre-out, jeśli z czasem uznasz, że na biurku przyda się jeszcze subwoofer.

1 135 PLN, www.kantoaudio.com

3. PRO-JECT COLOURFUL AUDIO SYSTEM 2

Kompletny system hi-fi, który łączy gramofon Debut Evo 2 z napędem paskowym, zintegrowany wzmacniacz MaiA S3 i dopasowane kolumny podstawkowe Speaker Box 5 S2. Zestaw daje analogowy urok winylu, ale nie obraża się na wygodę Bluetooth. Poszczególne elementy nie są tylko dobrane kolorystycznie. Zostały skonfigurowane tak, żeby dobrze ze sobą współpracować i zdjąć z ciebie cały ten stres związany z budowaniem systemu od zera.

8 449 PLN, www.project-audio.com

eprasa.pl 7056b98f47

Różowy stan rzeczy

1. HYDRO FLASK POPSTAR PINK

Hydro Flask wciąż robi swoje: utrzymuje napoje w odpowiedniej temperaturze i stylu. Podwójne ścianki z izolacją próżniową pozwalają zachować chłód do 24 godzin i ciepło do 12, a stal nierdzewna nie przejmuje smaków i nie dramatyzuje po pierwszym drobnym wgnieceniu. Malowanie proszkowe poprawia chwyt, a szeroki wybór nakrętek, pokrywek i akcesoriów pozwala odświeżyć butelkę bez kupowania nowej.

104 PLN, www.hydroflask.com

2. NOTHING PHONE (4A)

Wykończenie w kolorze „przygaszonej czerwieni", połączone z charakterystycznym językiem projektowym Nothing, zmienia ten smartfon ze średniej półki w mały przedmiot pożądania. Wydajnościowo na pokładzie znalazł się Snapdragon 7s Gen 4, płynny ekran AMOLED 120 Hz, podwójny aparat 50 MP i bateria 5 000 mAh. Do tego dochodzi charakterystyczny Glyph Bar, czyli liniowy układ sześciu białych diod LED uzupełniony czerwoną diodą nagrywania.

1 899 PLN, www.nothing.tech

3. IROBOT ROOMBA MINI

Roboty sprzątające nie muszą mieć osobowości, ale miło, gdy potrafią wnieść do domu odrobinę uroku. Roomba Mini ma zaledwie 24,5 cm średnicy i 9,2 cm wysokości, więc jest mniej więcej o połowę mniejsza od standardowych modeli, a mimo to pozostaje zaskakująco skuteczna. Za nawigację i mapowanie odpowiada ClearView LiDAR, a codzienne okruchy i kurz ogarnia system z jedną szczotką oraz mocnym ssaniem. Robot nie tylko odkurza, ale i mopuje.

1 699 PLN, www.irobot.pl



eprasa.pl 7056b98f47



eprasa.pl 7056b98f47

ROWER POD NAPIĘCIEM

Chcesz zafundować swojemu rowerowi elektryczną metamorfozę? Przetestowaliśmy najlepsze zestawy do konwersji na e-bike'a.

Tekst | **Michał Lis** Zdjęcia | **Phil Barker**

Rower to bez wątpienia jeden z największych wynalazków ludzkości. Ale czy przez ostatnie sto lat ta technologia naprawdę aż tak bardzo poszła do przodu? Jasne, rowery zostały poddane miniaturyzacji, dostały więcej biegów, stały się bardziej płynne, lżej się toczą i skuteczniej hamują. Tyle że na końcu i tak całą robotę musisz wykonać ty – bez ciebie same z miejsca nie ruszą.

A gdyby tak największym ulepszeniem nie był już tylko zestaw świecidełek na szprychy, ale możliwość zmienienia zwykłego roweru – nawet najskromniejszego – w elektryczny?

Zebraliśmy trzy zestawy do konwersji na e-bike'a, które można zamontować w swoim obecnym rowerze, żeby dać mu dodatkowego kopa – i zdjąć, gdy trzeba zostawić go gdzieś bez opieki. To nie są tanie zestawy. Nie zamienią też roweru w rakietę, która wystrzeli pod górę z prędkością 65 km/h. Nadal trzeba będzie pedałować.

To, co zrobią, jest prostsze: zdejmą z jazdy ten najbardziej męczący ciężar. Koniec z wpadaniem do biura po dojeździe w stanie lekkiego rozkładu, spoconym i potarganym. Mogą przekonać cię, żeby przy dobrej pogodzie zostawić samochód pod domem. Albo pojechać rowerem na spotkanie ze znajomymi czy do parku.

eprasa.pl 7056b98f47



eprasa.pl 7056b98f47



SWYTCH

WYJAŚNIAMY

Dlaczego po prostu nie kupić elektrycznego roweru? Najprostsza odpowiedź: cena. Swytch za znacznie mniej sprzeda ci zestaw, który da się zamontować do niemal każdego klasycznego roweru. Druga odpowiedź: bezpieczeństwo. E-bike działa na złodziei jak magnes – w tym przypadku sporą część drogiej technologii możesz odpiąć i zabrać ze sobą.

Wszystkie trzy zestawy składają się z tych samych, podstawowych elementów: baterii, która magazynuje energię, silnika, który ją wykorzystuje, oraz czujnika, który decyduje, kiedy ma to zrobić. Swytch rozdziela te elementy i łączy je przewodami. Do wyboru jest szeroka gama akumulatorów oraz kilka miejsc montażu na ramie, ale testowany zestaw Max+ za 2 500 PLN zaprojektowano tak, by siedział na kierownicy, bo ma wbudowany pierścień świetlny typu „bądź widoczny". Czujnik trafia na ramię korby i przywołuje wsparcie z silnika zamontowanego – i tu robi się nietypowo – w przednim kole. Tak, to rower z napędem na dwa koła.

W praktyce wymieniasz swoje obecne koło na nowe z zestawu, przeciągasz przewody wzdłuż ramy, montujesz baterię oraz czujnik i możesz jechać. Jeśli wolisz, zamiast przedniego koła możesz wybrać wersję z tylnym. Bateria Max+ ma pojemność 275 Wh, a dopłata 500 PLN daje większy wariant Max++ o pojemności 362 Wh. Producent obiecuje zasięg na poziomie 48-64 km.

Zestaw potrafi dostarczyć do 250 W mocy, więc w praktyce działa jak ty, tylko razy dwa. Do tego rozwija 40 Nm momentu obrotowego, czyli dokładnie tyle, ile potrzeba, żeby sprawniej ruszać spod świateł. Tak jak w pozostałych zestawach, wspomaganie działa do 25 km/h – powyżej tej prędkości zostajesz sam ze swoimi nogami. Bateria Max+ waży 2,2 kg, a reszta zestawu dokłada mniej więcej drugie tyle. Gdy zatrzymasz się i przypniesz rower, akumulator można odpiąć i zabrać ze sobą. Da się go naładować – albo rozładować w innym celu – bo zintegrowany port USB-C sprawia, że działa również jako powerbank.

W czasie jazdy opcjonalny, przewodowy wyświetlacz pozwala przełączać się między pięcioma poziomami wspomagania. Wybierz jedynkę, żeby maksymalnie wydłużyć zasięg, albo piątkę, żeby z niewinną miną zostawiać za sobą szosowców. Wśród akcesoriów jest też manetka gazu – warto tylko pamiętać, że w odróżnieniu od motocykla, jeśli przestaniesz pedałować, żadne kręcenie manetką nie obudzi silnika. Mimo to Swytch Max+ (www.swytchbike.com) jest najtańszym i najbardziej elastycznym z testowanych zestawów wspomagających.

WERDYKT

Włączasz, zaczynasz pedałować, a Swytch dorzuca swoje. Jedziesz więc niemal bezszelestnie z prędkością około 25 km/h – to najcichszy z tej trójki – i pozwalasz rowerowi wykonać najcięższą część pracy.

Swytch ma jednak kilka dziwactw. Po każdym zatrzymaniu potrzebuje paru obrotów korbą, zanim silnik znów się obudzi – irytujące, jeśli przed tobą czeka cała seria świateł. A ponieważ cały ciężar ląduje z przodu roweru, system Max+ potrafi być trochę niezgrabny przy niskich prędkościach albo na luźniejszej nawierzchni. Uślizg przedniego koła jest realną możliwością. Być może lepiej wybrać mniej efektowny, tańszy i montowany na ramie zestaw Swytch Go, którego ceny zaczynają się od 1 700 PLN.

Ogólnie Max+ to jednak bardzo opłacalny, atrakcyjnie zaprojektowany zestaw, który spełnia obietnice dotyczące zasięgu i mocy. Jednak, ponieważ przewody biegną wzdłuż ramy, po przerobieniu roweru raczej nie będziesz chciał od razu przerabiać go z powrotem. Jeśli zależy ci na możliwości wyboru: dziś jadę zwykłym rowerem, jutro elektrykiem – potrzebujesz czegoś innego.

eprasa.pl 7056b98f47



SKARPER

WYJAŚNIAMY

Pozostałe systemy w tym zestawieniu są adresowane przede wszystkim do osób dojeżdżających do pracy i miejskich rowerzystów. Montujesz zestaw, dajesz staremu rowerowi drugie życie i docierasz na miejsce w stanie trochę mniej przypominającym człowieka po saunie. Skarper (www.skarper.com) jest bardziej wszechstronny.

Tam, gdzie inne zestawy mają zdejmowane baterie, ale zostawiają przy rowerze silnik, przewody i czujniki, Skarper myśli inaczej. Zamiast silnika w piaście mamy tu elegancką skrzynkę o masie 4,2 kg, w której mieszczą się także bateria i elektronika sterująca. Gdy przypinasz rower, Skarper odpina się w dwie sekundy, a jedynym elementem, który zostaje na miejscu, jest tylna tarcza hamulcowa.

Przyjrzyj się jej uważnie, a zobaczysz nietypowe otwory. Właśnie w ten sposób Skarper łączy się z rowerem – przez piny pozycjonujące, mechanizm blokujący i, co najważniejsze, wał napędowy. System potrafi wygenerować szczytowy moment obrotowy 76 Nm, czyli o ponad 30 Nm więcej niż każdy z rywali, więc na smukły wałek działają naprawdę duże obciążenia. Dlatego Skarper potrzebował materiałów i inżynieryjnego know-how Red Bull Advanced Technologies, czyli technologicznego ramienia zespołu F1.

Akumulator 240 Wh jest tutaj najmniejszy, co przekłada się na deklarowany zasięg 48 km, ale ładuje się najszybciej – w 2,5 godziny zamiast czterech. Ma też najbardziej rozbudowaną elektronikę sterującą, z wbudowanym inklinometrem, dzięki któremu system wie, kiedy jedziesz pod górę i może dorzucić nieco więcej wsparcia. Do tego zdejmowany czujnik na ramieniu korby jest akcelerometrem połączonym przez Bluetooth, a nie prostszym, przewodowym czujnikiem momentu obrotowego. Wszystko to sprawia, że Skarper działa płynniej.

Zamontuj telefon na kierownicy, a możesz sterować Skarperem przez aplikację, przełączając się między trybami Eco, Cruise i Turbo oraz kontrolując poziom baterii. Chcesz zachować energię na później? Trzy obroty pedałami do tyłu wyłączają system – i włączają go ponownie.

Ponieważ Skarper tak łatwo się montuje i zdejmuje, a po demontażu zostawia na rowerze tak niewiele śladów, lista zastosowań robi się dłuższa. Sprawdzi się w drodze do pracy, ale może też pomóc utrzymać tempo podczas jazdy w grupie. Skarper ma również adapter do rowerów z hamulcami szczękowymi. Niektóre marki rowerowe oferują już ten system jako własne rozwiązanie e-bike'owe, zamiast projektować i rozwijać od zera swoje osobne modele.

To sprytny kawałek inżynierii. Dlatego kosztuje 7 300 PLN.

WERDYKT

Skarper jest najbardziej intuicyjnym i najmocniejszym konwerterem w tym zestawieniu. Może jest drogi, ale uzasadnia cenę momentem obrotowym, do którego rywale nie mają podejścia, oraz sposobem, w jaki go podaje. W trybach Eco i Cruise system sprawia wrażenie, jakby trafnie odgadywał, czego właśnie chcesz. Daje wsparcie wtedy, kiedy jest potrzebne, przez co wydaje się lepiej zintegrowany i dojrzalej przemyślany niż pozostałe rozwiązania.

Nie ma tu opóźnienia ani czekania przy ruszaniu – moment obrotowy pojawia się natychmiast. Jego położenie nie tylko równoważy masę klasycznego napędu po drugiej stronie, ale też sprawia, że rower prowadzi się bardziej naturalnie.

Jedyną realną wadą jest to, że to najgłośniejszy system z tej trójki, więc trudniej będzie wmówić innym rowerzystom, że całą robotę wykonujesz sam. To niezwykle satysfakcjonujący kawałek designu i technologii: jest, kiedy go potrzebujesz, znika, kiedy nie.

eprasa.pl 7056b98f47



eprasa.pl 7056b98f47

BOOST

WYJAŚNIAMY

Pomyśl o Boost jak o technologicznym ekosystemie. Tak, jest tu zestaw do konwersji podobny do Swytcha, ale jest też miejski rower zaprojektowany specjalnie pod Boost.

Najpierw jednak technologia. Podobnie jak w Swytchu, trzeba wymienić koło – w tym przypadku tylne, dostępne w szerokiej gamie rozmiarów, tak żeby pasowało do niemal każdego roweru. W piaście znajduje się czujnik, który wykrywa twoje ruchy przez układ napędowy, więc nie trzeba montować niczego na ramieniu korby. Potem wystarczy wsunąć akumulator w specjalny uchwyt na bidon przy ramie, gdzie blokuje się go kluczykiem.

Lekki pakiet o masie 1,4 kg mieści elektronikę sterującą i akumulator 252 Wh – zgrabnie to upakowano. W sumie zestaw dokłada około 4 kg, czyli podobnie jak obaj rywale, a silnik generuje szczytowy moment obrotowy 42 Nm. Deklarowany zasięg wynosi 56 km, choć jak zawsze zależy to od tego, jak mocno zmuszasz system do pracy. Podobnie jak w Skarperze, są tu trzy tryby: Eco, Boost i Super Boost, który daje pełną moc w 20-sekundowym zrywie. Sterowanie odbywa się przez aplikację albo osobny bezprzewodowy wyświetlacz za 300 PLN.

Sam system kosztuje u Boost około 3 400 PLN, choć różne warianty wpływają mocno na cenę. Jak w przypadku Swytcha, po montażu raczej nie będziesz chciał go demontować – to nie jest rozwiązanie o tak szerokim zakresie zastosowań jak Skarper. Ale gdy zaparkujesz rower, wyjmiesz baterię i odejdziesz, komukolwiek będzie trudno zauważyć, że twój jednoślad czymś się różni. Przewodów jest mniej niż w Swytchu, więc to bardziej dyskretne rozwiązanie.

Alternatywnie, za 6 100 PLN Boost sprzeda ci kompletny rower. Skierowany do miejskich rowerzystów i osób dojeżdżających do pracy, ten 16-kilogramowy e-bike wyróżnia się smukłą konstrukcją na 20-calowych kołach. Nie składa się w pełni jak Brompton, ale zaprojektowano go tak, by można było spłaszczyć go do przechowywania w wąskim korytarzu – dzięki składanym do środka pedałom i kierownicy obracanej o 90 stopni.

Akumulator łączy się też z telefonem przez osobną aplikację, która podaje szczegółowe informacje o kondycji ogniw, temperaturze i napięciach. W skrócie: mówi ci, że wszystko jest w porządku i nic za chwilę nie stanie w płomieniach. Boost liczy na to, że sprzeda tę technologię także innym firmom.

WERDYKT

Boost z nazwy, ale niekoniecznie z charakteru. Nawet w wyższym trybie Boost system dość oszczędnie rozdaje moc – świetnie dla zasięgu, mniej świetnie, jeśli liczysz na porządny strzał spod świateł. Teoretycznie powinien dać go tryb Super Boost, ale on również nie do końca dorasta do swojej nazwy, a do tego wyłącza się po 20 sekundach.

Podobnie jak w Swytchu, między ruszeniem a obudzeniem silnika pojawia się zbyt duże opóźnienie. W Swytchu czujesz, jak dodatkowy moment obrotowy płynnie wchodzi do gry, ale prawie go nie słyszysz. Tutaj jest odwrotnie: silnik zawodzi, ale moc pozostaje skromna. Lepiej korzystać z aplikacji niż z opcjonalnego wyświetlacza – podaje więcej informacji i robi to w bardziej logiczny sposób.

Żeby oddać mu sprawiedliwość, przy niższych prędkościach sterowanie silnikiem jest dobre, a Boost lepiej niż Swytch ocenia, ile momentu obrotowego powinien dorzucić w zależności od tego, jak mocno naciskasz na pedały. W połączeniu z własnym rowerem Boost system bardzo dobrze radzi sobie w ciasnych miejskich przestrzeniach i strefach pieszych. Ale jeśli jeździsz po bardziej otwartych, długich trasach, pozostali robią to lepiej.



prasa.pl 7056b9847



eprasa.pl 7056b98f47

PRENUMERATA



Zyskaj 15% rabatu

Czytaj więcej, płać mniej!

W prenumeracie tylko ~~163,90 zł~~

139,30 zł

/roczna prenumerata drukowana

DLACZEGO WARTO?

- Dostawa **gratis** prosto do Twojego domu
- Tylko dla prenumeratorów: **niższe ceny** przy zakupie czasopism na UlubionyKiosk.pl
- Pakiet 2w1 (papier + e-wydania): **-80%** na równoległą e-prenumeratę PDF

Szczegóły na UlubionyKiosk.pl/promocje

Zamów prenumeratę na **www.UlubionyKiosk.pl**
lub zeskanuj kod QR i zaprenumeruj w 1 minutę

AVT-Korporacja sp. z o.o., ul. Leszczynowa 11, 03-197 Warszawa
prenumerata@avt.pl | 22 257 84 22 (godz. 10:00–14:00)
rachunek bankowy: ING Bank Śląski 18 1050 1012 1000 0024 3173 1013

eprasa.pl 703900 47

CRÈME DE LA CRÈME

JEDYNA LISTA ZAKUPÓW JAKIEJ POTRZEBUJESZ

Prowadzący | **Marcin Kubicki i Michał Lis**



NOWOŚCI, KLASYKI I PRZEŁOMOWE TECHNOLOGIE NA TWOJĄ KIESZEŃ

Jeśli szukasz najlepszych rozwiązań technologicznych dostępnych obecnie na rynku, dobrze trafiłeś. W rubryce Crème de la Crème znajdziesz praktyczny przewodnik, z którym warto zapoznać się przed następnymi technologicznymi zakupami. Bazą do jego powstania były setki testów, jakie przeprowadzaliśmy na łamach „Magazynu T3" przez ponad 10 lat istnienia magazynu.

Przewodnik podzieliliśmy na różne kategorie, obejmujące gadżety do naszego inteligentnego (i nie tylko) domu i codziennego użytku. Każdy dział to niezwykle starannie wybrane produkty, które dają ci możliwość kupienia najlepszego sprzętu niezależnie od twojego budżetu czy aktualnych potrzeb. Jak zwykle polecamy tylko urządzenia, które wybralibyśmy dla siebie lub z których korzystamy na co dzień w naszym życiu - trudno o lepszą rekomendację. Sprawdź zatem, jakie technologiczne dobrodziejstwa czekają na ciebie w naszym przewodniku.

eprasa.pl 7056b98f47

SMARTFONY



ONEPLUS 15

OnePlus 15 to nowy flagowiec łączący moc, styl i nowoczesne technologie. Wyposażony w 6,78-calowy ekran OLED 165 Hz i procesor Snapdragon 8 Elite Gen 5, oferuje płynność i szybkość, jakiej oczekują najbardziej wymagający użytkownicy. Potrójny aparat 50 Mp z OIS i 32 Mp selfie zapewniają zdjęcia w najwyższej jakości, a bateria 7 300 mAh z ładowaniem 120 W (bezprzewodowo 50 W) gwarantuje długą pracę bez przerw. Odporność IP69K, Wi-Fi 7, NFC i pamięć do 1 TB czynią z OnePlus 15 kompletny smartfon nowej generacji – mocny, elegancki i gotowy na wszystko.

4 399 PLN, www.oneplus.com



OPPO A6 PRO 5G

Solidny, dobrze wyceniony, codzienny smartfon zaprojektowany z myślą o trwałości. 6,57-calowy ekran AMOLED 120 Hz z ultracienkimi ramkami zapewnia świetne wrażenia wizualne, a ogromna bateria o pojemności 6 500 mAh z szybkim ładowaniem SUPERVOOC 80 W gwarantuje bardzo długą pracę. Certyfikaty IP68/IP69 i MIL-STD-810H czynią go odpornym na wodę, pył i upadki. Całość napędza procesor MediaTek Dimensity 6300, a zdjęcia wykonamy aparatami 50 Mp. Ponadto, tryb fotografii podwodnej dopełnia obraz uniwersalnego telefonu od OPPO.

1 099 PLN, www.oppo.com



GOOGLE PIXEL 10 PRO

Najnowszy flagowiec Google stawia na sztuczną inteligencję w każdym aspekcie – od zdjęć po obsługę głosową. Wyposażony w ekran OLED 6,3” z adaptacyjnym odświeżaniem 1-120 Hz i układ Tensor G5, oferuje płynność oraz bezpieczeństwo wsparte siedmioma latami aktualizacji. Pixel 10 Pro zachwyca aparatem z trybem Night Sight i AI Editor, pozwalającym usuwać obiekty czy zmieniać kadr po zrobieniu zdjęcia. Superjasny wyświetlacz, mocna bateria i wprowadzenie standardu Qi2 czynią go jednym z ciekawszych smartfonów sezonu.

Od 4 299 PLN, www.store.google.com



APPLE iPHONE 17 PRO

Najpotężniejszy iPhone w historii – z nową konstrukcją unibody z aluminium lotniczego, czipem A19 Pro i rekordowo długim czasem pracy baterii. Trzy aparaty Fusion 48 Mp i nowy teleobiektyw 8x zapewniają jakość porównywalną z zestawem profesjonalnych obiektywów, a przedni aparat Center Stage 18 Mp wnosi selfie na wyższy poziom. Wyświetlacz Super Retina XDR z Ceramic Shield 2 jest jaśniejszy i trwalszy niż kiedykolwiek. Do tego zaawansowane funkcje wideo, iOS 26 z Apple Intelligence oraz nowe akcesoria MagSafe to propozycja Apple na ten rok.

Od 5 799 PLN, www.apple.com/pl

eprasa.pl 7056b98f47

AKCESORIA



INSTA360 FLOW 2 PRO

Insta360 Flow 2 Pro to gimbal, który zamienia smartfon w profesjonalną kamerę filmową. Dzięki 3-osiowej stabilizacji, inteligentnemu śledzeniu Deep Track 4.0 i pełnej integracji z ekosystemem Apple DockKit, każde ujęcie staje się płynne, dynamiczne i perfekcyjnie wyważone. Obsługa Dolby Vision i Apple ProRes gwarantują kinową jakość obrazu, a funkcje AI FlashCut i Active Zoom Tracking pomagają tworzyć efektowne klipy w kilka chwil. Flow 2 Pro to także selfie stick, statyw i powerbank w jednym, oferujący do 10 godzin pracy na baterii – idealny towarzysz vlogerów, podróżników i kreatywnych twórców.

599 PLN, www.insta360.com



ONEPLUS WATCH LITE

Lekki i smukły smartwatch od OnePlus zaprojektowany z myślą o codziennym ruchu, dużej aktywności i długiej pracy bez ładowarki. Oferuje jasny ekran AMOLED 1,46", do 10 dni działania baterii oraz szybkie doładowanie na cały dzień w zaledwie 10 minut. Dwuzakresowy GPS, ponad 100 trybów sportowych i zaawansowane analizy biegania wspierają ambitne treningi, a rozbudowane monitorowanie snu, tętna i SpO_2 dba o zdrowie. Całość zamknięto w stalowej kopercie z odpornością 5ATM/IP68 – solidny, sportowy zegarek od OnePlus.

799 PLN, www.oneplus.com



NATIVE UNION RISE 3-IN-1

Elegancka stacja, która porządkuje biurko i jednocześnie ładuje trzy najważniejsze mobilne urządzenia Apple. Magnetyczny uchwyt obsługuje standard Qi2 i dostarcza do 15 W mocy dla Apple iPhone, a wbudowana ładowarka szybko uzupełnia energię w Apple Watch. Z tyłu znajdzie się też miejsce dla Apple AirPods. Regulowany kąt pozwala korzystać z telefonu podczas ładowania, a solidna, metalowa podstawa zapewnia stabilność urządzenia. W efekcie jedna kompaktowa stacja zastępuje plątaninę kabli i wprowadza na biurku porządek.

599 PLN, www.nativeunion.com



TP-LINK DECO X10

Wyposażony w technologię Wi-Fi 6, domowy system Wi-Fi, stworzony, by zapewniać bardziej kompleksowe pokrycie domu, wyższe prędkości i większą pojemność sieci. Niezależnie od tego ile ekranów i urządzeń połączy się jednocześnie (do 120!), każdy będzie mógł korzystać z wydajnej sieci, która pozwala na szybsze ładowanie treści i bez spadków wydajności. Deco X10 eliminuje martwe strefy za pomocą czystego i silnego sygnału Wi-Fi, generowanego w oparciu o technologie Kolorowania BSS i Beamforming. Potrzebujesz jeszcze większego zasięgu? Po prostu dodaj kolejne Deco.

245 PLN (1 szt.), www.tp-link.com

eprasa.pl 7056b98f47

TELEWIZORY I MONITORY



SAMSUNG QE55QN80H

Telewizor dla tych, którzy chcą połączyć kinowy obraz, sportową płynność i funkcje smart w jednej, eleganckiej formie. Technologia Quantum Mini LED dba o kontrast i jasność, procesor AI NQ4 Gen2 poprawia obraz i dźwięk, a odświeżanie 144 Hz docenią gracze oraz fani dynamicznych transmisji. Do tego dochodzi One UI Tizen z aktualizacjami do 7 lat, SmartThings, Dolby Atmos i funkcje Samsung Vision AI, które sprawiają, że ekran lepiej dopasowuje się do treści i domowego rytmu. To model, który równie dobrze odnajdzie się podczas filmowego wieczoru, meczu, jak i przy konsoli podłączonej na stałe.

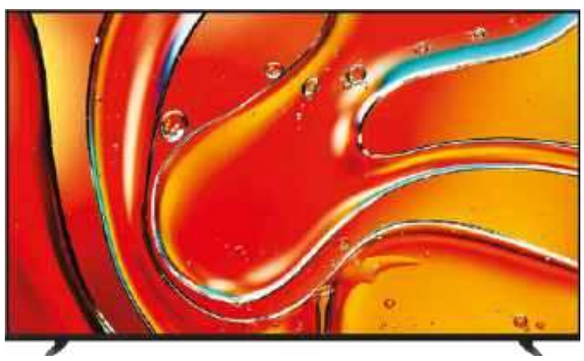
5 499 PLN, www.samsung.pl



SAMSUNG 65R95H

Telewizor z wyższej półki, stworzony dla tych, którzy chcą obrazu bardziej kinowego niż „po prostu dużego". Technologia Micro RGB precyzyjnie kontroluje kolor i jasność, zapewniając 100% szerokiej gamy BT2020, a procesor Micro RGB AI Pro wspiera skalowanie 4K, kontrast i płynność ruchu. Gracze docenią odświeżanie 165 Hz, VRR i FreeSync Premium Pro, a filmowy wieczór podbiją Dolby Atmos, głośniki 4.2.2 i dźwięk podążający za obiektem. Do tego dochodzą Samsung Vision AI, matowy ekran Glare Free, One UI Tizen z aktualizacjami do 7 lat oraz SmartThings jako centrum domowej rozrywki i inteligentnego domu.

16 299 PLN, www.samsung.pl



SONY BRAVIA 7

Telewizor, który został stworzony po to, aby w domowym zaciszu zbudować kino z doskonałym obrazem i perfekcyjnym dźwiękiem. Imponujący kontrast osiągnięto dzięki technologii XR Backlight Master Drive ze specjalnym algorytmem lokalnego wygaszania, który precyzyjnie steruje tysiącami diod LED. Z kolei wyświetlacz XR Triluminos Pro reprodukuje ponad miliard kolorów. Dźwięk idealnie dopasowany do obrazu to zasługa technologii Acoustic Multi-Audio, która uwydatnia lub minimalizuje brzmienie dobiegające z każdej sceny. Krystaliczną czystość dialogów gwarantuje Voice Zoom 3 wspomagany sztuczną inteligencją.

Od 6 999 PLN, www.sony.pl



BENQ SW272U

27-calowy monitor PhotoVue dla profesjonalnych fotografów i twórców treści multimedialnych. Matryca 4K z szeroką gamą barw (99% AdobeRGB i 99% P3) oraz fabryczną dokładnością (Delta E ≤2), potwierdzoną m.in. Pantone Validated i Calman Verified. Panel Fine-Coated ogranicza odblaski i daje „papierową" fakturę, a Paper Color Sync oraz GamutDuo pomagają ocenić materiał przed wydrukiem. Na pokładzie 16-bitowa 3D LUT, sprzętowa kalibracja (Palette Master Ultimate) i USB-C z 90 W. Dodatkowo: BenQ Uniformity, kaptur i czytnik kart.

5 599 PLN, www.benq.pl

eprasa.pl 7056b98f47

SOUNDBARY



SAMSUNG HW-Q990F

Flagowy soundbar Q-serii dla tych, którzy chcą kinowego dźwięku bez zamieniania salonu w plątaninę kabli i osobnych wzmacniaczy. Konfiguracja 11.1.4, bezprzewodowy subwoofer i tylne głośniki tworzą przestrzenną scenę, w której efekty nie tylko grają z przodu, ale otaczają widza z każdej strony. Dolby Atmos pozwala mocniej wejść w film, serial czy grę, a współpraca z telewizorami Samsung ułatwia konfigurację i codzienne sterowanie. To zestaw dla osób, które wiedzą, że duży obraz robi wrażenie dopiero wtedy, gdy dźwięk też potrafi wejść do pokoju.

4 499 PLN, www.samsung.pl



JBL BAR 1300 MKII

Soundbar, który w kilka sekund przenosi kinowe emocje do twojego salonu. Dźwięk True Dolby Atmos i DTS:X tworzą realistyczną, wciągającą scenę 3D, a technologia MultiBeam 3.0 precyzyjnie wypełnia pomieszczenie dźwiękiem. Odłączane, bezprzewodowe głośniki możesz ustawić dokładnie tam, gdzie siedzisz – idealnie zarówno na rodzinny seans filmowy, jak i kameralne słuchanie muzyki. Kompaktowy, a jednocześnie potężny subwoofer zapewnia głęboki, dynamiczny bas, a łączność Bluetooth pozwala korzystać z systemu w całym domu.

6 399 PLN, www.jbl.com



YAMAHA SR-X40A

Model z serii True X, oferujący przestrzenny dźwięk 3D z Dolby Atmos i legendarnym brzmieniem True Sound. Starannie zaprojektowana konstrukcja i selekcjonowane przetworniki zapewniają wyjątkową głębię dźwięku. Wbudowany subwoofer o średnicy 75 mm i dwie membrany pasywne, funkcja Bass Extension oraz tryby Film, Gra, Stereo, Standard, które pozwalają dostosować brzmienie do potrzeb. Złącze HDMI obsługuje HDMI CEC i eARC. Z kolei aplikacja Sound Bar Controller i funkcja Clear Voice zwiększają wygodę i jakość odbioru dialogów.

2 799 PLN, www.tophifi.pl



DENON HOME SOUND BAR 550

Soundbar z serii Denon Home uwodzi minimalizmem i wysoką jakością materiałów wykończeniowych. To niewielki sprzęt, ale udało się w nim zmieścić aż sześć przetworników i trzy radiatory pasywne, dzięki czemu możemy cieszyć się głębokim, precyzyjnym i barwnym brzmieniem nawet bez subwoofera. Urządzenie otrzymało wsparcie dla systemu multiroom HEOS by Denon i towarzyszącej mu apki mobilnej, więc soundbar posłuży nam także do słuchania muzyki. Możemy nim sterować również przez Alexę lub Asystenta Google.

2 299 PLN, www.salonydenon.pl

eprasa.pl 7056b98f47

LAPTOPY I TABLETY



LENOVO THINKPAD T14S GEN 6

Ultralekki, wydajny laptop z innowacyjnym procesorem Snapdragon X Elite i grafiką Qualcomm Adreno, zapewniający doskonałą wydajność przy niskim poborze energii. Dzięki Wi-Fi 7 masz szybkie i stabilne połączenia, a Copilot ułatwia organizację pracy. Ponadto wbudowany Communication Bar, wysokiej jakości mikrofony z redukcją szumów i technologia Dolby Audio gwarantują najwyższą jakość współpracy. Ekran WUXGA Eyesafe chroni wzrok, a przeprojektowana klawiatura zwiększa komfort. To laptop stworzony z myślą o wydajności, mobilności i ekologii.

Od 8 499 PLN, www.lenovo.pl



LENOVO LEGION PRO 7 16IAX10H

Lenovo Legion Pro 7 16IAX10H to potężny laptop gamingowy klasy premium, stworzony z myślą o graczach i twórcach. Wyposażony w procesor Intel Core Ultra 9, kartę graficzną NVIDIA GeForce RTX 5080 i ekran 16" OLED 240 Hz, oferuje płynną rozgrywkę i wysoką jakość obrazu. Zaawansowany system chłodzenia Legion ColdFront 5.0 zapewnia stabilność i wspiera cichą pracę nawet pod dużym obciążeniem. Długi czas pracy na baterii (99,99 Whr z obsługą technologii Super Rapid Charge), stylowa, metalowa obudowa i podświetlana klawiatura RGB dopełniają całości.

15 499 PLN, www.lenovo.pl



OPPO PAD NEO

Smukły tablet o 6,89 mm grubości i 538 g wagi. Producent zastosował ekran o przekątnej 11,4 cala i proporcjach 7:5. Wybór tego rozwiązania znacznie ułatwia korzystanie z aplikacji biurowych, przeglądanie stron internetowych, czy oglądanie filmów i granie. Ekran przy rozdzielczości 2408x1720 px, gęstości pikseli 260 ppi, odświeżaniu 90 Hz i typowej jasności 400 nitów jest wyraźny, przyjazny dla użytkowników, także tych najmłodszych, i komfortowy podczas pracy oraz rozrywki. Doskonałemu obrazowi towarzyszy równie istotny dźwięk wysokiej jakości z czterech głośników stereo.

1 299 PLN (wersja Wi-Fi), 1 499 PLN (wersja LTE), www.oppo.com



APPLE MACBOOK AIR 13-CALOWY (M5)

MacBook Air z czipem M5 to laptop, który pokazuje, że prawdziwa moc dzisiaj już nie musi hałasować. Smukła konstrukcja ważąca 1,23 kg bez problemu mieści się w każdej torbie, a bateria wystarcza nawet na 18 godzin pracy. Nowy układ Apple przyspiesza wszystkie codzienne zadania – od edycji zdjęć po montaż wideo – i radzi sobie z aplikacjami AI bez jakiejkolwiek zadyszki. Do tego wyświetlacz Liquid Retina z miliardem kolorów, szybkie 16 GB pamięci RAM i macOS Tahoe z nowym interfejsem Liquid Glass. Lekki komputer, który potrafi naprawdę dużo – zarówno w pracy, jak i w domu.

Od 5 499 PLN, www.apple.com/pl

eprasa.pl 7056b98f47

GAMING



SANDISK MICROSD DO ROG XBOX ALLY (X)

Szybki i wygodny sposób na rozbudowę mobilnej biblioteki gier. Oferuje odczyt do 200 MB/s i zapis do 140 MB/s, co przekłada się na krótsze czasy ładowania oraz sprawne instalacje i aktualizacje. Dostępna w wariantach do 2 TB, mieści dziesiątki tytułów, a dzięki oficjalnej licencji Xbox zapewnia pełną kompatybilność. Wytrzymała konstrukcja odporna na upadki, wstrząsy, działanie promieniowania rentgenowskiego oraz wysokich temperatur, a także dożywotnia gwarancja czynią ją idealnym towarzyszem dla graczy w podróży.

Od 330 PLN, www.shop.sandisk.com/pl-pl



LENOVO LEGION GO S

Nowy handheld od Lenovo łączący wydajność z wysoką mobilnością. Procesor AMD Ryzen Z2 Go i grafika RDNA 2 zapewniają płynną rozgrywkę, a 8-calowy ekran PureSight 120 Hz gwarantuje doskonały obraz. Ergonomiczne kontrolery Legion TrueStrike oferują świetną precyzję, a aplikacja *Legion Space* umożliwia personalizację ustawień. Dzięki długiej pracy na baterii i kompatybilności z platformami jak Xbox Game Pass czy Steam, to idealne rozwiązanie dla graczy ceniących jakość i swobodę grania w dowolnym miejscu na systemie Windows 11.

2 399 PLN, www.lenovo.pl



TP-LINK ARCHER GX90

Bez stabilnego, pozbawionego lagów połączenia z internetem nie ma co nawet rozpoczynać potyczek online - tylko zirytujemy siebie i członków naszej drużyny. W takiej sytuacji warto wybrać router gamingowy, na przykład Archer GX90 od TP-Link. Jedno z jego trzech pasm dedykowane jest tylko i wyłącznie grom, a dzięki funkcji Game Accelerator sprzęt rozpoznaje, który ruch pochodzi z gry sieciowej, automatycznie przyznając mu priorytet. Za sprawą kompleksowej ochrony antywirusowej Game Protector możemy być pewni, że wszystkie urządzenia podłączone do sieci są bezpieczne.

979 PLN, www.tp-link.com.pl



SONY PLAYSTATION PORTAL

Sposób, żeby zabrać swoją kolekcję gier Sony PlayStation z salonu w dowolny kąt domu, a nawet świata. Urządzenie łączy się z PS5 przez domową sieć Wi-Fi i pozwala grać w zainstalowane tytuły bez potrzeby włączania telewizora, a także łączy się strumieniowo z katalogiem w internecie, by móc grać w chmurze. 8-calowy ekran LCD w rozdzielczości 1080p i 60 kl./s wyświetla gry ostro i płynnie, a wbudowane funkcje kontrolera Sony DualSense Wireless Controller – w tym efekty dotykowe i adaptacyjne triggery – zachowują pełnię wrażeń z PS5. W praktyce to twoja biblioteka gier w dłoniach, gotowa do uruchomienia jednym przyciskiem.

929 PLN, www.playstation.com

eprasa.pl 7056b98f47

DOM



DYSON V16 PISTON ANIMAL SUBMARINE

Najmocniejszy odkurzacz bezprzewodowy marki, łączący suchą i mokrą pielęgnację podłóg w jednym urządzeniu. Napędzany silnikiem Hyperdymium o mocy 900 W, generuje imponujące 315 AW siły ssania, zapewniając perfekcyjną czystość nawet w trudno dostępnych zakamarkach. Nowa elektroszczotka Submarine 2.0 skutecznie usuwa rozlane płyny i uporczywe plamy, a stożkowe wałki All Floors Cones Sense zapobiegają plątaniu włosów i automatycznie dopasowują się do rodzaju podłogi. Pojemnik z mechanizmem kompresyjnym pozwala na ugniatanie kurzu, zwiększając pojemność i ułatwiając higieniczne opróżnianie. Czas pracy sięga 70 minut.

4 399 PLN, www.dyson.pl



DREAME X60 ULTRA

Dreame X60 Ultra to robot sprzątający dla tych, którzy chcą mieć czysto w domu bez codziennego myślenia o odkurzaczu. Smukła konstrukcja o wysokości 7,95 cm pozwala mu wjechać tam, gdzie zwykle zbiera się kurz – pod kanapę, komodę czy szafki. System nawigacji z kamerami AI rozpoznaje ponad 280 obiektów, a moc ssania do 35 000 Pa radzi sobie z sierścią, okruchami i pyłem z dywanów. Stacja dokująca automatycznie opróżnia pojemnik, myje i suszy pady mopujące, dzięki czemu sprzątanie jest efektywne, higieniczne i odbywa się niemal bez twojego udziału.

5 599 PLN, www.dreame-polska.pl



SAGE BARISTA EXPRESS IMPRESS

Przygotuj prawdziwą kawę jak z kawiarni w domu — od ziaren po gotowe espresso w mniej niż minutę. System ubijania kawy Impress Puck System pomaga w odmierzeniu idealnej porcji i precyzyjnym ubiciu przy jednoczesnym zmniejszeniu ilości fusów na ekspresie i blacie. Przygotowanie aromatycznego, kremowego espresso w kolorze karmelu rozpoczyna się od preinfuzji przy niskim ciśnieniu, po której następuje ekstrakcja pod wysokim ciśnieniem (9 barów), uzyskanym dzięki włoskiej pompie o mocy 15 barów. Para o temperaturze 130°C pozwala szybko ubić aksamitną mikropiankę.

2 948 PLN, www.sageappliances.com



KITCHENAID ARTISAN PLUS

Legendarny mikser stojący dla tych, którzy traktują kuchnię nie jak obowiązek, ale małą scenę codziennych eksperymentów. Ma solidny korpus, misę ze stali nierdzewnej, ruch planetarny docierający do 59 punktów styku i 11 prędkości z precyzyjną regulacją, więc poradzi sobie zarówno z kremem, jak i cięższym ciastem. Wbudowane oświetlenie misy pozwala lepiej kontrolować konsystencję, a mieszadło FLEX ze zgarniaczem ogranicza ręczne poprawki. W zestawie są też hak, trzepaczka, mieszadło płaskie i osłona na dzieżę, a opcjonalne przystawki rozszerzają jego możliwości.

3 999 PLN, www.vivamix.pl

eprasa.pl 7056b98f47

SMART HOME



SHELLY POWER STRIP 4 GEN4

Moment, w którym zwykła listwa przestaje być tylko „miejscem na wtyczki", a zaczyna porządkować to, co dzieje się z prądem w domu. Cztery gniazda działają niezależnie, pokazują zużycie energii w czasie rzeczywistym i pozwalają odpiąć sprzęty, które niby są wyłączone, a jednak coś ciągle pobierają. Działa przez Wi-Fi, ZigBee i Matter, więc nie zamyka się w jednym systemie. Obsługuje do 3 680 W, ale ważniejsze jest to, że zaczynasz widzieć, co naprawdę zużywa energię. A podświetlenie LED? Wieczorem robi za dyskretną lampkę, zamiast świecić bez sensu.

255 PLN, www.shelly.com



TP-LINK TAPO C665G KIT

Kamera, którą montujesz tam, gdzie zwykle kończą się dobre chęci – bez dostępu do prądu, bez stabilnego połączenia z Wi-Fi, za to z realną potrzebą kontroli. Działa na 4G (slot na kartę SIM) albo w domowej sieci, więc nie jest przywiązana do jednego scenariusza, a panel solarny (w zestawie z kamerą) sprawia, że przestajesz myśleć o jakichkolwiek kablach (45 minut pobierania energii słonecznej wystarczy na dzień pracy pod pełnym obciążeniem). Obraz w 4K i kolorowa noc robią różnicę, gdy faktycznie chcesz coś rozpoznać. Do tego AI, które odróżnia człowieka od zwierzęcia czy auta – i nagle powiadomienia zaczynają mieć sens.

879 PLN, www.tp-link.com



SWITCHBOT AI ART FRAME

Nowoczesna ramka, która trochę udaje obraz, a trochę przyszłość. Zamiast jednego zdjęcia masz tu rotacyjną galerię – generowaną przez AI albo po prostu zrzucaną z telefonu, w zależności od nastroju czy pory dnia. Ekran E-ink wygląda bardziej jak papier niż ekran, więc nie świeci po oczach i faktycznie wtapia się w przestrzeń. Działa na baterii nawet do dwóch lat, więc wieszasz ramkę, gdzie chcesz i zapominasz o kablach. Możesz ustawić harmonogram zmian albo zostawić wszystko losowi. Najciekawsze jest to, że ściana przestaje być stała – zaczyna żyć razem z tobą i momentami uchwyconymi na fotografiach.

Od 639 PLN, www.switch-bot.com



REOLINK VIDEO DOORBELL (BATTERY) + CHIME

Dzwonek, który szybko przestaje być tylko dzwonkiem. Obraz 5 MP i szerokie 180° sprawiają, że widzisz nie tylko twarz, ale też to, co osoba przed drzwiami trzyma w rękach – albo zostawia pod nimi. Zasilanie PoE upraszcza temat do jednego kabla, więc instalacja nie zamienia się w weekendowy projekt majsterkowicza. Do tego dwukierunkowa rozmowa i powiadomienia o osobach czy paczkach, które faktycznie mają sens. Możesz podejrzeć wszystko z telefonu albo komputera, bez abonamentu i bez zgadywania, co się dzieje przy wejściu, kiedy cię nie ma. A dołączony gong sprawia, że nadal działa jak klasyczny dzwonek – tylko znacznie mądrzejszy.

479 PLN, www.reolink.com

eprasa.pl 7056b98f47

Redakcja

Redaktor naczelny
MARCIN KUBICKI | marcin.kubicki@magazynt3.pl

Sekretarz redakcji
MICHAŁ LIS | michal.lis@magazynt3.pl

Skład i redakcja techniczna
MICHAŁ LIS

Kontakt do redakcji
t3@magazynt3.pl

Strona internetowa
www.magazynt3.pl

Prenumerata
prenumerata@avt.pl | (22) 257-84-22
(godz. 10:00 – 14:00)

Reklama
reklama@magazynt3.pl

Miesięcznik **Magazyn T3** wydawany jest przez Wydawnictwo AVT-Korporacja Sp. z o.o.,
ul. Leszczynowa 11, 03-197 Warszawa.
Tytuły prawne do magazynu należą do Future Publishing Limited, grupy Future plc, UK 2009.
Wykorzystano na licencji. Wszystkie prawa zastrzeżone.

Jest znakiem towarowym Future Publishing Limited, należącym do grupy Future plc. Wykorzystano na licencji.
Więcej informacji dotyczących tego i innych tytułów wydawanych przez grupę Future plc,
zamieszczono na stronie internetowej *www.futureplc.com*.

Wszystkie ceny podane w **Magazynie T3**, o ile nie zostały uzyskane od polskiego dystrybutora, są cenami uśrednionymi, zebranymi z ofert uznanych sklepów, w tym internetowych, na terenie Polski (w przypadku braku ofert polskich, są to ceny przeliczone z cen europejskich).

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń zamieszczonych w numerze.

eprasa.pl 7056b98f47

T3

/ GADŻETY
/ GAMING
/ MOTORYZACJA
/ LIFESTYLE
/ KULTURA
/ RECENZJE

16 LAT
2 500+ TESTÓW
15 000+ PUBLIKACJI



WWW.**MAGAZYNT3**.PL

eprasa.pl 7056b98f47

Najdoskonalsze domowe kino



Od pierwszego gwizdka po finał

Doświadczaj wydarzeń sportowych, seriali,
gier i muzyki jak nigdy dotąd - z soundbarem Arc Ultra,
subwooferem Sub 4 i parą głośników Era 300.
Przetestuj całość na żywo w salach odsłuchowych
Sonos Experience.

SONOS

www.salonydenon.pl

DENON STORE | AUDIO FORUM

eprasa.pl 7056b98f47